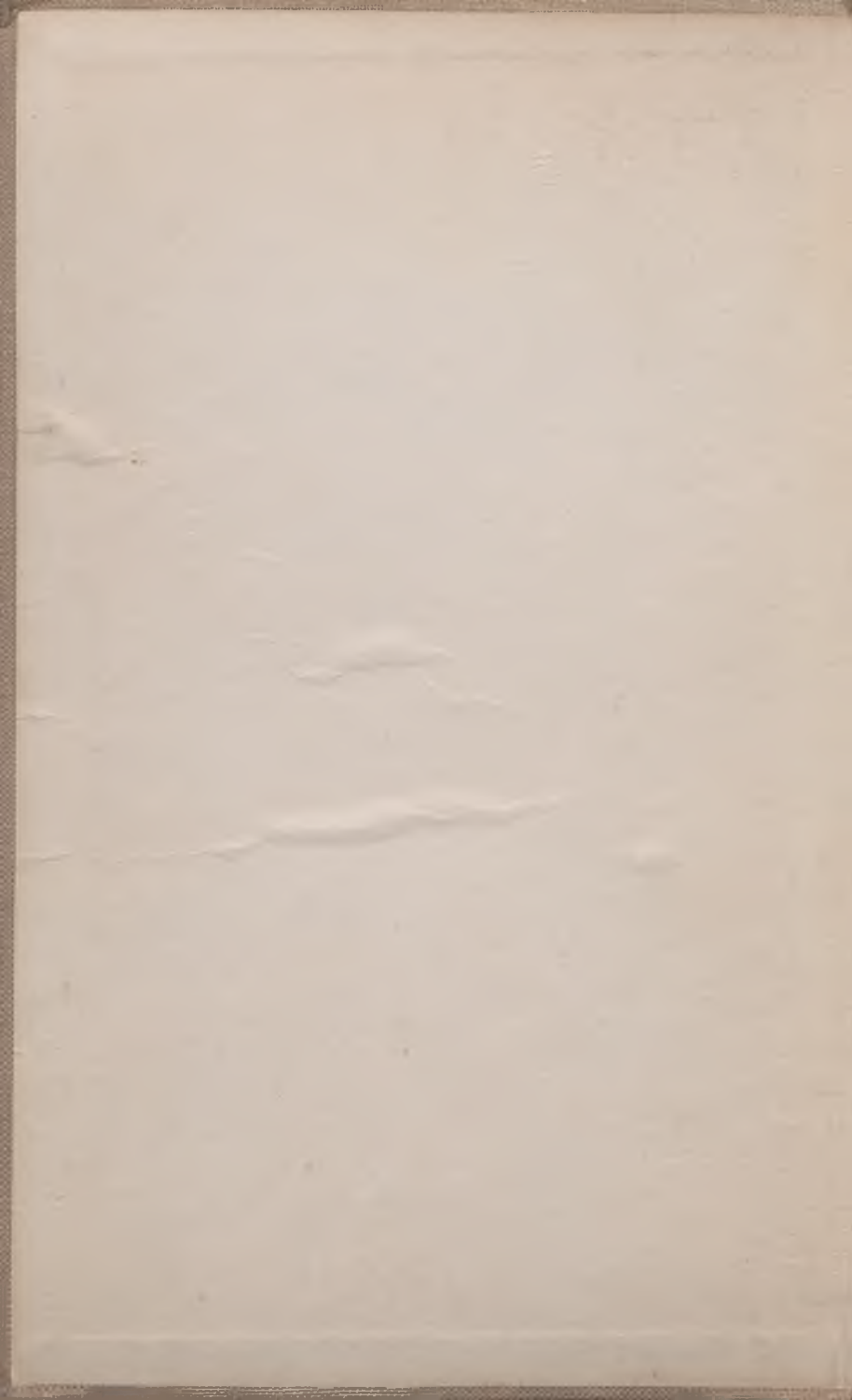


KSAWERY
PRUSZYŃSKI

DROGA
WIEDZY
PRZEZ
NARVIK

PIW



PRUSZYŃSKI
DROGA WIODŁA
PRZEZ NARVIK





KSAWERY PRUSZYŃSKI

DROGA WIODŁA
PRZEZ NARVIK



PAŃSTWOWY
INSTYTUT WYDAWNICZY

Okładkę projektował
MAREK RUDNICKI

K 445/57



21505

21505

*Poświęcam to wspomnienie
12. drużynie 2. kompanii II baonu
Brygady Strzelców Podhalańskich,
z którą razem przebyłem kampanię norweską.*

Nie jest to ani historia, ani kronika, ani pamiętnik, ani reportaż. Jest to opowieść. Dlatego nie należy w niej szukać obrazu ani konkretnych sytuacji, ani konkretnych postaci. Wspomnienia osobiste z frontu musiały się tu niejednokrotnie przetopić i odlać w formie nowej w fabule opowieści.

Bardziej niż prawdę ścisłą działań wojennych pragnęła owa opowieść oddać prawdę najściślejszą procesów myśli, przemian duchowych, nastrojów, jakie narosły w huku armat na dalekiej północy. Wzięła sobie za zadanie wypowiedzenie na teraz i na potem tego, co myślało, czym się trapiło, o co walczyło, nad czym bolało, w czym pokładało nadzieje owo młode pokolenie, które do tej armii poszło poprzez granice, góry i lasy, owi ludzie z Francji, żołnierze. Chciałbym, aby na tych kartach i w tych rozmowach ukazali swe najbardziej ważne myśli. Wtedy bowiem opowieść spełniłaby swoje zadanie.

NARVIK i ANKENES



Mapa okolic Narviku i Ankenes



Mapa niniejsza jest mapą szczegółową akcji powieści, mapą okolic Ankenes. Garb górski, wysunięty w morze fiordu, teren dwutygodniowych walk II baonu strzelców podhalańskich. Linia kreskowana i koła białe oznaczają pozycje polskie, linia ciągła i koła czarne — pozycje niemieckie. Koło białe, zamieszczone pomiędzy dwoma czarnymi pozycjami niemieckimi, zaznacza stanowiska plutonu polskiego, który wyszedł z koty 405 i dostał się w dwa ognie niemieckie, spod „sosenki“ (czarne koło po lewej) i „tarasu“ (czarne koło po prawej). Kropkowana droga wiodąca od owego białego koła do koty 405 — to szlak posuwania się Andrzeja Czczela. Kreskami zaznaczona — kotlinka.

Daleko, w białym mroku przed nimi, w białym mroku nocy polarnych, poczęły bić gdzieś armaty rytmem rozspanym, przerywanym co chwila, a potem opadającym na nowo, ciężko, miarowo, dokładnie. Po kompanii, z plutonu na pluton, z drużyny na drużynę, przeszedł dreszcz ożywienia nagłego i szept, jakby się bano spłoszyć tamten huk:

- Anglicy zaczęli...
- To z morza...
- Nie: od tego Narviku...
- Ojej, Stalica zawsze wie lepiej: wiadomo, jak z morza, to spod Narviku.
- A nieprawda, bo może być z tamtej strony...
- Z tamtej strony czego?
- Fiordu, pieronie, fiordu. A ty myślałeś że Wisły?
- Czemu Wisły?
- Bo jest takie śpiewanie, *une chanson, quoi*: „Z tamtej strony Wisły kąpała się wrona...” *T’as jamais entendu?*
- *Ben, comment qu’tu veux?*
- O Wiśle mówita, a po polsku nie umieta — wyrwał się trzeci.
- Kukurutz będzie nas uczył...

Andrzej uświadomił sobie właśnie, że ten huk armat, który przerwał ciszę górską nocnego marszu, był kojący, uspokajający, wzmacniał. „To dziwne — pomyślał —

rok temu nie rozróżniało się, czy to nasze biją, czy nie nasze; przechodziły przez ciało jednakowym skurczem niepokoju. Tak: wojnę w wojsku czuje się inaczej. Łatwiej? Czy łatwiej, to się zobaczy. Inaczej. Jak? Ten mały Kettler bierze ją jak polowanie; czyści swój erkaem jak rok temu dubeltówkę w Morgach. Kukurutz — jak pracę na kopalni, w trudnej szychcie. Dla mnie, dla Ciemiora, dla Bończy, dla Riedla, Bocheńskiego, Rostworowskiego to albo Wielka Przygoda, albo dzień, dzień przez duże D. Dla oficerów? Czym jest wojna dla oficerów?“

Droga coraz węższa, coraz mniej uczęszczana; pewno, gdy ma się fiordy, nie trzeba szos. Śnieg firnowy, gruzłowaty, górski. Po prawej stronie drogi, ze wzgórz zasłaniających fiord, poprzez brzeźniak ugrzęzły w zaspach spłynęli: jeden, drugi, trzeci, w białych kapturowych wiatrówkach. Za nimi cała tyraliera na nartach: trzy śmigające pomiędzy drzewami patrole w jasnozielonkawych mundurach *feldgrau*. Andrzej odtworzył w swojej pamięci chwilę sprzed paru godzin: w szkole, w Bejsjoern, godz. 21.30, ostatnia odprawa. Kapitan wrócił właśnie ze sztabu batalionu, są dowódcy plutonów, zastępcy, podoficerowie. Stoją. Powoli, jakby wykładał, kapitan mówi:

— Kompania nasza posuwać się będzie, jako odwód batalionu, drogą, którąśmy przyszli tu rano z portu, przez góry.

— Po naszej prawej, brzegiem fiordu, przejdzie 3. pluton kompanii 3. porucznika Dolińskiego.

— Potem my.

— Po naszej lewej — batalion Legii Cudzoziemskiej.

— Dalej, ku lewej, Norwedzy na nartach; pamiętać, że kolor mundurów taki sam, jak niemieckich. Żeby mi który nie otworzył ognia.

Tymczasem Norwedzy spłynęli, popędzili dalej, przo-

dem. Są smukli i wysocy jak ci na Hinnoy, wtedy po wylądowaniu. Kompania wydłużonymi drużynami wydreptuje żmudnie śnieg zawianej drogi. Przed nimi, od wschodu, niebo rumieni się powoli bladym brzaskiem północnych poranków: zza gór przed nimi, białych jak wszystko, dolatywać zaczyna terkot karabinów maszynowych, huk armat. Karabiny maszynowe to dowód, że nasi natrafili na pierwszy opór.

— Godz. 5.05 — powiada podchorąży Stecki z plutonu karabinów maszynowych — tak samo o godz. 5.00 nad ranem dn. 6 października 1939 r. rozpoczęło się w lasach Włodawy ostatnie natarcie polskie na siły niemieckie...

I idą z Andrzejem obok siebie. Te karabiny maszynowe, grające za wzgórzami przed nimi, podniecają, niepokoją, drażnią. Trzeba się usunąć na ścieżce kopnej, żeby przepuścić sanitariuszy z noszami. Żołnierze ustępują z drogi, patrzą na puste długie nosze nieufnie, milcząc. Andrzej patrzy z żalem na wysokiego drągała Steckiego, który już go wyminął ze swoją drużyną karabinów maszynowych: nic do siebie nie mówili przez te pół godziny wspólnego marszu, poza tym wspomnieniem z Włodawy, z kampanii wrześniowej, i poza opowiadaniem, jak w 3. plutonie wybuchł wczoraj wieczorem granat, a jednak ten wielki chłopiec z niebieskimi niezdarnymi oczami krótkowidza, inteligent o długiej, śmiesznie chudziutkiej szyi, w okularach z grubego szkła, był mu właśnie teraz potrzebny. „Szkoda, że nie jestem z nimi w karabinach maszynowych — przechodzi mu przez głowę. — Właściwie jestem sam“ — myśli.

Nowy odpoczynek, milczący, w śniegu, z odłożonymi na bok hełmami, oparci plecami o plecaki. Jest coraz jaśniej, wątek myśli snuje się dalej. „Jestem sam — powiada do siebie Andrzej. — Co mnie łączy z tym ofi-

„erem, dla którego to wszystko jest rzemiosłem odra-
bianym rzeczowo, zawodowo, jak siedzenie w biurze,
jak urzędowanie na poczcie? Co mnie łączy z tym Sta-
licą, Michałkiem, Kukurutzem, których wojna wywlo-
kła z fermy pod Arcis, z kopalni w Marly-les-Mines?
Tamci lepiej ode mnie robią wojnę; ci posłuszniej
przyjmują śmierć...”

Wcjsko się rozgwarza.

— ...To ten nowy komisarz batalionu to był swój
chłopaka... nawet z Rawy Ruskiej... Tylko we Francji
był niemało lat. To on, jak my przez te skałki za Navas
del Marques...

— Któż to zna Navas del Marques?

Andrzej nie odwrócił się, pytając. Leżąc w śniegu,
oparty plecami o ciężki plecak, był unieruchomiony.
Pytanie padło w milczenie, zakłopotania pełne. Obsunął
więc rzemienie plecaka, wstał. Strzelcy leżeli grupkami
jak stado kuropatw.

— Kto był w Navas del Marques? — powtórzył.

— A ja — odpowiedział któryś zadziornie.

Podchorąży popatrzał. Był to niski i krępy chłop, ka-
pral Gruda. „Aha — przypomniał sobie — gdy przy-
szedłem do kompanii, mówił kapitan: «Będzie tu jeszcze
jeden Hiszpan dla pana, taki, co w Hiszpanii, po stronie
czerwonej walczył.» Więc to był Gruda?” Patrzył teraz
nieufnie i wyzywająco, jakby zaczepiano tę jego Hisz-
panię.

Podchorąży uśmiechnął się:

— Bo ja też przecie, i wtedy właśnie, byłem w Navas
del Marques, w Valdemorillo...

— Gdzie te czołgi italiańskie wyszły?

— I skąd nie wróciły, prawda?

Zaśmiali się śmiechem tym samym, porozumiewaw-

czym, konspiracyjnym. I jakby coś zagadać chcieli. Ale w tej samej chwili po drodze, po szeregach odpoczynkiem rozbitych na skupiska poszła podawana z ust do ust, jak manierka z rumem, rozśpiewana jak wołanie na pastwisku, komenda:

— Powstaaań!

Żołnierze podnoszą się ze śniegu ocieźale, z lenistwem bydlęcym. Ciężkie plecaki garbią. Michałek oddaje Kettlerowi erkaem.

— Ty poniesiesz.

Za chwilę podawany po linii rozkaz:

— Ma-szerować!

I czarny wąż wojska wydłuża się znowu. Karabiny maszynowe, które tam gdzieś przed nimi przestały na chwilę grać, znowu odszczekują się krótkim jazgotem. Ale tym razem nie elektryzują oddziału. Rzędem wyciągniętych drużyn, plutonów, kompanii przepływa, jakby podawana od strzelca do strzelca, senna ciężkość zmęczenia. „Odpoczynek źle zrobił — myśli Andrzej i wylicza: — przedwczoraj — noc w pogotowiu, po południu — odmarsz, 21 km z obciążeniem, wczoraj — noc druga na kutrze, w niewygodzie, potem — marsz 9 km do Bejsjoern i wreszcie ten wymarsz, na wskoś przez góry, o 1.00 nad ranem. Najgorsze te plecaki; żołnierz jest zmęczony, nim przyjdzie do natarcia. Zamiast być właśnie wtedy wypoczęty, świeży, pełen sił, zmarnował dziewięćdziesiąt procent swej energii na dźwiganie mnóstwa rzeczy zupełnie niepotrzebnych do boju. Zatem po co? Czy jest to tylko rutyna wojskowa, dawny nawyk marszów, jeszcze napoleoński, nic więcej, czy może właśnie trzeba wydobywać z żołnierza aż do ostatka siły, by umiał znieść najgorsze? Czy mamy rację my, którzy chcemy zmieniać, czy oni, którzy chcą zachować?”

Od czoła plutonu idzie okrzyk:

— Podchorąży Czezel, do pana porucznika!

Andrzej wysuwa się przed drużynę, schodzi z drogi, brnie w kopnym śniegu, wymijając strzelców.

— Podchorąży Banaś, do pana porucznika!

Porucznik idzie o jakieś pięćdziesiąt kroków przed oddziałem, przy kapitanie. Jest przy nich — znak niedobry — sierżant Ziemiański, drylowaty wobec żołnierzy, układowy z oficerami, wszystko wietrzący kancelaryjny spryciarz.

— Drużyny pobrały granaty? — pyta porucznik.

— Tak jest, panie poruczniku — wyrzuca silnie, koczarsko Banaś, mówi miękcej Czezel.

— Ile?

— Po dwa zaczepne; obronnych trzy na drużynę.

Znowu odpowiedź Banasia wypada twardziej, służbiściej. Porucznik zapytuje, ale teraz już tylko Andrzeja:

— A nie zapomniał pan czasem naostrzyć?

— Nie, panie poruczniku.

— Gdzie pan je nosi? — wtrąca się kapitan.

— W chlebaku.

— W chlebaku?

— Przepisowo, panie kapitanie: wedle francuskiego regulaminu...

— Aa, wedle francuskiego regulaminu...

— Tak jest, panie kapitanie.

Chwilę potem obaj odchodzą do drużyn.

— Tylko nas dwóch wezwał porucznik — mruga znacząco Banaś. — Nikogo z tamtych drużynowych, rozumiesz?

— Rozumiem — uśmiecha się Andrzej — my jesteśmy podchorążowie z Francji.

I uśmiechają się nadal, w wietrze, który teraz, gdy dzień już nastał zupełny, nawiewa rzadki, grudkowaty śnieg. Wiedzą, że w oczach oficerów zawodowych nie

są wojskiem poważnym, tylko czymś pogardliwie cywilnym, przypętanym pomiędzy podoficerów, odbijającym od reszty, jak mundur z sukna o innym odcieniu odbija już z daleka w szeregu. Co innego podchorążowie z Polski: ci szli do wojska z powołania, przechodzili zwykle wyszkolenie polskich oficerów. Taki zastępca dowódcy plutonu, podchorąży Wolski... „Ale my, Banaś, Płużański, Stecki, ja — myśli Andrzej — tak, my jesteśmy podchorążowie z Francji.“

Teraz idzie z powrotem na czele drużyny, pierwszy przed Michałkiem, który odebrał właśnie od Kettlera swój erkaem. Jest jeszcze podrażniony: u nikogo nie sprawdzali, czy pobrano granaty, czy nie, tylko u nich dwóch. A jakby nie pobrali, to cóż by teraz, w górach, zaradzono? A zresztą, czyż nie można by raz zrozumieć, że jeśli u nich „z Francji“ szwankuje to, co jest koszarami, wojskiem w pokoju, służbą, to wszystko, co dotyczy wojny, jest właśnie opatrzone tym staranniejszym, tym pilniej? Dlatego właśnie, że oni odbyli swoją szkołę podchorążacką już czasu wojny i już we Francji, że nigdy dawniej nie chcieli być w wojsku, zanim nie przyszedł Wrzesień.

Podchorąży Wolski, którego przed chwilą mijał wracając Andrzej, przechodzi teraz koło niego, jak przedtem Stecki. Zamieniają ze sobą parę słów, najbardziej konwencjonalnych, jakie można w takiej chwili zamienić; kiedyś Andrzej będzie się starał daremnie przypomnieć sobie, o czym wtedy mówili na tej drodze zaśniewanej, w brzeźniakach, przed Bejsfiord. I nigdy już tego nie odtworzy. Andrzej odczuwa głęboką, zaskórnie tajoną, zamaskowaną, jak maskuje się stanowiska bojowe przed okiem nieprzyjaciela, obcość. Niechęć, zazdrość? Skąd płynąca? Tamten raz, gdy na rynku w St. Renan mylił się w komendzie musztry i napotkał z boku niewyraźny półuśmieszek? Wtedy, gdy podchorąży prowa-

dził gry i zabawy na boisku, sam najlepiej goniąc „lisa“, a Andrzejowi na oczach całego plutonu się nie powiodło? Andrzej pamięta jeszcze jeden uśmiezek Wolskiego: to wtedy, na pokładzie „Chenonceau“, gdy on i Banaś ustąpili ze swych kabin i spali na dnie statku, pokotem przy plutonie, dzieląc dolę żołnierską i zaduch. Pamięta, jak przybrał wreszcie wobec tamtego przesadzoną służbiwą poprawność, którą często starszy podwładny przybiera wobec młodszego zwierzchnika, jak się odciął od wszelkich rozmów, nie podniósł żadnej dyskusji.

W tej chwili są już na szczycie lekkiej falistości poroślej gęstszym lasem. Dwa dni temu wyrzucono stąd Niemców; widać przysypane świeżym śniegiem i nie odkopane już potem stanowiska erkaemów, wytyczone na drogę, którą się wił właśnie ich podhalański pochód. Za stanowiskami jakieś puszki od konserw, porzucony bagnet, ruda plama zamarzłej na śniegu krwi. Pierwsze stanowisko nieprzyjacielskie, jakie widzą żołnierze, pierwsze ślady podkutych krągłymi gwoździami niemieckich butów. Drużyny, przechodzące kolejno, patrzą się na szczątki zwalniając w pochodzie. Jak konie, gdy je coś w rowie przydrożnym zaniepokoi znie-nacka.

Teraz schodzą w dół, w dół. Przez brzeźniak, monotonnie obsiadły na wzgórzach norweskich, widać tafłę fiordu siną, siną, od śniegu odbijającą. Na ten widok w drużynie Banasia ktoś naraz zaczyna śpiewać:

Morze, nasze morze,
będziem ciebie wiernie strzec..

I tak się widać cni ludziom po kilkugodzinnym marszu, że głosem automatycznym, znudzonym i kalwaryjskim podchwytują inni:

...mamy rozkaz cię utrzymać
albo na dnie,
na dnie twoim lec,
albo na dnie
z honorem
lec...

Szosa — leśna droga jest z powrotem szosą — wyziera teraz coraz częściej spod śniegu rudą gliną, ilastym łupkiem. Zakręt po zakręcie, tupot nóg na twardej nawierzchni. Szybciej, szybciej. Z góry schodzi się prędko. Zaczyna grzać słońce. Tam za fiordem, który teraz w dzień połyskuje stalowo, głęboko, widać szarogranatowy stromy masyw gór. I naraz, za nowym zakrętem, widzą werżnięty głęboko w wody, wysunięty jak Półwysep Helski, cypel ładu. Obrasta go zielony naporstek chojniaków, sponad których wytryskują kolorowe, białe, żółtawe, rudawe, wysokie kryształki — domy zgęszczone, tłoczone wobec braku miejsca na owym cyplu, oblانة morzem z trzech stron, strzeliste kamienicami miasto:

Narvik.

— O, miasto.

— Gdzie, gdzie?

— Tam: za morzem.

— Narvik!

— To Narvik?

— Narvik, Narvik.

„Stecki pewno w tej chwili myśli sobie: «Tak samo Grecy Ksenofonta wołali *thalatta, thalatta*, gdy z gór anatolijskich ujrzeli Morze Czarne» — mówi do siebie Andrzej. — Płużański, którego batalion musiał tu być wcześniej, pewno wpatruje się w siny błękit tego fiordu, jak ciemnieje w miarę blasku dnia, jak wypławia się w godziny zmierzchu. Tak to widzi wojnę historyk, tak malarz...“



Marsz z góry, w słońcu, na oczach tego Narviku, który wygląda jak gród Graala zza morza, osłonięty kępami choin, wrysowujący się biało w tło górskie, staje się żwawszy, szybszy. Schodzą w dolinę: most potrzaskany nad wodospadem trzeba obejść dołem, po kamieniach szumiących wodą. Na drodze porzucony samochód ze znakami armii niemieckiej. Ciężki niemiecki hełm. I odpięte, rzucone na drogę, kilkanaście par nart: to te patrole norweskie, które przybiegły tu pierwsze, rzuciły sprzęt bezużyteczny w dolinie, gdzie śnieg już taje wielkimi łatami, w modre kałuże rozmaka.

W dolinę spływają drogi, dróżki, dwie szosy. Porucznik patrzy przez szkła polowe, ale i tak doskonale widać. Z gór, tych samych, z których ścieka właśnie kompania Andrzeja, schodzą takie same wydłużone węże innych pochodów: widać odstępy utrzymane między drużynami w marszu. Dolina spłaszcza się pod nimi w podługowatą nieckę: drugi skraj tej zanurzył się w morzu zatoki. U brzegów porozrzucane domki norweskie, takie same jak w Soervik, na Hinnoy. Drewniane, malowane barwnie, niezwykle barwnie, tak, jakby chciały wnieść coś żywego w ten krajobraz biały od śniegów, szary od granitów górskich, stalowy od morza. Domki żółte, czerwone, domki zielone, kremowobiałe: śmieszne, krasnoludkowe domki. Szary dym się wlecze od osiedla. Gdy dobiegają skrzyżowania dróg, dopala się właśnie szerniałymi głowniami w śniegu dom, którego nie ratuje nikt.

Kompania rozrzuca się w plutony, rozwija w drużyny szeroką tyralierą po obu stronach drogi. Na polach śnieg jeszcze leży tając albo nogi brną w torfowej, krótkiej trawie. „Tundra“ — myśli Andrzej. I naraz drużyna, jaka w pochodzie ogólnym, idąc tuż za nim, oddzieliła się od jego myśli, na powrót w nie wrasta. Andrzej rozpołowia ją jeszcze na dwie wyraźne, oddzielne grupy.

Posuwa je szybkim, krótkim krokiem: marsz, marsz. Michałek, celowniczy, trzyma teraz swój karabin maszynowy oburącz przed sobą, ładownik założony, widełki nóg opuszczone na dół. Ale po wsi przed nimi, małej rybackiej wiosce, widać już patrole khaki.

Ludzie, którzy z tych domów powychodzili na drogę, rozmawiają z żołnierzami patrolu. Dziewczyna w czerwonym swetrze pokazuje ręką na wschód, ku tamtym domom za laskiem, skąd jeszcze czasem odezwie się krótki strzał pojedynczy albo zaterkocze urwanie seria erkaemu. Kilometr, może dwa. Z chaty ku drodze wychodzi chłop z błyszczącą matowo blaszanką: właśnie leje z niej mleko do kubków żołnierskich, gdy na czele drużyny nadchodzi Andrzej z Michałkiem. Dziewczyna uśmiecha się i mówi coś po norwesku; Andrzej zatrzymuje się i patrzy, jak kolejno pije drużyna, jak mleko plami sukno mundurów, jak dziewczyna uśmiecha się śmiało, naturalnie, prosto.

Marsz, marsz. Tamto przed nimi to już Bejsfiord, bombardowany tej nocy przez krążowniki angielskie; widać molo drewniane rybackiego portu, opadające w połowie do wody zwęglonymi belkami. Idą wsią, po obu stronach rozmokłej drogi. W górach jeszcze śnieg trzyma, ale tu jest już odwilż, przedwiośnie. „Przedwiośnie...” — powtarza do siebie Andrzej, i naraz znowu wstają w pamięci jakieś dalekie wspomnienia, dziwne skojarzenia z przeszłości. Jakiś tłum w pochodzie przez wielkie aleje miasta, jakiś kordon wojska zamykający drogę, za kordonem krata żelazna i biały kolumnowy pałac... Gdzie to było? Kiedy? Przedwiośnie?...

— Koguty pieją — zauważa Michałek.

— O, gnój po polu rozrzuca — powiada Kukurutz.

Aż przystanąli, zapatrzyli się. Istotnie, płowowłosej Norweg roztrzasa na polu kupy nawozu.

— Co stoicie? Gnoju nie widzieli? — przynagła kapral.

Odchodzą wolniej, mniejszym krokiem. Woda w kałużach chlupie. Coś rozmarzyło drużynę.

— Widłami rozrzucał — powiada jeden — jak u nas...

— Jak u nas — powtarza Kettler.

II

Z pamiętnika Andrzeja

Jesteśmy od przedwczoraj w południe nad Bejsfiordem, który jest odnogą, jedną z odnóg wielkiego narwickiego fiordu. Wieś nazywa się tak samo. Jest rozrzucona półkolistą nad niewielką zatoką; nasza kompania zajęła lewy skraj tej wioski, dalej jest grupa spalonych domów, potem dowództwo batalionu, kompania 3., kamy. Do Steckiego i Różańskiego mam prawie kilometr drogi; gdy nie wypada na nas służba, można się przejść aż do nich. Ale przez cały dzień wczorajszy było pogotowie marszowe: mają nas, podobno, przesunąć bliżej Narviku czy też, jak dowiedział się wczoraj Banaś, przewieźć kutrami przez fiord aż na drugą stronę ku Ankenes dla zluzowania Anglików. Trzeba nie wydalać się poza drużynę i trzymać strzelców przy miejscu postoju. Na stryżku naszego domu jest mały pokoik. Poszedłem się tam przespać, no i piszę.

Kiedyś może, gdy trzeba będzie opowiadać o tym wszystkim, ludzie nie zrozumieją, jakeśmy widzieli tę Norwegię. Może nawet będą się dziwili, że mieliśmy czas na nią patrzeć, my, ludzie wojenni, że mogliśmy zapamiętać jej białawe niebo, czarne ściany skał, przekrojone siklawą strumieni, zimne roztocze fiordów, lud jasnowłose, smukły i ufny, barwione domy drewniane, kępy choin karłowatych na piasku, rozchwiane na wie-

trze gaje brzoź. Ale żeby się temu dziwić, trzeba nie znać samemu wojny, okopów, natarć. Trzeba nie wiedzieć, że cała wojna to jedna nierówność tempa. Po dniach stłoczonych w wydarzenia, nabrzmiąłych nie-ludzkim wysiłkiem, trudem strasznym, przychodzi nara-z zanik wszystkiego, co możemy nazwać działaniem. Rozprostowują się wtedy zmęczone członki, powracają do spokoju nerwy. Jest się w jakiejś dziurze wojskowej, gdzieś w okopach, w jakimś lasku, sterczy się na miej-scu beczynnym i myśli sennie, powoli, o sprawach nie związanych ani z wojną, ani nawet z życiem. Jestem pewny, że ci, co byli przed nami, ci z Ypres, Kostiu-chówki, Piave, także musieli tak myśleć, tak się zapamię-tywać i patrzeć. Tak samo musiała im się rysować z ca-łą precyzją poleska surowość wsi wołyńskiej, nurt zmętniały lombardzkiej rzeki, cegła miasteczek flandryjskich. Wojna to nie tylko przeżycia wojenne. To wykrojony na chybił trafił wycinek jakiegoś kraju; ekran, po którym biegnie obrazami film.

Z okien tej mansardy drewnianego rybackiego domu widać właśnie taki wycinek. Jest rozkosznie martwo i cicho. O kilkadziesiąt metrów przede mną rozsyhają się przekrzywione na bok brzuchate łodzie rybackie; obok brązowawe sieci, porozwieszane na kołkach; dalej w morzu wrak jakiejś olbrzymiej, niezgrabnej barki, poobdzieranej, rudawej od rdzy, osiadłej ciężko na dnie. Wygląda niekształtnie, jak jaki potwór głębinowy, który ostatkiem sił doczołgał się tutaj, aby zemdlać w spo-koju przystani, u progów stałego lądu. Fala mętnowa, zielonkawa obiega go białymi wężykami piany, a po-tem odchodzi splukiwać płowy piasek wybrzeża. Pomię-dzy domkami rozrzuconej wsi rybackiej, poznaczona czarnymi głazami jakichś lawin, które odeszły, ciągnie się pagórkowata łąka. Właśnie od przedwczoraj zaczyna zmieniać barwę. Jej jesienna, wyzółkła płowość ziele-

nieje coraz świeżej i coraz soczyściej. Owce o zbrudzonej zimą wełnie sennie drepczą u naszych okien.

Ludzie tu są cisi i mili, prości i nie rozumiejący. Od setek lat żyli życiem wegetatywnym, spokojnym, rozsądnym. Dawno zapomnieli o zdobywczych szaleństwach Wikingów, którzy z takich fiordów północnych na płaskich łodziach żaglowych spływali w ujścia Sekwany i Dżwiny, Tamizy i Wisły, by burzyć i zakładać państwa. Dawno stali się narodem wielkich trustów rybackich, mleczarskich kooperatyw, uniwersytetów ludowych i szkół jasnych, widnych, czystych, właścicielami domów drewnianych, tandetnych, nietrwałych chyba tak jak japońskie domki z bambusu i papieru i jak one czyściutkich, przytulnych, swojskich. Gdzieś daleko, na dole globusu, w owej wielkiej Europie, od której trzymali się z dala, wyładowywały się pioruny wojen i orkany rewolucyj, kłębiły olbrzymie osiedla ludzkie, było niespokojnie i ciasno. U tych ludzi przezornych, osiadłych na chłodnym przedmieściu kontynentu, panował niezmacony spokój pustynnych gór i jeszcze większa przestronność milczącego morza. Tu było wszystko inaczej. Chłopi z Polesia i Bretanii łatwiej odnajdą wspólny język niż ci ludzie, którzy naprawdę nie mają pojęcia o nędzy, choć żyją w kraju skał i wody, o przewrotach, choć rządzą nimi socjaliści, o wojnie, choć są ludźmi z planety Ziemia. Wszędzie indziej na świecie słowo „wojna“ ludzi przeraża; tu ono najpierw dziwi, jak zło, o którym nie ma się jeszcze pojęcia, o którym pamięć zaginęła zupełnie, jak zacierają się napisy na starych runicznych nagrobkach, jak zatracą się nawet w baśni ludowej dalekie wspomnienie o wymarłych potworach, które trapiły i nękały naszych przaszczurów w zapomnianej erze potopu. Patrzą się tedy zdziwieni na nas, którzyśmy przyszli im pomagać, na Niemców, którzy naraz, we mgle nocnej marca, wylegli na ten brzeg.

Jest to zdziwienie saren hodowanych w zwierzyńcach, które nagle opadnie zły pies lub weźmie na cel zły człowiek. Dopiero potem, gdy pierwsze wrażenie przejdzie, poczynają rozumieć wojnę, współbronić się, współwalczyć.

Dziś rano, podczas czyszczenia broni (bardzo łatwo rdzewieje tu metal: muszę zająć do batalionu po smary), rozmawialiśmy w drużynie o tym wszystkim. Bardzo podoba się naszym ta Norwegia. To nie są ani brudy bretońskie, ani nędza naszej wsi. Zaszedł Stecki i mówił nam o historii Norwegii bardzo ciekawie; okazuje się, że sprawowały tu rządy nasze Piastówny. Żołnierzy to bardzo zajęło. Zdaje się, że tylko w rozumieniu naszych inteligentów chłop polski czy emigrant nie interesuje się historią. Mówiliśmy potem, jak oni umieli się zagospodarować, jak wyzyskali morze, jak wodospady górskie dają im energię świetlną. Michałek, który jest z fermy, kręci głową z zachwytem nad mlecznością krów. Człowiek, u którego mieszkamy, jest „zwyczajnym chłopem“, ale ma w szafce przy radiu cztery półki książek. Moi towarzysze pytali dużo o Norwęgję: Stecki musiał dużo odpowiadać. Nadszedł nawet porucznik, posłuchał, o czym mówimy, ale znudziło go to, więc wyszedł.

III

Kula bzyknęła niespodzianie, długo, zdradziecko. Łączka w kotlinie przed nimi, górski maliniak porośły krzakami, wydłużony płasko upłaz — wszystko to było dalej najzupełniej milczące. Na całej przestrzeni górskiej nic się nie poruszyło, nie drgnęło nawet. Strzał był oddany przez niewidzialnego człowieka, niewidzialnym ruchem, z niewidzialnego kierunku.

— Leżąc widziałby pan równie dobrze — powiedział Czeczcel.

O mało co nie użył zwrotu: „leżąc jak ja“, ale powstrzymał się szczęśliwie. Raz jeszcze był w stosunku do zastępcy dowódcy plutonu poprawny, arcy poprawny.

— Chciałem wiedzieć, skąd oni strzelają — odpowiedział nie ruszając się Wolski.

Andrzej pomyślał, że podchorąży ani drgnął, ani się ruszył, i mimowiednie pozazdrościł mu opanowania. Wbrew temu, co sam mówił, podczołgał się wyżej i uniósł na łokciach. Było piękne, słoneczne popołudnie, niebo ogromnie jasne, prawie wiosenne powietrze.

— Miał pan rację: istotnie widać stąd wszystko, nawet Narvik.

— Tylko ich nie widać.

— To także się zobaczy. Parę drobnych patroli w sile jeden do dwóch, jeden do trzech, tej nocy, następnej nocy. Trochę takich pojedynczych strażów jak tamte dwa przed chwilą...

Wolski się jakby zawahał:

— Szkoda, że nie pomyślałem, żeby przez pana wypytać tych Anglików, nim odeszli. Siedzieli tu tyle czasu, musieli wiedzieć...

„Co za poprawność — pomyślał Czeczcel nie odwracając głowy — nie powie: «Czemu pan nie zapytał tych Anglików?»“ Poczł nagle sympatię do tamtego, tym większą, że mógł odpowiedzieć szczerze:

— Kiedy ja nie umiem po angielsku.

— Jakże to? Tyle pan się napodróżował.

Andrzej lubił, gdy mówiono w ten sposób o jego obywatelstwie, a poza tym wydało mu się, że był pewien podziw młodszego dla starszego w tym powiedzeniu. Odparł więc:

— Widzi pan, każdy sobie życie obiera. Pan wybrał wojsko; ja co prawda jestem w wojsku, ale wybrałem

przedtem co innego. Zresztą teraz role się pozmieniały: ja wprawdzie podróżuję, ale jestem w wojsku jak pan, pan jest w wojsku, a podróżuje jak dawniej ja. I już umie pan po norwesku...

— Bardzo mało...

— Na dziesięć dni, to wcale nie tak mało. Wojna potrwa, my pojeździmy po świecie. Wróciwszy do Polski, będzie pan władał językiem francuskim, angielskim, norweskim, lapońskim...

— Jakoś sobie tego nie wyobrażam...

Wolski powiedział te słowa tak niepewnie i dziwnie, że Andrzej odwrócił się ku niemu. Ale zastępca dowódcy plutonu patrzył teraz, jak przedtem Andrzej, przed siebie, ku ukrytym w górskich zaroślach pozycjom niemieckim. Andrzeja uderzyła tylko, jak już dwukrotnie przedtem, młodocianość jego twarzy.

— Czego pan sobie nie wyobraża?

— Ja? Niczego.

— Jak to niczego? Nigdy sobie pan nie wyobrażał przyszłości?

— Owszem. Dawniej — tak.

— No, i cóż pan sobie wtedy wyobrażał?

Bezwiednie Andrzej stawał się jeszcze starszy od swego dowódcy, niż był nim naprawdę, i pytał natarczywie, spowiadająco, lekarsko.

Wolski, dalej nie odwracając głowy, odpowiadał zupełnie ulegle:

— Różne rzeczy. Co będzie po maturze. Że pójdę do wojska na zawodowego. Kiedy dostanę podporucznika. Kiedy...

Andrzej wyczuł lekkie wahanie w głosie, jak penitent trwoży się przy spowiedzi, gdy ma mówić o grzechach najbardziej tajonych; jak pacjent poczyna się mieszać wobec lekarza, gdy mówi o sprawach wstydlivych. „Aha — pomyślał — chłopak zakochał się jeszcze

w gimnazjum, młodocianie, sentymentalnie, chciał się zenić. Mógł to zrobić tylko wtedy, gdyby możliwie szybko zdobył sobie chleb. Kariera wojskowa dawała mu te możliwości stosunkowo najprędzej. Czyżby zatem dlatego?...”

A ponieważ Wolski zamilkł, jakby był zapatrzony w tamte zarośla przed nimi niżej, więc zapytał:

— Czegóż pan sobie nie może wyobrazić? Dalszej wojny? Powrotu do Polski?

Wolski milczał chwilę, aż zaczął znowu:

— Kiedy właśnie w tym cała trudność, że w ogóle niczego. Zawsze robiłem sobie jakieś wyobrażenie przyszłości. Choćby mylne. Choćby najbliższej, parodniowej. Dopiero jakeśmy odjechali z Bretanii, wszystko mi się zaczęło zacierać. Nie. Nie mogę sobie wyobrazić, że wracam do nas, do domu. Nie mogę sobie wyobrazić, że odbywam wojnę, że bierzemy Oslo, że rozszerza się to na Szwecję, że wkraczamy do Niemiec. To znaczy, mogę sobie wyobrazić, że to wszystko gdzieś będzie, ale, uważa pan, siebie w tym wszystkim nie widzę. Ja tego może nie potrafię wyrazić, mimo że to jest właściwie zupełnie proste, choć i dziwne. Nagle człowiek traci wyobrażenie przyszłości. Ścisłej — wyobrażenie swojej przyszłości. Jest dalej Miechów, matka i siostry, ale mnie tam nie ma. Jest wojna dalej i wojsko polskie, i Brygada Podhalańska, jest porucznik i pan, i strzelcy, ale także tam mnie nie ma. Ja dalej nie wiem, czy tłumaczę się dość jasno? Przypuśćmy, że pan wyobraża sobie swój powrót do Lwowa albo zobaczenie ludzi bliskich, albo to, że będzie pan pił kawę w zdobytym Narviku, albo że pójdzie pan jutro do Haakvik, do dowództwa półbrygady. To ostatecznie nie takie trudne. Otóż ja sobie nic z tego wyobrazić już nie mogę. Stopniowy zanik autowyobrażni, jakby powiedział mój ojciec, lekarz. Stopniowy, bo z początku zatraciłem możność wyobrażania sobie rze-

czy dalekich, jak Polska, jak koniec wojny, potem — coraz bliższych. W miarę jakieśmy się zbliżali do Norwegii. Teraz doszło to już do tego, że dziś nie mogę sobie w ogóle wyobrazić, żebym mógł być gdzie indziej niż tu, na tych górach, w tym karłowatym lesie, nad tą kotlinką przed nami, na wprost tych stanowisk niemieckich. Prawda, że to ciekawe uczucie?

— Dziwne...

— Nawet, powiedziałbym, nieprzyjemne. Na statku, potem na Hinnoy to mnie jakby dręczyło. Rozumie pan, głupie uczucie człowieka, któremu przed nosem wyrosła wielka biała ściana, i ta ściana wszystko mu zagradza. Jeśli pan nigdy niczego takiego nie doznał w życiu — nie? nic? — nie pojmie pan w całej pełni, jak bardzo potrafi to być dręczące. Człowiek, przestawszy myśleć o tym, co będzie z nim w przyszłości, stara się tylko o to, by mu teraz było dobrze, było wygodnie. Byłem dawniej zawsze oszczędny, a teraz wydawałem wszystko, co miałem. Nie chciało mi się nic przedsięwziąć na dalszą metę. Czy pan uwierzy — nawet dać zdjęcia do wywołania w Harstadt? Byłyby za dwa tygodnie najdalej.

— A na przykład listy?

— Co, listy?

— No, przecież pan pisywał w ostatnich czasach listy. Dużo listów, prawda?

— Skąd pan wie, że dużo?

— Mówił mi podoficer pocztowy baonu — odpowiedział Andrzej najnaturalniej w świecie.

— A... a czemu pan tak naraz zapytał o listy? Czy to ma jakiś związek?

— No, jeśli pan pisze listy, spodziewa się pan odpowiedzi?

— To prawda. Ale nie. Istotnie pisałem teraz dużo

listów. Mogło to nawet zwrócić uwagę. Pisałem, bo czułem potrzebę pisania, nawet silniejszą niż zwykle.

— Silniejszą niż zwykle?

— O, znacznie silniejszą. Ale to nie znaczy, żebym czuł też potrzebę otrzymywania odpowiedzi. Przeciwnie. I to jest dziwne, że pisałem, jakby te odpowiedzi nigdy nie miały nadejść, jakby ich nikt nie miał napisać...

— I pisał pan, prawda, do wielu osób? Nawet do mało znajomych?

— Tak, jak na mnie, to nawet do bardzo wielu... Pan widział moje listy?

— Skądże?

Andrzej wytrzymał na swej twarzy długie spojrzenie Wolskiego, nie widząc, udając, że nie czuje, patrząc wciąż przed siebie, na kotlinkę pod nimi, daleki upłaz, fiord. W milczeniu, jakie zapanowało, słychać było dochodzące z tyłu, zza stanowisk, głosy strzelców grających w karty. Andrzej zapragnął nagle odejść, zmienić temat rozmowy, rozstać się z Wolskim. Ale ten miał niespodziewaną potrzebę wynurzeń:

— Wielka biała ściana, która zagrada wszystko... To było mniej więcej tak właśnie. Aż dopiero teraz przestało to być dręczące. Oswoiłem się z tym.

— Kiedy się pan oswoił? Tu?

— Tu.

— Patrząc na tamto tam?

— Patrząc na tamto tam.

— I pan patrzy może na... na tamto tam, jakby pan to już kiedyś w życiu widział?

— Nie. Co za literackie określenie... Ale swoją drogą jak na coś, co jest takie dziwnie nieobce.

Rozmowa urwała się znowu. Patrzyli teraz razem na to nieobce. Niewielki występ, na którym leżeli, wysunięty poza pozycje przejęte tego ranka po Anglikach,

zwiisał nad kotlinką wydłużoną nieckowato, która sama stanowiła wklęsłość wysokiego, spłaszczonego u grzbiecie górskiego garbu. W kotlince leżał jeszcze śnieg grubymi, wielkimi płatami, które tylko gdzieniegdzie zaczęły się przedzielać rudymi plamami mchów lapońskich, zeszłorocznej trawy i pokarlałych drzewek. Paręset metrów dalej kotlinka podnosiła się znowu i przechodziła w długi, podłużny płaskowyz, równoległy zupełnie do linii stanowisk. Dalej w prawo cały garb podnosił się silnie do góry, stawał się mniej porośły lasem, bardziej skalisty i zaśnieżony. To, co widzieli, było raczej bez wyrazu i bez uroku; krzaki wółprzywalone śniegiem, niewielkie chojniaki, kępy brzezin, usypiska, porosty bagienne — wszystko, co wyrasta na ziemi iłowatej, chudej, kwaśnej, w klimacie wilgotnym i bezsłonecznym. Ale z dwóch stron okolone to było morzem fiordu. O tej godzinie popołudniowej bardzo jasnego dnia morze widziane z wysokości kilkuset metrów, było silnie błękitne, prawie zielonkawe, jak górskie jeziora oglądane z wysokich przełęczy. Wszystko, co się widziało z bliska, to skarłałe, zmarniałe, ubogie, ujęte było w uchwyt tej wielkiej wodnej roztoczy, sennej, znieruchomiałej, ogromnej. Góry, jakie rysowały się po tamtej stronie fiordu, miały już błękitną szarość oddalenia.

Nisko pod nimi, a zarazem przed nimi, zaraz za tą kotlinką i płaskowzgórzem, rysowało się wyraźnie miasto. Między nimi a nim wcisnęła się odnoga fiordu, ale odnoga ta była wąska i z ich pozycji zupełnie niewidoczna. Andrzej przez chwilę oceniał odległość. W linii prostej musiało być tego 3—4 km zaledwie. Może nawet mniej. Widać było wyraźnie bloki wysokich, nowoczesnych kamienic, zarysowane cieniem wąwozy ulic, jakiś wielki plac z czerniejącą plamką pomnika — pusty. Zupełnie pusty. Miasto szerokim wydłużeniem tego placu

zbiegało do jakichś hangarów, składów, długich sznurów wagonów; tam zaczynał się zapewne, niewidoczny dla nich, bo przesłonięty zboczem góry, port. To miasto, wyrosłe niespodziewanie w pustkowiu północnych gór, z trzech stron oblane morzem, widziane wciąż, znikąd niedostępne, bielało w dole jak gród tajemniczy z zapomnianej rycerskiej sagi, gniazdo stworów przemysłnych, a złych.

— Panie podchorąży, panie podchorąży!

— Co tam znowu? — zapytał Wolski.

— Jest pan kapitan i pan pułkownik, i pan major. Pan pułkownik kazał pójść po pana podchorążego.

Kapitan? Pułkownik? Popatrzyli na siebie pytająco.

— Coś się chyba zaczyna — powiedział jeszcze Wolski.

IV

Zapytaj ich pan o straty — mówił pułkownik.

Adiutant, pochylony nad wielkim stołem z nieheblowanych desek, pełnym map, szkiców sytuacyjnych, meldunków, powtarzał pytanie przez telefon. Łączność działała świetnie; głos z pozycji na górze huczał tu w sztabie tak głośno, że wszyscy obecni słyszeli go wyraźnie.

— Do tej pory czterech. Rannych trzech, jeden ciężej, w płuco.

— Co za zabici?

W sztabie zrobiło się ciszej. Telefon chrobotał dalej:

— Jeden podchorąży, jeden sanitariusz, dwóch strzelców.

— Zapytać, co za podchorąży — mówił pułkownik.

— Nazwisko podchorążego? — powtarzał do słuchawki adiutant.

Ale w tej samej chwili telefon się zaciął i odpowiedź przysyłana tam z góry, od linii, dochodziła tylko jako niezrozumiały poszmer dźwięków. Dwukrotnie adiutant powtarzał pytanie i rzucał:

— Nic nie słychać, nic nie słychać.

Szklanka z nie dopitą herbatą, odsunięta przez jednego z oficerów, zadźwięczała w tym milczeniu jak gong.

— Pułkownik — zapytuje — co — za — pod — cho — rą — ży? — sylabizował donośnie adiutant.

— O jakiego podchorążego wam chodzi? — odpowiadał telefonista z góry, któremu widocznie pomieszał się wątek pytań.

Znowu wszyscy obecni usłyszeli wyraźnie telefon. Zachnęli się tym samym odruchem zniecierpliwienia.

— O podchorążego, który zginął na kocie 405, podajcie nam nazwisko podchorążego, który zginął na kocie 405 — sylabizował raz jeszcze adiutant.

— Nazwisko podchorążego? Zaraz zapytam kapitana Dańca.

Teraz już odpowiedź przyszła szybko.

— Wolski. Podchorąży Wolski.

.....

Leżą rozsypani półkolem, przywarci do ziemi, wtuleni w gąbczasty mech. „Może by przesunąć bardziej na lewo, o tam, stanowisko małego Kettlera: czy wtedy nie miałyby w polu obstrzału tych cholernych brzózek? — Nie. Czy Michałek pilnuje ze swoim erkaemem tych tam pod złamaną sosenką? — Trzeba będzie przesunąć się do Jaskólskiego; czy oni tam czego nie widzą?“ Znowu przegwizdały kule w kierunku na porucznika...

— Z erkaemów nie strzelać bez rozkazu, tylko krótki-

mi seriami, tylko gdy naprawdę widzicie. Inaczej zmacają nasze stanowiska, wytluką erkaemy, a wtedy koniec. Nie śmiać wymacać erkaemów!

Rozkaz przechodzi w wykład. Strzelcy przylepli do rozpadlin, wczółgani w kępy bagienka, wszyscy w zmarniałe górskie haszcze, słuchają tego, co mówi Andrzej, i patrzą ufnie na dwa karabiny maszynowe wparte nisko w grunt.

Na góry od dwóch chyba godzin wysączył się blada wy, rozcieńczony mrok. Wodnisty mrok nocy skandynawskich. Wszystko widać jak za dnia, tylko że wszystko zszarzało. Kolory mają tylko najbliższe chojniaki, ostrozielone chojniaki, pod którymi są stanowiska trzech strzelców z Jaskólskim. Śnieg odcina się od szarości, a na nim, niedaleka, więc jeszcze widoczna, czerwona, rozlana plama wokoło głowy sanitariusza, który padł. Gdy Andrzej teraz odwróci głowę ku prawej, może jeszcze dostrzec wyraźnie, o sto kroków, mundur *feldgrau* tego, który dostał z erkaemu Grudy. „Niepraktyczny jest ten kolor mundurów niemieckich“ — myśli. Niemiec wyprężył się w skurczu śmierci i tak skamieniał. Wrasta powoli w tę nieruchomą senność górską, na jaką oni parę godzin temu patrzyli tak długo z koty 405.

Andrzej znajduje się teraz w sam raz na owym podługowatym płaskowyzu, który zamykał z drugiej strony nieckowatą kotlinkę. Wypatruje oczy w tym mglistym, bladawym mroczku, bo trzeba czuwać, a także, bo teraz widzi to wszystko, czego stamtąd za dnia nie mogli się wcale dopatrzeć. A więc na lewym skraju płaskowzgórze tamto wzniesienie rozczłonkowało się tu na dwa, może trzy garby: tam, gdzie te utrapione brzożki, ta złamana sosenka i może jeszcze ten jakby fałd, bardziej ku fiordowi? Tego wszystkiego wczoraj po południu nie można było dostrzec, gdy na wzgórze patrzyło się

wprost. Zlewało im się to. Teraz, o kilkaset metrów bliżej, gdy ma się je od lewej, widać wyraźniej.

Odwraca głowę na prawo, nieco w tył. W tym kierunku garb górski, na którego grzebieniu wszystko to się odbywa, podnosi się coraz wyżej.

Widać wyraźnie taki taras, wyrastający wprost na nich. To stąd biją tamte ciężkie karabiny maszynowe. Góra spiętrza się jeszcze nad taras, idzie aż gdzieś ku granicy szwedzkiej, przechodzi w głązy i lodowce. Tam są dwa plutony ich kompanii, na wprost tamtejszych linii niemieckich. A dalej batalion trzeci. Gdyby mogły przełamać te linie, gdyby mogli spaść z góry na ten taras! Czekać, trzeba czekać, czekać.

Buty, spodnie, na których się leży, łokcie, na których się opiera, to wszystko jest mokre. W górach śniegi zaczęły tajać, pokrywając wszystko roztopem. Bezruch leżenia przepaja tę mokrość ziębem studzącym ciepłocią, słabiącym; żeby choć rumu dla strzelców; Chalupka dygocze, będzie do niczego. Kukurutz także. Czas dłuży się, dłuży i dłuży, aż wreszcie rozplywa się w owym czekaniu nie wiedzieć na co, rozcieńcza jak ten mrok w norweskim powietrzu. Napięcie pierwszych godzin walki, kiedy ludzie padali, kiedy szybko, w jednej chwili, opanowywało się teren lub oddawało, rozprzeczadza się teraz w owym oczekiwaniu pozycyjnym, kiedy naraz linie stanęły i skostniały, jak kostnieje w zimnie nocy tamten trup niemiecki. Andrzej podsunął się przez torfy, by sprawdzić, jak czuwa Jaskólski i tamci w chojniakach, i wrócił do erkaemów swojej drużyny. Znowu zastygł. Na niebie jest blady, smutny księżyc. Istotnie, widok, jaki oglądał wtedy po południu z Wolskim, nim przyszedł rozkaz, przesunął się bardziej naprzód. Teraz są u skraju owego garbu. Skraj opada już niemal równo, lasem młodej brzeziny ku dołowi. Na dole wąską strugą wlewa się morze fiordu, wije się ja-

kaś droga bezludna, rozsypały się dachy jakichś domków, kościołek biały z gontową wieżyczką: Ankenes. Po drugiej stronie całkiem wyraźny, niedaleki narvicki port. Port jest zupełnie zamarły, jak wczoraj miasto. W mieście, na wielkim placu, ciemna plamka pomnika jest trochę większa niż widziana stamtąd. Domy jeden od drugiego odcinają się wyraźniej. Wieże dwóch kościołów, niższych znacznie od wielopiętrowych gmachów, rozpaczliwie wydłużają swe strzałki. Fiord trzema wielkimi rozlewiskami obkłada to wszystko jeszcze większym znieruchomieniem, skamieniałością martwoty. Góry, morze, miasto, wszystko to zapało jakby dech w sobie, wstrzymało krążenie krwi. Świat nachylił się nad tą garstką ludzi porozsypywanych w wądołach brzeźniaków, powczołgiwanych w rozpadliny i załomy, czających się przeciw sobie z bronią nowoczesną, z instynktem pierwotnym, zapędzonych w strony obce jednym i drugim, tak samo jednym i drugim dalekie, jednakże cudze. Była chwila, że walka przedarła to całe znieruchomienie nagłymi skurczami akcji, hukiem strzałów, świstem zbłąkanych kul, jęczeniem ludzi powalonych w męce, cichym obsunięciem się ku ziemi rażonych śmiertelnie. Życie, zazwyczaj rozrzedzone na tych olbrzymich przestrzeniach tak skąpo, jak ciemność mroku rozrzedza się w nocy tutejszej, zbiegło się było na tym garbie górskim, jak krew zbiega się w skrzepie. Teraz znowu rozplywa się i rozsącza wszędzie. Teraz znowu wszystko rozprostowywa się znieruchomieniem. „Jest jak dawniej — myśli Andrzej — jest tak, jak tu było przed nami i jak w wieki po nas tu będzie. Tak samo pachną mchy zgniłe i obdarta przez zające brzoza kora, tak samo szumią na wietrze chojniaki-niedorostry, tak samo bezludne są góry i tak samo nieruchome jest morze. Co się zmieniło przez to, że jakichś kilka istnień zgasło nagle, tak jak nagle znika liść zwiany

wiatrem, jak gaśnie w wietrze wielkim płomyczek małej zapalki? Co się zmieniło przez to, że padli Gołębiowski, ten sanitariusz, ten Niemiec przede mną, Skuruta, Wolski? W świecie, w Polsce, w wojnie?“

Znieruchomiały w olszynie, ziębnący każdym muskułem ciała, zanurza teraz myśli w roztworze prawdziwej kontemplacji. Taką kontemplację może dawać klasztor i wojna: daje ją zawsze przymusowy bezruch, wstrząs zetknięcia ze śmiercią, pustka górską i milczenie nocy. Wszystko to krzyżuje się teraz w Andrzeju, choć o tym nie wie, jak kilka godzin przedtem krzyżował się nad nim ogień cekaemów z tarasu i erkaemów spod tamtej sosny. Teraz nachyla się Andrzej nad tajemnicą niby to dobrze znajomą, a nad którą nie przystawał nigdy. Jakimże smętnym niczym są te śmierci! Jakimże niczym w świecie, gdzie tysiące tak samo odchodzi w ów *no-man's-land* z tamtej strony pozycji życia, w Polsce, gdzie zginęły setki tysięcy, w wojnie, która miliony położy. Jakże tragicznie niczym. Nie ma ich. Koniec. Koniec.

.

Wzrok, który wpierał się w kępy zaschłych badyli, ważył spojrzeniem jak skrzydłem nad haszczami brzeźniaków, prześlizgiwał powoli od lewej do prawej i od prawej do lewej, spływa momentami dla odpoczynku tam, w dół i dal, ku morzu milczącemu ciężko w szerokim jarze fiordów. Jakże zginęli ci ludzie? Jak kamień, który by padł w tę senną masę wody i zadrgał na niej przez chwilę coraz słabszym, słabnącym kręgiem. Jak strzał samotny, który czasem trzaśnie to z tej, to z owej strony, przeświśnie kulą, otrzepie o gałęzie, wryje się, wkąsi milczkiem w grunt. „Trzy są rzeczy, których nic nie zmąci — myśli Andrzej — pustka górską, nieruchomość mórz i życie. Możemy tu

paść wszyscy i wielu, bardzo wielu innych, ci, co są w dole i w odwodzie, i w sztabach, i jednym, jedynym rysem nie poznać nasz koniec gładkości tych rzeczy odwiecznych.“

.

Od tajemniczej sosenki na skraju stoku, złamanej sosenki, na którą od tyłu godzin zaczają się Kettler, wyrwała się krótka seria strzałów, jak w Polsce jesienią wylatują spod nóg zapóźnione w polu kuropatwy. Zaden erkaem podhalański nie rozdzwonił się w odpowiedzi. Tylko Michałek, Kettler i gruby Gruda nachylili się uważniej, wciągnęli silniej kolby broni w dołek strzelecki obojczyka.

Pół kilometra za nimi w tyle, na planie sytuacyjnym w miejscu, gdzie niewielka, do góry skierowana strzałka wskazuje już umiejscowienie sosenki, Banaś leżąc zakreśla elipsoidę czerwonym ołówkiem.

Takie elipsoidy, tylko szersze jeszcze, mniej pewnie wytyczone, naniósł już Banaś na swój szkic tam, gdzie poziomiami zbiegającymi się gęściej zaznaczył wyniosłość tarasu.

Nowa seria zafurczała znowu, wciąż od sosenki. Kettler bierze na cel, ale jeszcze nie puszcza ognia.

Na oddartej kartce papieru, która wciąż uzupełnia się w linie, znaki, szczegóły, Andrzej także zaznacza elipsoidą miejsce wokoło sosenki. Ale jego elipsoida jest już węższa, ciaśniejsza niż ta, jaką rysuje jednocześnie Banaś. W jej obrębie dwa krzyżyki umiejscowiają to, o co chodzi, szczegółowiej, dokładniej. Widzi lepiej: jest przecież bliżej. Strzelcy podnoszą trochę głowy, patrzą na rysunek podchorążego jak na rzecz, której znaczenie wydaje się im zupełnie jasne, ale którą widocznie trzeba wykonać.

Trzecia seria sypie się gniewnie, już po krzakach. Strzelcy chowają głowy. Obsługa cekaemów nie spuszcza terenu z oka i w pewnej chwili poczyną trzaskać ogniem, który klaszcze głośno, radośnie. „Krzepiący jest huk własnej artylerii, ale łoskot własnych kaemów jest jeszcze bardziej krzepiący“ — myśli Andrzej i podnosi głowę wyżej, cokolwiek wyżej. Nie mimo strzałów, ale właśnie dlatego, że są strzały. Po to, aby wypatrzeć.

I schyla się na moment nad swoim szkicem, żeby na świeżo, od razu, rzucić na papier możliwie dokładne, możliwie ściśle rozmieszczenie gniazd broni maszynowej nieprzyjaciela.

O to przecież chodzi.

.
Mglisty, białawy świt. Kotlinka i kota 405, i sosenka, i brzózki z lewej poczynają na nowo nabierać kolorów. Rudawych, zielonkawych, płowych.

W kierunku chojników, w których wartuje Jaskółski, prześmiguje w powietrzu, jak pocisk, manierka. Rum bulgocze lejąc się w gardło, miesza się ostrym zapachem alkoholu z gnilnymi oparami kotlinki.

— Pan kapitan wam posyła, chłopaki; szła do was wczoraj kolacja, ale nie doszła.

— Psiekrwie kucharze zeżarły — jęczy Michałek — kary Bożej nie ma na te cholery...

— Przyssał się do manierki jak dziecko do cyca i innym nie daje — irytuje się Kukurutz.

Michałek z żalem oddaje manierkę.

— Bo musisz wiedzieć, chłopie, że pierwszy łyk rumu smakuje jak pluskwa. Dla tego, co się zna. Drugi smakuje też jak pluskwa, ale młoda pluskwa. Trzeci jak woda ze stawu. Czwarty też nie przez nadto. I uważasz, dopiero piąty smakuje jak koniak.

Są dalej mokrzy, zziębnięci, ale rum zrobił swoje.

— Noc jakośmy odwalili — stęka Kukurutz.

Spojrzenie w kierunku sosenki, brzeźniaków, tarasu. Wszystko to obsnuwa się teraz w nici mgławej waty. Wszystko śpi.

— Niemcy tak samo mówią — podchwytuje podchorąży. — „O rany boskie — powiada tam teraz jeden do drugiego — to ten *verfluchte Pole Kukurutz aus Oleschau im Deutsch-Oberschlesien* ciebie, Fritz, jeszcze nie ustrzelił? Widać — powiada — *Gott sei Dank*, od rumu w kafejkach francuskich ręka mu się rozlatała i nie taka jak za śląskiego powstania, nie taka...“

Kukurutz, rodem spod samego Opoła, bardzo lubi, gdy w plutonie wspomina się jego śląskie wyczyny, ale teraz wzdycha żałośnie; wspomnienie kafejek francuskich zapachniało całą urodą utraconego rajuu...

Tylko Kettler nie pije i trzyma się dobrze bez rumu. Ale Kettler to co innego.

Kettler jest harcerzem.

.....

Za pół godziny rozwidni się zupełnie. Za godzinę będzie całkiem widno. Na cóż nasi czekają? Kapitan przecież zapowiedział wyraźnie...

— Panie poruczniku, tam są jakieś ludzie...

— Gdzie? gdzie?

Porucznik wypatruje przez lornetkę na skraj kotlinki, od tej swojej strony. Istotnie. Skraj zaludnia się ruchliwymi punktami tyraliery. Schodzą w dół kotliny. Skokami. Są na tle śniegu. Kilkadziesiąt ciemnych punktów porusza się ławą w kierunku na wzgórze z sosenką, z brzeźniakami, na wykryte wczoraj pozycje niemieckie.

— Chłopcy, trzymać się. Nasi ruszyli.

Strzelcy unoszą głowy do góry; wypatrują. Cały

ciężar przebytej na zimnie, w mokrości, pod obstrza-
łem i w obawie zasadzki nocy opuszcza się wolno z ich
ramion. Rum pokrzepił zadatkami nadziei. Nadzieja to
tych kilkadziesiąt czarnych punkcików rozbieganych po
śniegu, wśród krzaków, w kierunku góry okrytej drze-
wami, milczącej.

— Jeszcze 400 m! — oblicza Andrzej.

— 370, 350 — liczy znad erkaemu Kettler.

Obaj czują łomot w piersiach, walenie młotem serc
i każdy wstydy się za drugiego. „Jak to dobrze, że to
ten mały przy mnie leży — myśli w przelocie Czezel —
przy cenzusowcu mniej mi wstyd.“ „Jak to dobrze, że
to podchorąży, a nie kto z kolegów; wyśmieliby mnie“
— myśli Kettler.

Aż naraz cała góra, zalesiona i milcząca, wstrząsa się
hukiem i ogniem. To już nie kępa brzeźniaków, to już
nie z elipsy pod sosenką padają pojedyncze, odmierzone
serie, rozdygotało się to z niewidzialnych dotąd stano-
wisk, zarytych chyba jak kretowiny na pastwisku;
wszędzie. Ołówek Andrzeja zatrzymuje się bezradny
nad nowym szkicem terenowym. Które punkty uchwy-
cić pierwsze? Całą górę obwieść zamkniętą krzywą,
elipsoidalnym rysem, który by wskazywał artylerii,
gdzie ma wyładować zapasy swych pocisków?

Tam, w kotlinie, rozsypane punkty wstrzymują się
naraz w miejscu. Są czarne, dobrze widoczne na śnie-
gu, który tam jeszcze leży przecież sownie. Przez se-
kundę przebiega w myśli Andrzeja przypomnienie jego
rozmowy z Wolskim, wczoraj, jeszcze nad tą samą
kotlinką. I za chwilę podrywa się jeszcze kilkanaście
punktów. Już tylko kilkanaście. Znowu kilkanaście. Ale
huragan ognia, prawdziwy huragan ognia, siecze w to
maszynowo, niestrudzenie, dokładnie.

— Panie poruczniku, strzelamy?

Porucznik waha się jakby przez jeden, jeden moment.

Wszyscy wiedzą, o co chodzi. Wie podchorąży i celowniczo wie erkaemów, i ostatni, ostatni strzelec: jeśli oni tu ze swych pozycji otworzą ogień, na sosenkę, na brzeźniaki, na tę górę zionącą ogniem, to mogą zahamować jego morderczość, postrzelać obsługę, sprawić, aby pod obstrzałem strzelała mniej celnie, mniej pewnie; ale gdy otworzą ogień, zdradzą dokładnie wszystkie swoje stanowiska, okopane w cieniu nocy, strzeżone pilnie przed wykryciem. A wtedy zlikwidowanie tych stanowisk będzie dla tamtych sprawą dziesięciu minut...

Jest to krótki, ułamkowy moment, w którym oficer waży decyzję, a pluton na nią czeka. Wszyscy widzą już zresztą, że tamto natarcie jest za słabe liczebnie, zupełnie nie wsparte ogniowo, że tamta milcząca niemiecka góra jest fortem najeżonym taką masą broni maszynowej, taką ilością karabinów maszynowych, pistoletów automatycznych, moździerzy, że musi odepchnąć te punkty biegnące po śniegu, rozścielić je na nim w porwanych strzępach. Trzy erkaemy plutonu nie zrobią tu nic.

A jednak, gdy porucznik podnosi głos ponad strzały:
— Celownik — jak uprzednio...

— ...Kierunek — pozycje nieprzyjacielskie pod sosenką, brzożami z lewej.

— ...Długimi seriami — ognia! — pluton, cały pluton rozpręży wielką, radosną ulgą.

Gruda, Michałek, Kettler walą jak rozszalali, pełnym ogniem, pełnym spustem. Trzech ładowniczych podpełza z gotowymi do ładowania ładownikami. Łuski pocisków odlatują znad zamka w powietrze jak plewy w młockarni, powietrze napełnia się łoskotem, prawie że ziemia się wzrusza. Na chwilę niewielkie wzniesienie na płaskowyżu, wczoraj osiągnięte przez pluton, staje się także fortem zionącym na tamten wyższy, lesisty fort.

„Jeszcze nas nie zmacali“ — myśli porucznik.

„Jeszcze nas nie zmacali“ — myśli Andrzej.

Gruda, Michałek, Kettler, przywarci do kolb broni, która wstrząsa się od strzałów, rusza się, dygoce, już nie pamiętają o tym w gorączce walki. Dla strzelców ten łoskot własnej broni jest zbyt radosny, pocrzepiający. Ale porucznik i podchorąży panują nad tym myślą: technika walki nie wciągnęła ich tak silnie. Przed chwilą cały pluton był tego świadomy, ale teraz tylko oni dwaj pamiętają o tym. Za kilka minut, najdalej kilkanaście, nieprzyjaciel będzie miał dokładne rozmieszczenie ich stanowisk broni maszynowej z przybliżeniem do 2—3 m. Wzięli na siebie tę konieczność, kiedy otworzyli ogień. Nie żałują jej, ale — liczą się z nią. „Oto nasz pluton — myśli Andrzej — jest już w tym *no-man's-landzie*, jaki rozciąga się za pozycją życia, a jeszcze przed pozycjami śmierci. Za chwilę powinniśmy być jak Wolski, Gołębiowski, Skuruta. Co potem? Potem? Potem znowu milczenie zalegnie po górach, a morze pozostanie martwe i gładkie, jakie było i jakie będzie po wszystkie dni.“ I dziwi się, że jeszcze to się nie staje.

Dziwi bardzo krótko. Naraz, z dalekich brzeźniaków, innych niż tamte, wypryska w górę wielki, furkoczący pocisk, który niemal widać, jak leci: moździerz. Pocisk padł koło chojniaka, w którym leżał Jaskólski, i rozprysł się mokrą, tłustawą ziemią. Drugi uderzył w sam chojniak. Co z Jaskólskim? Trzeci, czwarty i piąty opadają razem między stanowiska erkaemów. Ktoś się zrywa, odbiega w bok, kogoś ochlapuje ziemia, rozkwaszone pociskiem łupki. Teraz pociski lecą za pociskiem, z furkotem powietrza, z masami wyrwanej ziemi. Cała wyniosłość rusza się i podnosi, faluje ziemia, opada. I naraz milczenie. Wielkie milczenie.

— O Jeeeezu, Jeeezu — poczyna ktoś jęczeć cicho, cicho, coraz śmieiej.

— Oooooo — skomli coś pod chojniakiem.

Kettler, Kukurutz, Wiczewski obsunęli się w dół, ranni, w półzgięci z bólu. W kotlince gasną już strzały. Kilkanaście ciemnych punktów wlecze się z powrotem w kierunku, skąd przyszło. W dole kotlinki, między krzakami, wśród plam śnieżnych, ktoś pełza, ktoś leży. Ktoś woła:

— Sanitariusz! Sanitariusz!

„Żeby już zamilkł, żeby zamilkł — myśli Andrzej. — Ten krzyk jest gorszy od wszystkich moździerzy świata.“ Ale tamten nie milknie wcale. Tylko okrzyk podnosi się w jęk, rozwleka, rozsnuwa w samogłoski:

— Saanitariusz! Saaanitaariusz!

W kierunku kotlinki i stanowisk kompanii spełza wśród zetłalej pod śniegiem zeszłorocznej trawy kilku lżej rannych, jak zranione na polowaniu bekasy.

Długie, długie milczenie. Nic się teraz na wzniesieniu nie rusza. Ziemia zryta pociskami moździerzy czernieje jak skiba spod pługa.

Spod sosenki pada ostry, obcy gwizd. Brzeźniaki odpowiadają drugim. Andrzej, Gruda, Pyliński podnoszą głowy. Z haszczy, o kilkaset metrów, wykwitły w półzgięte, posuwające się w skokach postaci barwy *feldgrau*. Coraz dalej, coraz pewniej, coraz bliżej. Czemużby nie? Wzniesienie, przemłócone ogniem moździerzy, milczy bezsilnie i bezbrinnie: moździerze spełniły swą misję.

Postacie w *feldgrau* podchodzą ostrożnie, czając się, ale coraz pewniej. Widać dokładnie ciężkie kopuły hełmów bojowych. Połyska srebro kołnierzy. Czernieją zwieszane z ramienia, na pasach, pistolety automatyczne: wspaniała broń.

I naraz szczekot karabinu maszynowego odrywa się

od milczącego, zrytego wzniesienia, sponad tych zmartwiałych w skurczu, sponad rannych. Seria, jedna, druga, trzecia, przebiega po stoku. I już, w mgnieniu oka, nie ma nikogo. Tamte krzaki zachybotwały rozparte. Tam na skraju ktoś biegnie schylony. Tam jakiś kształt zielony pełza z powrotem. Tam ktoś przygwożdżony do ziemi wypręża się, martwieje.

Gruda zniża się, odciąga swój karabin maszynowy; odpełza o parę metrów. W sam czas. Z góry od „tarasu“ zaczyna łupić świeży, wypoczęty zupełnie cekaem niemiecki; za późno o sekund dwadzieścia. Gruda i Andrzej, skryci w rozpadlinie, uśmiechają się do siebie złym żołnierskim uśmiechem.

Po czym wszystko milknie. Fortuna wygląda. Kasprzak się podnosi. Nie. Nikt nie zbliża się już ani od sosenki, ani od brzeźniaków, ani znikąd. Tylko pomiędzy wzniesieniem a tamtymi pozycjami Niemców pokładło się kilka zielonych, znieruchomiłych cieni *feldgrau*. Jakiś hełm ciężki odtoczył się w dół i czyjaś odsłonięta twarz bieleje czołem ku niebu.

Dzień już się zrobił zupełny. Blady, wystraszony dzień. Znowu nadpłynęła przyczajona, zdradziecka cisza. Tylko z głębi kotlinki zrywa się czasem i przypada jakiś jęk, jakiś skowyt.

— Saanitariusz! Saanitariusz! — woła tamten ranny na nowo.

I ten krzyk kołuje nad kotliną, nad płaskowyżem, nad sosenką i brzeźniakami, nawet nad tamtym tarasem jak ptak nieszczęścia, niepokojąco, kruczo.

„Żeby on już zamilkł, żeby on już nareszcie zamilkł“ — powtarza do siebie Andrzej.

Ale głos podrywa się znowu, wczepia w powietrze kurczowo, jak w zawalonej sztolni kopalnianej wpija się w kamień i ziemię szponami zagiętych palców ręka

przywalonego górnika. Daremnie, zupełnie daremnie. Nikt nie zejdzie w kotlinkę śmierci, na biały śnieg, pod celowniki cekaemów. To tylko cały ostatek życia wyzwala się w tym krzyku, drży w nim, krwawi. I krwawić tak będzie nad białym śniegiem, w wielkiej martwocie górskiej, męcząco, uporczywie, beznadziejnie długo.

V

*Dowódca 2. kompanii II. baonu. M. P. kota 405,
dn. 17. V. godz. 7,00*

Meldunek

Melduję, że o godz. 6.10 z pozycyji naszej kompanii 3. wyszło natarcie w sile jednego plutonu.

Natarcie natrafiło na silny obstrzał broni maszynowej nieprzyjaciela. Obecnie, o ile z naszych pozycyji można dostrzec, pluton cofa się, rozbity.

Nasz pluton 3. z koty 603 usiłował zniszczyć gniazda broni maszynowej nieprzyjaciela na „tarasie“, które dowódca 4. plutonu, użytego do wypadu rozpoznawczego i osaczonego przez n-pla, wskazał w swoich dwukrotnych meldunkach jako szczególnie dokuczliwe. Zadanie to, wobec silnych umocnień n-pla i małego pola obstrzału, nie powiodło się.

Położenie naszego 4. plutonu jest wysoce krytyczne, tym bardziej że współdziałając ogniem swej broni maszynowej z natarciem kompanii 3. zdradził swoje stanowisko ogniowe. W tej chwili pozycje zajęte przez 4. pluton znajdują się pod obstrzałem broni maszynowej nieprzyjaciela oraz pod silnym ogniem moździerzy, który w tych warunkach może być szczególnie skuteczny.

W ciągu nocy pluton utrzymał z nami łączność przez podch. Czeczela, który szkicem stanowisk ogniowych n-pla uzupełnił szkice poczynione przez nas z koty 405. Szkice te załączam. Gdyby udało się sprowadzić na górę mózdzierze, można by, na podstawie załączonych szkiców, zniszczyć stanowiska ogniowe nieprzyjaciela.

4. pluton miał w ciągu nocy dwóch rannych. Obecnie musiał ponieść nowe, nie znane jeszcze straty. Łączności z nami chwilowo nie nawiązał.

Dowódca 2. kompanii II. baonu

(—) Daniec, kpt.

*

— Oberwał pan? — pyta kapitan.

— Nie, panie kapitanie, tylko ziemią.

— A to?

Na rękawie i nogawicy spodni są rude plamy. Andrzej ściera je chustką; krew wsiąkła już z błotem ziemi w khaki.

— Nim wyszedłem z meldunkiem, ściągnąłem na dół rannych — powiada.

— Którzy ranni?

— Z mojej drużyny: Kettler — obie nogi; kość, zdaje się, cała; Kukurutz — odłamkami w rękę, nogę, plecy, dużo mu krwi uszło; Wiczewski — strzał w szyję...

— Ciężej?

— Nie wiem: jakoś się wyczołgiwał. Kubicki — przedramię. Syty — gorzej: dostał przez pierś.

— Jeżeli ich pan przeczolgał, to znaczy, że można przejść?

— Można zawsze, panie kapitanie, ale strzelają już silniej. Wtedy obstrzeliwali jeszcze niedobitki kompanii 3. po tamtym natarciu. Teraz, kiedy szedłem tędy, silnie strzelali...

— A... a jak tam porucznik? Bardzo w portki robicie?

— Panie kapitanie...

— Coś pan taki rozmazany? No. rumu, rumu. Uszy do góry, panie podchorąży: nie rozklejać mi się tutaj. Już. Golnij pan. Lu! Młynarczyk, nalej jeszcze panu podchorążemu. Tak. Dobra. Cóż to pana tak bierze, panie bohater?

— Nnnic...

— No, widzi pan, nawet pan nie wie czemu... Rycerz o żalostnej twarzy i zbolałym obliczu. Donkiszoty nie wygrywają wojny, panie podchorąży.

— Drużyna, panie kapitanie... Pięciu rannych. Pół drużyny mi wystrzelali. Z plutonu pozostało nam tam zdrowych szesnastu.

Kapitan patrzy się uważnie. Czy pamięta wtedy, gdy podchorąży Czeczal wypraszał się od sztabu jak od zaraży, a prosił, jak o łaskę, o zwykłą drużynę strzelecką? Ale odwraca się.

— Chałupka — mówi naraz — a wy tu co?

Andrzej odwraca się także. Zza krzaków, niespodzianie, pojawił się Chałupka. Chałupka jest strzelcem z drużyny Andrzeja. Powinien być...

Chałupka doskonale wie, gdzie powinien być. Kapitan, twardy chłop, ma zbiegnięte brwi.

— Gdzie pluton, Chałupka?

Oczy Chałupki stają się rozbiegane, wystraszone.

— Gdzie karabin, Chałupka?

— ...

— Chałupka, gdzie wasz karabin?

Chałupka, który zacina się łatwo, zaczyna poruszać wargami bez jednego dźwięku. Kapitan trzyma kompanię w garści, po polsku. Mówi głosem Jehowy, gdy pytał Kaina, gdzie jest brat jego Abel.

— Chałupka, gdzie wasz karabin?

I rzuca wyrok sądu ostatecznego:

— Pójdziecie, Chałupka, tam, gdzie jest wasz pluton i gdzie pozostawiliście karabin.

Chałupka waży przez chwilę dwa niebezpieczeństwa: ogień niemiecki i gniew kapitański, ale te dwa niebezpieczeństwa to dwa młyńskie kamienie, pomiędzy którymi ściera się oto na proch szczątek Chałupkowej odwagi. Andrzej pamięta, jak wczoraj na wzniesieniu Chałupka popadł w kurczowe drgawki. „Fizycznie nie znosi tego“ — myśli.

— Panie kapitanie, pójdę z nim po karabin.

Kapitan przypatruje mu się przez chwilę, nic nie wydając po sobie. Odpowiada ze staranną obojętnością:

— Jeśli pan wróci tutaj... Chciałem przez pana posłać porucznikowi... odpowiedź, jaka przyjdzie ze sztabu.

— Będę za godzinę — powiada Andrzej — wcześniej z dołu nie przyjdzie nic.

Wie dobrze, jak trudno było o przybycie sanitariuszy. I dodaje do zbiedzonego Chałupki:

— Pójdziemy, Chałupka. Uważajcie, jak ja będę szedł pierwszy. Padać, iść skokami. Broń Boże nie śniegiem. Na śniegu was widzą jak cholera. Widzieliście, jak szedłem. *Allons* — powiada.

I chłop-emigrant, nawykły do francuskiego brzmienia rozkazów, idzie ufniej, sprzej na dźwięk obcy...

.

Jakże Andrzej już zna tamte przejścia!

Więc najpierw jest stok koty 405: chojniaki, leszczyzny, kępy.

„Tu nie ma niebezpieczeństwa“ — powtarza jeszcze do siebie i powtórzyłyby Chałupce, gdyby ten nie zostawał w tyle. Wprawdzie jest to na wprost owej góry nieprzyjacielskiej z jej sosenką i brzeźniakiem, ale odległość jest jeszcze znaczna, pewność strzału niewielka.

Poza tym strzał na wskos. „Najgorsze jest to, że mogą dostrzec, jak się posuwam, i przygotować, gdy im podejdem bliżej.“ I mimowiednie posuwa się wpółleżąc, ruchami miękkimi, bez nagłych przypadków, wężowo, kocio.

Po chwili jest już gorzej: stok się kończy, a raczej przestaje chronić po prawej. Andrzej przykuca na moment pod nowym opiekuńczym chojniakiem. Namysła się. Zezuje w prawo: o czterysta metrów ma już taras, ów taras z cekaemami nieprzyjacielskimi, który tak im dokucza od wczoraj. Przez chwilę mały człowiek skulony pod drzewem na dnie już prawie kotlinki wypatrzuje nieufnie kamienny występ skalny. Nic. Nic. Skok w dół, dwoma susami przez śnieg; byle nie za głęboki, byle nie zabrnąć butem, nie ugrząźć bezradnie jak mucha w lepie celem łatwym dla kul, punktem czarnym na śniegu białym. Sus. Dwa długie, cienkie świsty. „Zaczęło się — myśli Andrzej i dodaje uwagę techniczną — poszły górą, dalekie.“ Leży teraz w trawie kotlinki, niemal, niemal na drugim jej stoku: trawa jest ruda i płowa, mundur khaki ginie w niej świetnie. Poprzez badyle patrzy: skalny taras jest wysoki i nieruchomy. Ale kule były na pewno stamtąd.

Wiatr idzie od wschodu, od granicy szwedzkiej, i zawiewa drobnym, kołącym twarz śniegiem. Żebyż go więcej! Ugięty w trawach człowiek wyczekuje. Poderwanie się nagle od ziemi, bieg w skuleniu, tylko z głową podniesioną, karabin, krótki podhalański karabin dobrze w obu rękach, gotowy. I przypadnięcie. Nic? Jasne, że stamtąd na czterysta metrów widać w śniegu dobrze, po trawie, przez krzaki — wcale. Żeby ten śnieg zdradziecki mógł wreszcie zejść; przecież to maj! Nikt nie strzelił z tarasu i teraz już sam taras zakrył się drugim stokiem kotlinki, zboczem tego płaskowyża, na którym trwa ostatek plutonu, skąd widać tak dobrze morze,

Ankenes, Narvik. Teraz rozpocznie się przesuwanie parusetmetrowe z boczem, kluczenie przez krzaki, skoki od jednego wykrotu pod drugi. Niebezpieczeństwo zmienia się jak kameleon: zachodzi z boków, jest z lewej, jest bliższe, jest niespodziane. Przedtem wiedziało się: taras. „Teraz kto wie, czy za skałą przede mną, w tych krzakach, za tym maliniakiem ktoś się nie zaczął i nie czeka jak myśliwy, który o zmierzchu zasiadł na polanie, dokąd wychodzą o księżycu rogacze?” Dwa razy prześlizgał się już. Andrzej po tych kamieniach, trawach, krzakach i mchach, ale na tym przedostatnim odcinku drogi niebezpieczeństwo mu się rozszczepia. To nie tylko kula, wyrzucona z daleka, nieosobowa, niewidzialna. To człowiek w *feldgrau*, jak ci, co pokładli się na stoku tamtym, pod erkaemem Grudy, jak tamten, któremu hełm odwaliła kula i czoło bieleje na trawie. Ten człowiek będzie patrzył spod hełmu ludzkimi oczami. Z jego wzrokiem on się napotka. Z jego pięściami może się zewrze. I Andrzej, na owym stoku, przesuwany się od załomu w załom, od wklęsnięcia do wklęsnięcia, naraz odrapuje w sobie nie tylko zaschły instynkt tropionego zwierzęcia, ostrożność leśnych podchodów do wodopoju, gdzie czuwa drapieźnik lub łowca; to jeszcze jakieś pierwotne, niezdarne, odżywające właściwości czajenia się w dżungli zaczynają pełzać mu w krwi.

Jakaś kula prześwisnęła bokiem. Aż niezdarnie. Nic i nic? Już trzeba się wciągnąć na płaskowyż; naga torfowa łączka — robi się to w trzech skokach — i pozycje. Wszystko dalej trwa. Walają się pozostawione maski, ładownice, karabiny. Po numerze — numery karabinów wszystkich członków swej drużyny ma Andrzej zapisane w notesie — odnajduje karabin Chałupki. Leżąc przy poręczniku odpoczywa chwilę, z oczami w niebo, dysząc. Wszyscy tak teraz leżą. To nie był łatwy spacer.

I — powrót.

Jak długo leżał?

Nie wie tego; nie ma zegarka. Na pewno za długo.

Leżąc patrzył w niebo, spał. Nie widział tego, co się działo w górach. Dobry, ostry wiatr, który rano napędzał śnieg ze szczytów i mroził palce w uchwycie karabinu, przestał tymczasem wiać. Słońce weszło wysoko na blade, porcelanowe niebo i wszystko tonie teraz w czystym powietrzu górskim, rozświetla się ostrą, nieubłaganą wyrazistością. W głębi kotlinki, o paręset metrów na prawo, odcina się nie tylko każda gałązka na śniegu, ale wprost widać cień, jaki rzuca tamten chojniak, poobrywany, jakby wyliniały. „Mnie także tak będzie widać. Tak nie chce mi się iść, tak strasznie nie chce“ — analizuje leżąc jeszcze Andrzej. Dlaczego? Po prostu tych kilkanaście godzin napięcia wyżeło go. Rum wypity u kapitana działa nasennie. Beznadziejność tego konania na pozycji, gdzie każdy ruch jest pod ostrzałem z dwóch stron, gdy czeka się na nie wiedzieć jaką już pomoc, skoro tamte, o świcie, się załamały? Boi się tej drogi w wielkim słońcu dnia? Może jest to przecucie nie uświadamiane sobie jeszcze zupełnie, jak jeszcze nie uświadomione przecucie miał wtedy mały Wolski? Andrzej opukuje własną świadomość, jak lekarz opukuje plecy chorego szukając podejrzanych szmerów w płucach, zajęcia szczytów kawern. Ale nic nie może znaleźć. Iść trzeba.

— Przyniosę, jak tylko co będzie, panie poruczniku. Powiem wszystko, wszystko.

Porucznik uśmiecha się blado, wdzięcznie. „Nie: oni tu wszyscy już orzą nerwami i trzeba by ich pobudzić przy pomocy takich brutalnych stuknięć, jak mnie przywracał do formy kapitan“ — myśli Andrzej. Nie da rady. Szesnastka ludzi, skupionych koło porucznika,

odprowadza Andrzeja wzrokiem; przejdzie czy nie przejdzie? Pomoc jaka narodzi się znowu czy zostaną już tak, czekając, aż się nieprzyjaciel jeszcze lepiej wstrzela w to wzniesienie, nad którym przecież góruje z dwóch pozycji, aż do wyczerpanych podpełźnie fortuniej, niż próbowali to zrobić — przedwcześnie — ci, co dostali się rano pod erkaem Pelca. Jest już blisko dwadzieścia godzin, jak tak trwają; jak długo jeszcze?

Łączkę, którą na płaskowyżu przesadzał idąc skokami, teraz przepelza od początku. Przepelza tak starannie, że aż dziwi się, kiedy śmiga pierwsza kula, widać odmierzona dobrze. „Więc jednak widzą? Już teraz dostrzegają w trawie rudej po śniegach i dosyć wysokiej; co będzie potem?“ Leży długą chwilę znieruchomiały. Parę metrów tego przeczołgiwania. Nowe dwa świsty. Po gwizdzie poznać, że bliskie. Teraz Andrzej już wie: to jest najgorsze. Pojedynczego strzelca, który do niego celuje, nie odstraszy myśl, że zdradzi swoje stanowisko. Czymże jest w takich górach stanowisko pojedynczego strzelca? Taki pojedynczy strzelec — to może być strzelec wyborowy, celuje dobrze, bije na upatrzonogo. To są już łowy na jednego, jednego zwierza. Tym zwierzem jest on.

Znowu posuwa się i znowu strzał. Widocznie na tle tej trawy nie widać munduru; widać ruch. To bardzo ważne; trzeba jak najmniej krótkich, urywanych ruchów, a potem długie przerwy. Andrzej wie po tej nocy, jak męczy się straszliwie oko wypatrując w jakichś haszczach, na tle płowych połonin czy pod smreczkami, jakichś ruszających się postaci. Trzeba zmęczyć oko tego, który tam się zasadza, nużyć je, aby straciło pewność. Posuwa się właśnie tak, jak obmyślił. Strzał pada, ale jakby dalszy. „Nie, na pewno nawet dalszy — upewnia się Andrzej — teraz znowu strzelili i znowu dalej. Zamiast się wstrzeliwać coraz lepiej, pudłują.

Żeby nie trzeba było za sobą ciągnąć drugiego karabinu...”

Sam nie wie, jak spływa z płaskowyża na stok, jak wydostaje się na zbocze kotlinkowej wklęsłości. Teraz widzi już ziemię obiecaną — kotę 405, pozycje kompanii, kapitana; cholernie dużo śniegu na jej zboczach! Ale teraz od tamtego strzelca, co posyłał kulę za kulą, gdy on, Andrzej, był na łączce, jest już zasłonięty. Można prędeej. Skokami wzdłuż zbocza.

— Ta-ta-ta-ta-ta-ta — rozstrzeliwa się naraz powietrze.

Andrzej padł, wczuł się w jakąś nierówność. Piekielnie bliskie. Pistolet automatyczny chyba? Głośne, klaskające, pękające jakby pociski. Może ekrazytówki? Skąd?

Skok.

— Ta-ta-ta-ta-ta-ta — rozłaskotuje się znowu.

— Wziu, wziu, wziu — śpiewa po nich.

Gałązki tej brzoźki nad nim, niskie, biedne gałązki obsypują się skoszone bezszelestnie. Andrzej wyczaja się, spręża: żeby nie ten drugi karabin!

Skok. Przeciągły, nerwowy skok.

— Ta-ta-ta-ta-ta — znowu i znowu.

Ktoś leży pod tamtym kamieniem.

Andrzej wystawia głowę, podpełza. Z naszego czy nie naszego plutonu? Nie może poznać. Ma mundur podhalański, ale twarz skurczoną, zsiniałą. Obiema rękami wpiera się w rozerwany brzuch. „Który to może być — zastanawia się podchorąży. — Kiedy padł? Kiedy ja szedłem, nie było go. Ach, tak; nie szedłem wtedy.”

Najwidoczniej zmylił drogę pełzając, uskakując. Kierunek dobry, droga inna. Tam znał już każdy krzak, wiedział, w jakim wklęsnięciu można przywarować,

gdzie człowiek przywrze bez reszty. Jakże człowiek w takich chwilach wchodzi w ziemię, dostosowuje się jak do kobiety. „Którędy teraz? Ta skałka?“ Długi szary głaz wyrasta o dziesięć kroków przed nim; doskonały skok. Nie; przepełnie trochę i dopiero skoczy. Tak się też staje. Skoczył. I naraz, jeszcze w skoku, wypada bliska, dygocząca seria.

— Ta-ta-ta-ta-ta...

— Ta-ta-ta-ta-ta — szczeka naraz z lewej.

I w dwóch miejscach szarego głazu sypią się ogniste strzały, odłupując kamień w pył i odpryski. Andrzej dostaje nimi po rękach, po twarzy. „Pociski świetlne“ — poszło przez myśl.

Nowa seria. A raczej dwie serie z dwóch pozycji.

Andrzej leży, leży. Wciska się pod kamień, który tu nawisł jakby nad mchami. Zamiera.

Nowa seria obsuwa się błyskami ognia po granicie.

Nowa seria zaszeleściła w mech.

„Cicho, cicho“ — mówi do siebie człowiek.

Istotnie, na chwilę wszystko wygładza się ciszą. Nad kotlinką, na której skraj już prawie dotarł, wyrosło wielkie, południowe słońce, stało się jasno, jasno, przejrzyste. Jeszcze bardziej niż wtedy, gdy — przed trzema kwadransami chyba — zaczynał swoje pełzanie. Tak zastygł, że widzi tylko niebo nad głową albo piach, z którego wciskając się zdrapał mchy. „Jakie to jest wszystko nieskończenie obojętne — myśli. — Wielki fiord, widziany z wzniesienia, gdzie leży porucznik i pluton, musi mieć o tej porze swoją niewzruszoność północnych mórz. Czy Narvik widać lepiej w południe? Dachy domków małego Ankenes... O jakże wielu rzeczach dalekich i obcych można myśleć, gdy nad człowiekiem czai się los. Jak to niczemu nie przeszkadza. Jak wiele myślenia ułatwia.“

Andrzej leży długo, tak długo, że w chwili, kiedy

naraz, jednym rzutem, odrywa się spod głazu i zapada w mchy o nieznaną ilość kroków, nie wyrwała się żadna seria. Czy tam przy erkaemach zagapili się Niemcy? Czy myśleli, że nie poderwie się już więcej? Ogląda się jeszcze na gładz. Białe rysy podrapały go w kilku miejscach: ślady kul. „Jakże to przeszło blisko, blisko — dziwi się człowiek. — Jak mało potrzeba na to, żeby...“ I skok. Nowy skok. To, że nic nie zaszczękło w powietrzu, że żaden świst nie odłupał gałązek małych brzeźniaków, sprawia teraz dziwne wrażenie. Właściwie niepokój. Dlaczego? Gdzież się teraz znowu czają? Nie, nie da się tym zwieść. Wie dobrze, co to jest. Znudzeni bezczynnością, przy świetnej porze dnia, zagrzani poranną walką, Niemcy polują sobie na tego człowieka, jednego jedyne go, który przekrada się od kępy do kępy. Zaczajają się. I naraz Andrzej uświadamia sobie, że jego towarzysze i on sam robili to samo. Podnosi głowę nad mchy. Rozgląda się. Jest niedobrze.

Znowu pomylił drogę. Kępami, zaroślami, wyszukując ukrycia, podlaził niezupęłnie w kierunku dawnego szlaku. Tak. Kota 405 wznosi się o kilkadziesiąt, sto kilkanaście metrów, ale jest to jej stok nachylony do tarasu, nieprzyjemnego tarasu tyłu przechodów. Taras, stary, niedobry znajomy, milczy teraz cicho, choć do Andrzeja ma z tej góry ledwo trzysta metrów. Andrzej wie, dlaczego tamten milczy; oto człowiek, na którego się poluje, jest wprawdzie jeszcze w tej chwili w zaroślach skarłałych brzezinek i chojniaków, ale jest u ich skraju. Teraz, u dna kotlinki, rozpoczyna się goła zupełnie równia torfowiska i człowiek fatalnie będzie musiał na nią wejść.

Długa chwila ważenia decyzji. Rozmowy z sobą.

„A za torfiakiem?“

„Za torfiakiem jest biała połać śniegu.“

„A potem zaraz?”

„Potem, zaraz potem, już stok koty 405.”

„Koty 405?”

„Tak, koty 405. Trzeba tylko przebiec ten śnieg, przesadzić tych kilkanaście metrów pod górę. To dwie minuty, trzy minuty czasu. I już.”

Długie wahanie. Wszystko w słońcu południa milczy. Jakby drzemało lub czekało. Czekają na kogoś, na coś.

Powoli Andrzej wpełza na torfowisko. Bardzo niezdecydowanie, to prawda. Ale ruch w niezdecydowaniu pozostaje ruchem. I oto już go przepełzł, już jest na jego skraju, głową niemal na śniegu, który skrzy się jak zwykle w górach w marcu: oślepiająco jasno. Niepokojąco jasno. Teraz już tylko poderwać się i przebiec. No, rrraz!

I jednym rzutem Andrzej podrywa się i rzuca, jak pchnięciem — nie na ten śnieg. Z powrotem, z powrotem! I potem skulony, wzdłuż krzaków, którymi dopełzł na ten skraj, uskakuje ku tamtemu zboczowi koty 405, skąd już tarasu nie będzie widać.

W pędzie biegu, przesadzania kęp, zbutwiałych pniaków i kałuż słyszy jeszcze regularne grzmocenie broni maszynowej, nastawionej na tamten śnieg, na strzał pewny, z zasadzki. Już coś śmiga i po jego krzakach. Niepewnie i beznadziejnie. A zwłaszcza — za późno.

• • • • •
— Jak tam?

— To samo, panie kapitanie. Czekają, trzymają się.

Kapitan patrzy uważnie, nie mówi nic. Strzelcy, którzy przedtem pamiętali rozmowę z Andrzejem, patrzą tak samo uważnie. Lekcja kapitana nie była daremna.

— Trzymają się, panie kapitanie. W porządku.

— A co to, karabin drugi pan przyniósł?

— Chałupki, panie kapitanie.

— Żołnierz to z pana jeszcze będzie, ale ludzi pan rozpaskudzi. Karabiny im nosić.

Ale widać, że jakoś mu odeszło.

— Od sztabu jeszcze nic nie ma. Niech pan podje, prześpi się. Karabiny swoim strzelcom nosi. Oj, panie ładny, widać, że pan tę swoją podchorążówkę to robił we Francji!

VI

Sygnał będzie: dwie białe rakiety.

— Pan kapitan nic mi o tym nie pisze...

— Bo, panie poruczniku, tośmy ułożyli z Banasiem; odprowadzał mnie aż na stok, gdy schodziłem. Potem przypomni o tym kapitanowi.

— A pan kapitan wie chociaż, jak tu jest?

— Jakżeż, panie poruczniku...

— A w sztabie wiedzą?

— Panie poruczniku...

— No, więc dlaczego...

Schylili głowy. Pocisk moździerzowy przefrunął ciężko nad wzniesieniem i wrył się w ziemię łączki, o kilkanaście metrów.

— Niewypał...

— Raz mamy szczęście...

Strzelcy popodnosili głowy: czekają na dalsze strzały. Ale nic nie nadchodzi. Pustka i ziąb. Wciśnięty w chojniałki przy ostatnim erkaemie, czuwa Gruda. Leżąc uderza butem o but, żeby się rozgrzać.

— I każą nam tak czekać?

Oczy porucznika, szare, żywo patrzące oczy, są teraz napełnione zmęczeniem po same białka. Andrzej milczy. Porucznik zawodowy z Polski i podchorąży ochotnik z Coëtquidanu patrzą sobie w oczy. „Jemu było

gorzej, gorzej niż mnie — myśli Andrzej — jemu się zdaje, że to kilkakrotne przechodzenie z meldunkami od nas do kompanii na kocie 405 i z powrotem było ciężkie. A ja wolę tysiąc razy to przechodzenie niż takie leżenie bez ruchu, w zimnie, mokości, odsłonięty, pod strzałami, które padają niespodzianie a ciągle.“

Po górach rozsiąpał się wieczorny, mżący deszczyk, beznadziejny, żałosny. Rudość traw, bezlistność poziomowa drzew przypomina naraz jesień. Góry za fiordem zlały się z szarością nieba, Narvik rozcieńczył się w mglistości, białe plamy domów Ankenesu mniej odcinają się w dole. Gruda skarży się na złą widoczność. Za dwie godziny, jeśli nie wcześniej, trzeba będzie wystawiać co najmniej po osiem czujek. Niemcy mogą podejść jak nic. Co zrobić, żeby ci ludzie nie spali, nie spali? Jak przepelź tu z odpowiedzią kapitana, nie słyszeli go wcale. Ileż to już będzie od chwili, gdy w dwóch rzutach pluton ruszył na owo wzniesienie. Trzydzieści godzin. To coś jest.

— To znaczy, mamy czekać?

Okropne słowo. Okropnie brzmi na tym wzniesieniu, wśród tych leżących, na wprost tamtych zwłok odciągniętych, które zastygają przywierając do ziemi. („Którzy to? Majewski? Nie. Majewski tam w dole, już w kotlinie... Ziemnowicz? Grajcarek?“)

— Tak, panie poruczniku. Mamy czekać. Aż wwinądują moździerz. Aż dadzą sygnał.

— I nie wiadomo kiedy?

Strzelcy patrzą milcząc. Andrzej jest naraz jakby częścią tego sztabu, co zwleka, tej obsługi moździerzowej, która nie przychodzi, która się guzdra, tego wszystkiego, co pozostawia ich tak bez pomocy.

— Nie, panie poruczniku, nie wiadomo. Moździerz są francuskie. Pułkownik Mally obiecał, co może...

— Francuzom się nie śpieszy...

— Francuzi, panie poruczniku, zostali zawiadomieni dziś po południu. Dziś po południu. Na kotę 405 wchodzi się dwie godziny. Na 603 chyba ze cztery. Niech pan doda do tego obciążenie mózdzierzy. Panie poruczniku, nie mogą wcześniej. Przyjdą najprędzej, jak będą mogli.

— Pan tak myśli, panie podchorąży?

— Ja tak wierzę, panie poruczniku.

W oczach strzelców, żołnierzy z Francji, zbielejących od zmęczenia, zapalają się słabym ogniem jakiegoś błysku.

— Ja to wiem, panie poruczniku, ja jestem tego pewien.

I naraz Andrzej uświadamia sobie, że wcale nie wie i wcale nie jest tego pewien, że co prawda francuskie dowództwo cechuje dbałość o żołnierza posunięta do drobiazgowości, że wszystkie straty w ludziach, zwłaszcza straty nie uzasadnione koniecznością, wydają im się zbrodnią, ale że powolność w działaniu jest i tam wielka. Co będzie? A jednocześnie takie słowa pewności są potrzebne. Konieczne. Powtarza je więc i mówi dalej z przekonaniem najgłębszym. („Rum — myśli w duchu — morfina wstrzykiwana w myślenie tych ludzi? Jak długo taki zastrzyk nadziei będzie działał? Do nocy — czy przetrwa? I jak potem osłabnie człowiek, jeśli przełom tymczasem nie nastąpi?“)

— No i co, panie podchorąży?

— Jak to co, panie poruczniku, czekamy.

— Na te francuskie mózdzierze?

— Na te francuskie mózdzierze.

W mgle szarej, dobrze zmierzchowej, widać garb wydłużony kreską spośród dziesiątka innych garbów; kota 603 milczy. Ostatni strzelec plutonu wie, że tylko kota 603 może zmusić do milczenia wszystką broń maszynową Niemców; ale na kocie 603 muszą być mózdzierze, a mózdzierzy tych nie ma.

— Nie napije się pan?

— Nie. Daj pan strzelcom.

Fortuna kręci głową. Nawet nie odpowiada. Nie chce. Sawicki też nie. Firek nie. Buczyński nie.

— Co nam z tego rumu, panie podchorąży...

Buczyński odwrócił się twarzą do ziemi:

— Mnie się tak zdaje, że przyjdzie się tu już...

Kule prześwistały długim, niepokojącym ciągiem nad wzniesieniem, nad głowami leżących. Jeden, drugi podniósł głowę. Nadśłuchują. O kilkanaście kroków ktoś nuci. Zupełnie wyraźnie: nuci.

— Cóż to? — pyta porucznik.

— Pokreśliło się komu?

— Chyba zalany.

Stuk buta o but w rytm, w takt melodii. Który, to? Ach, Gruda? Przy karabinie maszynowym. Gruda, but o but bijąc dla rozgrzewki, mruczy sobie pod nosem.

— Gruda!

— Słucham, panie poruczniku.

— To wy tam śpiewacie?

— Nie śpiewam, panie poruczniku; na stanowisku nigdy bym nie śpiewał. Tylko ze sam jezdem, to sobie ponuce...

W dole, słuchając rozmowy, jakoś wszyscy są rozbrownieni. Ten Gruda, cholera. Śpiwo sobie. Sam porucznik się waha.

— To wam niby tak wesoło?

— Kto mówi, że wesoło, panie poruczniku. Ja zawsze taki śpiwający byłem... pan porucznik sam wie, z Ploermel... Jakaśmy ta drzewo w październiku wozili, bywało jesce w Polsce, z piotrowickiego lasu. Taka sama była mokrość w powietrzu, to się śpiwoło. Jak teraz tak mokro, to się tamto rozpamięta... Jechało się, jechało, bo las był wielgi. Jesce go nie były wycienły. *Et alors*, pan porucznik tak jeździli do lasu? Ale pewni-

kiem na polowanie, po pańsku... To się także jadący śpiwało...

Po ludziach przechodzi fala ciepłego rozpamiętywania. Taki popiół, stygnący powoli, w którym jeszcze tlą czasem czerwone serduszka żaru. Kasprzak pociąga nosem; Kasprzak zawsze pociąga nosem, kiedy go coś bierze. „To jest żołnierz, ten Gruda — myśli Andrzej. — To byłby oficer, ten by dowodził. Nic go nie rozmiękcza, nic go nie rozkrochmała. Ach, Gruda.“

W tej chwili huk, którym wstrząsnęła się górska martwość, przerywa Grudowe śpiewanie. Drugi, trzeci. Strzelcy przywarli do ziemi: moździerz! Ale na nikogo nie posypała się nawet ziemia. Chwila przerwy i znowu trzy strzały, i zaraz potem drugie trzy. Słupy ziemi wytrysły koło sosenki. Gałęzie wyrzuciło pod niebo z tamtych brzeźniaków. To nie są moździerze niemieckie z rana; to poczęła gadać kota 603.

• — Francuzi, panie poruczniku... — powiada ktoś półgłosem.

— Co pan myśli o tym? Francuzi, panie poruczniku! — mówi Andrzej powstając.

I naraz, znad koty 405, wystrzela szarym niebem jasna smuga rakiety: fajerwerk. Przekreśla niebo i rozplywa się we mgłę. „Ta mgła, jaka będzie dobra dla odwrotu — myśli Andrzej. — Odwrotu?...“ Wzniesienie już nie jest obce, nieżyczliwie obce, wrogie. Ziemia, do której tak się szczelnie przywarło, która otwierała ciałom swe rozpadliny i wklęsłości, gdy ma się ją opuścić, jest na moment dobrze znana, ciepła.

Druga rakietka podnosi się pod niebo, wysoko, wysoko.

— Idziecie za panem podchorążym; pokaże którądy. Ja na końcu — mówi porucznik.

W dwóch skokach przebyta łąka. Czy Niemcy widzą? Dlaczego, jeśli widzą, nie strzelają? Mgła, tak; ale jeszcze strach przed odkryciem moździerzom z koty

swych stanowisk. Kilka kul luźnych prześwistuje powietrze i zapada gdzieś w krzaki; jakaś gałązka się zachwiała. Żołnierze, ośmieleni brakiem strażów, jeden po drugim przesadzają łączkę.

Kotlinka.

Już pewniej, pewniej. Jakże znajoma droga! Ten trup przewalony na bok z brzuchem rozprutym; jeszcze zsiniał od rana. Głaz tamten z rysami od kul. Tamten śnieg; nie tędy. Jeszcze kilkanaście strażów przeszeleści górą. Moździerze nad ich głowami przerzucają z furkotem pociski. Puszczą strzelców przodem. Porucznik? Porucznik wychodzi na końcu. Ten jest wycieńczony najbardziej. Koniec.

.

Jest noc biała na tle tej doliny, co idzie od fiordu, o dwa kilometry od koty 405, pierwszych linii, tamtego wszystkiego. W lesie gotuje się gulasz żołnierski. Szesnastu ludzi pije i je. Kucharze, łajzy kancelaryjne, trepy wszelakie i waźniaki kompanijne, wszystko to jakieś usługne i przymilne wokoło owej szesnastki. Tamci siedli na balach przytaszczonych tu kiedyś pod budowę domu i milczą. Whisky, przywiezione z kantyny angielskiej, swoje przecież robi. Przyjechał Stecki od swoich cekaemów.

— Mieliśmy was za straconych — powiada. — A co z waszą pozycją?

— Ze wzniesieniem?

— Tak.

— Wycofaliśmy się z niego — mówi Czezel.

W tej chwili jakby to sobie wszyscy uświadomili. Że tamtą pozycję oddali.

Ktoś przy kotle mówi:

— I taki był koniec...

Michałek powiada:

— Pokrwawili się nasi, pokrwawili, i co — musieliśmy iść precz!

— Michałek!

Rozmowa cichnie. Czy podchorąży będzie się o co czepiał? Michałek patrzy wilkiem. Ludzie odwracają oczy na stronę.

— Nie rozumiecie, po cośmy się tam bili?

Michałek patrzy w oczy podchorążego szczerze, prosto.

I odpowiada opornie:

— Nie, panie podchorąży. To wiem, żeśmy tam weszli, ludzi natracili i musieli iść precz.

— Wolskiego podchorążego szkoda — dodaje od strony Fortuna.

— I kaprała Majewskiego...

— I tamtych poranionych...

— Kettlera, Sytego, Wiczewskiego...

— Kubickiego, Kukurutza...

I nazwiska te są jak bale: słabnącego zewsząd podparły.

— Jak już było iść — powiada Michałek — to z większą siłą. A nie, to lepiej nie wychylać głowy z komory...

— I nikt z was nie wie, po cośmy poszli i czemuśmy mogli potem wrócić?

Jednym zwrotem rozmowa, zaczęta jak oskarżenie, wpada w egzamin. Jaki? Z czego? Ale wszyscy odczuli ten zwrot jak zakręt nagły. Ciekawość.

— Nikt?

Nie odpowiada nikt. Ale czekają wszyscy.

— To ja wam pokażę, Michałek. Chodźcie tu, na drogę.

Wychodzą z lasu, od kuchen, na drogę. Andrzej się nie ogląda, wezwał tylko Michałka, ale czuje, że tamci

idą także. To dobrze. Na drodze piaszczystej leżą połamane chrusty. Andrzej przyklęka.

— Pokażę wam, bo trzeba żeby starszy strzelec, a do tego celowniczy, nie tylko słuchał, ale jeszcze rozumiał. Więc widzicie. We wtorek myśmy przyszedli na tamtą kotę, gdzie teraz kapitan. O, tu.

Na piasku drogi powstaje jeden zarys.

— Ta dolina, gdzie teraz jesteście, z tą rzeczką tam, z kuchniami, to jest tu...

Nowy zarys. Michałek kiwa głową, że rozumie. Ktoś z tyłu za nimi się tłoczy i przepycha.

— Naprzeciw nas, jakżeśmy je widzieli z naszej pierwszej pozycji — pamiętacie? — były tamte górki, o...

Znowu długi, tym razem najdłuższy zarys.

— Tamto na lewo, wiecie, co to jest?..

Kawałkiem chrustu zafalował na piasku. Michałek namyśla się, namyśla. „Źle tłumaczę, źle tłumaczę — niepokoi się Andrzej. — Nie rozumieją, nie mogą zrozumieć.“

Aż z tyłu ktoś zagaduje półgłosem:

— To chyba tamta sosenka...

— Kto powiedział „sosenka“? — podskakuje Andrzej.

— Ja — powiada Socha; oczy mu się świecą i uśmiechnął się.

Socha jest młody, młodziutki chłopak, żywy, bystry. Andrzejowi robi się ciepło.

— A to, w bok, wiecie, co to jest?

— To te brzozy — powiada Socha.

Chryst Andrzeja przeleciał powietrzem aż daleko na prawo i zarysował kolejno trzy łamane ostro linie.

— To tamto, co pan podchorąży z panem porucznikiem mówili: „taras“ — odzywa się Michałek.

— A teraz narzysujcie sami, gdzieśmy byli zaszli?

Michałek, niezdecydowanie, zaznacza.

— Czy dobrze narysował?

— Nie, w prawo — poprawia Socha.

— W prawo i naprzód *un peu* — dodaje Fortuna.

— Tak, o tu. Widzicie. Trzy dni temu myśmy stali przed tym wszystkim jak głupi. Wiedzieliśmy jedno: tam gdzieś są Niemcy. Ale gdzie? Gdzie są ich erkaemy, cekaemy i moździerze? Gdzie się okopali? Gdzie trzymają najsilniej? Skąd mogę prowadzić ogień? Wiedzieliśmy co? Nic. Byli tam przed nami Anglicy, ale Anglicy mieli małe siły, tyle, że trzymali, nie umieli iść na rozpoznanie. Nawet to, cośmy od nich wiedzieli, pewne nie było. A teraz jak jest? Wiecie już, co Niemcy trzymają, a co nie?

— Wiemy...

— No, co?

— To... i tu... a jeszcze tu...

Ruchy wyciągniętych ku piaskowi drogi ramion są jeszcze niezdecydowane, ale trafne. Sosenka, brzeźniaki, taras.

— Toście to, panie podchorąży, tam rysowali?

— Ano. I od kapitana też rysowali. A czemu? Bo przecież o to właśnie, o to właśnie chodzi. Kiedy pójdzie nasza ofensywa na Narvik ze wszystkich stron, to trzeba wiedzieć co? Gdzie są ich linie, gdzie się okopali, gdzie mają gniazda cekaemów, moździerze, wszystko. Mogą pozmienić, pewno. Ale trzeba i za tym śledzić. Wtedy, gdy wszystko ruszy, będziemy wiedzieli, co strzelać, skąd najpierw wykurzyć...

— Angliki, juchy, stali i nie mogli ich podmacać...

— Widzisz, synu, takie podmacanie to robota. O Anglików się nie bój. Mało to niemieckich statków zatopili w fiordach? Pracowałeś teraz dla angielskiej artylerii. Zobaczysz, jak ona będzie za parę dni łupiła po tych sosenkach nie sosenkach, coś rozpoznawał. Bez

rozpoznania chciałbyś iść? „Jak było iść, to z większą siłą“, gadał tu Michałek. A wiecie wy, że pod tamtą górą mogły i dwie kompanie zostać?

— Moskale tak szli w czternastym — wtrąca się kucharz Humeny, który jest z „tamtej wojny“.

Nikt już nic nie dodaje.

— Rozumiecie już teraz, rozumiecie?

— Rozumiemy, panie podchorąży... Tyło ze tyła ludzi...

I naraz Andrzejowi czas cofa się w tył, o dwie noce i dwa dni. O godzin kilkadziesiąt. Jest mały Wolski. Leżą na występie skalnym koty 405, jest wielkie słońce, w dole Narvik objęty w roztocz fiordu. Wypatrują, skąd biją do nich raz po raz. Cóż wtedy mówił Wolski? Że to głupstwo. „Parę drobnych patroli w sile jeden do dwóch, jeden do trzech, tej nocy, następnej nocy.“ Wtedy, kiedy o tym mówili, już szły na górę ze sztabu rozkazy. Na rozpoznanie — pluton.

Wiatr zawiął w tej chwili od góry, od wschodu, echem karabinów maszynowych. Jakby śniegiem zamarzłym rzucił w twarz. Odwrócili się wszyscy. Jak tu spokojnie! Jakie tamto dalekie! Strzelanina rozbębnia się po górach, zniża i ścisza, wybucha nagle, w odskokach posuwa się gdzieś dalej.

— To nie na naszych pozycjach — zauważa Michałek.

Oczywista, że nie na naszych pozycjach. Michałek chce się zrehabilitować, pokazać, że rozumie sprawę wojny.

— To będzie u porucznika Tracza...

— Nie, to już będzie gdzieś aż w trzecim batalionie...

„Tak, to będzie trzeci batalion“ — powiada do siebie Andrzej.

— Trzeci? — zwraca się do Steckiego.

— Trzeci, trzeci. Legia Cudzoziemska także zaczęła wczoraj. *Chasseurs alpins* poszli w góry.

Wiatr przynosi od gór nową serię strzałów. Potem znowu nową. Strzelcy rozważają je w sobie. Cztery dni temu, kiedy ich tu nie było, było tu cicho zupełnie. Cały ten front pod Narvikiem był martwy. Jak te góry. Jak to morze. Teraz na wszystkich odcinkach od granicy szwedzkiej do morza, od morza do granicy szwedzkiej poczyna ruszać się rzutami patroli, szczepiać ogniem, wgrzyzać się wypadami, opukiwać strzelaniem codziennym. Dwa dni temu to oni, 4. pluton, uwiesili się tak pomiędzy dwoma pozycjami, trwali i musieli odejść. Teraz inni, może szczęśliwiej, zaczynają. Oni czy inni; nie wszystkoż to jedno? Powoli, stopniowymi uderzeniami, wdrażają się w daleki odcinek olbrzymiego, olbrzymiego frontu, który nazywa się Narvik. Jak górnik, co po omacku, ręce smoląc i krwawiąc, wylupuje węglowy chodnik. Są właśnie tylko jednym takim uderzeniem, jednym z miliona uderzeń, jakich potrzeba, aby stworzyć kopalnię, wygrać wojnę. Wsłuchują się w te strzały na górze, jak górnik wsłuchuje się w huk uderzeń, przerabujących w tej samej kopalni inny równoległy chodnik. W tym brzeźniaczkę na drodze pylnej do Haakvik pojęli naraz wielką mądrość wojny: sztukę współdziałania. Gdy posną pomordowani tamtym wszystkim, rozpełnie się ona po wszystkich zwojach mózgu, wypełni sobą wszystkie szczeliny podświadomości, wysączy się w całą odruchowość człowieka. Żołnierz nie jest sam; jest częścią wielkiej całości; ta całość żyje życiem własnym, takim ponadżyciem, w którym żołnierz obcuje jakimś świętym obcowaniem kościoła katolickiego, gdzie każdy posiada swój współdział, uczestniczy, trwa. „Moje życie rozcieńcza się w życiu gromady; życie gromady wchłania moje życie.“ Nim się tej filozofii prostej, a nie tak prostej, nie pojmie lub nie

wyczuje, stoi się przed żołnierskim powołaniem jak przed furta klasztorną lub przed brzegami Styksu. Trzeba dopiero przejść próg tej ciszy. Trzeba dopiero wstąpić w chłód tych fal.

VII

Wielkie okno jest otwarte na przestrzał, rozwarte szeroko i powietrze napływa wielką strugą, orzeźwiająco po tych chloroformach, karbolach, odorach, jakie wczepiły się w kąty, przepajając sobą koce, sienniki, prześcieradła. Za kilka dni, gdy będzie mógł się podnosić, będzie widział przez to okno morze. Tak mówiła siostra Mary. Kilka dni, czy to cztery, czy dziewięć? Siostra Mary mówiła wczoraj, gdy był doktor. Próbny ruch mięśnia przebiega przez udo i więdnie, jak w zatorze ulicznym, w bólu rany. Cichy, cichy jęk. Nie, nie trzeba drażnić, nie trzeba próbować.

Ranny Niemiec ze złamaną nogą poruszył się i odwrócił głowę. Kettler nie lubi tego spojrzenia. Niemca przyniesiono tu wczoraj, w bandażach. Ma tę nogę i jeszcze opalenizny skroni. Głowa jest opasana białymi pasami, tylko oczy patrzą ostro, odsłonięte białe wargi i jakby ściągnięty nos. Niemiec przeszedł na noszach w niemej obcości sali, tego Czecha z Legii Cudzoziemskiej, tych czarnych *chasseurs alpins*, tego Kanadyjczyka, który już chodzi o kulach, Kettlera. Nosze zatrzymały się przy Kettlerze, gdzie było puste łóżko. I od tej pory ma za towarzysza niemieckiego lotnika. Przez tamten dzień Niemiec patrzył w sufit i on w sufit. Dziś rano zajrzeli sobie po raz pierwszy w oczy, o dwa metry odległości. Kettler odwrócił głowę, Niemiec — nie. Teraz jest to samo. Szarpanie rany rozchodzi się powoli, wygląda ponownym znieruchomieniem. Kettler ma oczy utkwione w bladym niebie norweskim za oknem,

ale czuje doskonale na swej twarzy ciężar cudzego spojrzenia, nieznośny, uporczywy, wytrwały. „Jakby mu pokazać, żeby dał spokój, żeby poszedł precz — mężczy się Kettler — że nic z nim nie chcę, nic, nic? Niechby wiedział, że jestem Polakiem; może zrozumie.“ I mówi przez salę do tamtego Czecha głośno, po polsku. Czech nie bardzo rozumie i źle słyszy; nie wolno mówić głośno; siostry gniewają się o to. Kettler mówi głośno, po polsku. I to sprawia mu ulgę.

— Grenoble — słyszy z tamtego łóżka.

„Grenoble“; wyraźnie: „Grenoble“. Grenoble, Grenoble... Jakiś świat otworzył się naraz w szarym niebie ujętym w ramy okna. Domy stare, wybrzuszone zabawnie w uliczkach-staruszkach pnących się zdyszanie w górę; i arkady uniwersytetu; i plac przed Hôtel de Ville, i winiarnie, i góry, góry, góry, zielone góry, winne góry, wesołe góry. Grenoble, Grenoble. Jakiś świat, pełen blasków, barw i śmiechu, dziewczyny strojne, niosące głowy prosto jak w tańcu, kamienie chodników powyłaczone, staroświeckie. Płacze się to niezdarnie, wiruje, wypływa, jak woda bulgocząca na ogniu.

— Grenoble — mówi Niemiec głosem znajomym jakimś, ciepłym — Grenoble, Grenoble...

Kettler zwraca głowę, ale nim zwrócił, nim spojrzeli sobie w oczy, już rozumiał i wie.

Nie, nie są nawet o dwa metry od siebie. Są tuż przy sobie. Przejście między łózkami w tym przygodnym szpitalu jest takie wąskie. Twarz tamtego jest okolona bandażami, które zbiegają aż pod brodę, tworząc wokoło biały, obcisły skafander. Dlatego nie poznał go wczoraj. Twarze obu są blade, poznaczone zielonkawymi cieniami, powleczone woskiem bezkrwistości. Ale oczy są jednak te same.

— *Ich bin doch Gallen, Johann Gallen. Erkennen Sie mich nicht?*

I naraz:

— *Mais oui, tu me reconnais!*

Kettler kiwa głową, że tak, i nie wie, co więcej go ścina: czy to, że tamten mówi po niemiecku, czy to, że gdy zaczął po francusku, wrócił do dawnego, starego „ty“. Przez chwilę leżą naprzeciw siebie i Gallen ma blady, życzliwy uśmiech. („Czy ja mam też taki niezdecydowany uśmiech?“ — myśli Kettler.) Robi mu się aż ciepło i to ciepło podpływa pod gardło, głowa ciąży ku poduszce. Przymyka oczy jak wtedy, gdy zmieniają opatrunek, i przez wpółotwarte widzi po chwili to samo co zawsze od czterech dni: biała ściana, portret wysokiego króla Haakona, okno, a za nim niebo szare, północne, niebo polskich jesieni i niebo dzisiejszych wojen.

Gallen...

Obraz Grenoble przestaje naraz wirować, skakać, łamać się na części. Przestaje być nieładem fotografii rozsypanych z otwartej nagłym ruchem szuflady. Poczyna płynąć przed oczami wolno, sennie, w rytmie obrazów z pogodnego, plenerowego filmu. Znowu więc jest Grenoble i on tam, w tej Grenoble. Oto wchodzi znowu po schodach wysokich u Madame Javel i schody te są wyfroterowane jak zawsze, wchodzi do pokoju i pokój jest ten sam, i obicia wypłowieło czerwone, i gnąca się wąsko płyta biała kominka, i wysiedziany, oklapnięty fotel. Słońce pada przez okno, jest ranek, niedziela rano. Johann goli się przed lustrem, do połowy nagi, smukły, muskularny; skóra pleców ma lekki ton różowawy, jak to bywa często u blondynów, których jasność włosów przechodzi w rudawe, miedziane błyski. I śpiewa podnosząc brodę do lustra, aby się czasem nie zaciąć, śpiewa piosenkę studencką, śląską:

*In einem polnischen Städtchen,
Da lebt ein süßes Mädchen...*

Po czym taśma filmu rwie się krótkim, zdecydowanym szarpnięciem. Naraz znowu jest nic, wszystko miewa się w oczach tak nagle, że niczego już rozróżnić nie sposób, a potem blaknie naraz i szarzeje w mdłą szarość ekranu. Z powrotem jest tylko biała ściana, otwarte okno i szare, szare niebo. Wszystko jest już tak, jak było przed chwilą i przed godziną. Niezupełnie. Obok, tuż po prawej, na takim samym łóżku szpitalnym, jest teraz obecność, która niepokoi, podnieca i nęka. Przedtem był tam po prostu człowiek cierpiący. Teraz jest tam ktoś, z którego każdym ruchem, odcieniem głosu, spojrzeniem podpływa z okropnej odległości ciepła struga wspomnień. Okropnej dalekości. Jakże to doprawdy dalekie. Grenoble; tamto wszystko! Ta struga wspomnień nagle wytrysła jakże jest ciepła.

Przekręca się na bok, nie myśląc o tym, co robi. Ból, szarpiący ból uda. Usta skrzywiają się skurczem, który otwiera je do połowy i pozostawia tak chwilę otwarte. Oczy obu spotykają się właśnie w takiej chwili, pytające, wyczekujące.

— Dostałeś? — pyta współczująco tamten.

Kettler uśmiecha się uśmiechem współbolesnym, a wpółzbywającym: nic takiego. I tak jak ranny ranne-go, pyta po chwili poważnie:

— A ty?

Tamten porusza ręką w kierunku nóg, w kierunku skroni:

— Za dwa miesiące nie będzie znać.

— U mnie nawet wcześniej — powiada Kettler.

Gallen wykonywa ruch ręką, nowy ruch ręką, który nie wiedzieć co ma znaczyć. Czy, że to wszystko jedno, czy też, że to tak samo. Patrzy milcząco na Kettlera spojrzeniem ciężkim, uważnym:

— Więc byłeś w wojsku francuskim?

— Nie, w polskim.

— W Norwegii?

Zdumienie jest tak niepohamowane, tak ogromne, że w Kettlerze wzbiera jakaś milcząca, rozgrzewająca duma. Tonem obojętno-informacyjnym, jakby nigdy nic, objaśnia:

— Pod Narvikiem jest jedna z naszych polskich formacji. Wyłącznie polska.

— Słyszałem — mówi Gallen — w radio, że były tu polskie okręty wojenne przy angielskich. O wojsku nic nie mówiono.

I moment zniecierpliwienia, jakby wzruszenie ramion, jakby odcień mimowolnej pogardy:

— Polacy — skąd? w Norwegii?...

— A wy?

Gallen wykonywa znowu jakiś niewyraźny, okólny ruch, coś tak, jakby mówił, że to jest całkiem a całkiem odrębna — jemu, Niemcowi, zupełnie jasna, innym do rozumienia zupełnie nie niezbędna — sprawa. Przez chwilę rozmowa się rwie i obaj mają oczy utkwione w szpitalnej białości ściany i nudnej szarości nieba, ale czują, że każdy z nich przerwie to milczenie lada chwila.

— To wojna zastała cię we Francji? — zaczyna obojętnie Gallen.

— Nie; w Polsce.

— Więc jak się tutaj znalazłeś?

Zdumienie tamtego jest tak szczere, że wywołuje uśmiech, dawny, przekorny, sztubacki uśmiech Kettlera.

— Zwyczajnie; przeszedłem granicę.

— Co za „granicę“?

— Najpierw słowacką, potem węgierską, potem jugosłowiańską...

— *Unerhört!* Co ty gadasz? Przecież Słowacja jest przez nas obsadzona.

— A Węgry i Jugosławia kontrolowane? A Wło-

chy — kraj bratni? No, tak, teraz mogę ci powiedzieć, że tysiące nas tak przeszło. I pewno dalej przechodzi. I właśnie z tego tworzą się te brygady, pułki, dywizje polskie we Francji...

— No, i ze skomunizowanych robotników, którzy walczyli w Hiszpanii...

— Racja. Mną nawet dowodził drużynowy, który podobno walczył w Hiszpanii. Doskonały element. Umieją się znakomicie podkładać, rzucają jak nikt granatami, nie boją się czołgów.

Ale Gallen słucha tego wszystkiego z największym lekceważeniem. Wzrusza wyraźnie, nieopanowanie ramionami.

— I po co to wszystko?

— Jak to, po co?

Odpowiedź Kettlera jest taka, że rozmowa się urywa. Ale myśl tamtego kłębi się koło czegoś, czepia, nie może oderwać. I już po chwili pyta:

— Widziałeś wojnę w Polsce?

— Brałem w niej udział.

— Gdzie, ciekawym.

— W ochotniczym batalionie obrony Warszawy.

— Warszawy? Byłeś podczas tego wszystkiego? I nic?

— Na szczęście, nic.

— A... a potem nie byłeś w niewoli?

— Nie, przebrałem się w cywila i wyszedłem na Radom.

— Do Francji?

Kettler kiwa głową. Jest trochę zniecierpliwiony. Czegóż tamten tak nie rozumie? Czemu trzeba mu to wszystko, bardzo proste przecież, powtarzać, w głowę wtłaczać? Na jakież pytania, nie zadawane głosem, ale nurtujące w myśli tamtego, musi dawać odpowiedzi? Jakie, jakie pytania? Nastawia się nieufnie; jest, najwidoczniej jest coś, co tamten chce od niego wydobyć,

wyciągnąć, podstępnie, ukradkiem. Niepostrzeżenie. Po co? Co to może być? Czegoż nie może zrozumieć? Znali się tak dobrze, tak bardzo dobrze; są młodym pokoleniem dwóch sąsiadujących ze sobą narodów; ich sprawy są wyraźne. A przecież...

Posługacz szpitalny, zwany w sali nie wiedzieć czemu Don Pedro, przynosi z dwiema siostrami obiad. Okno zamknięto, gorący bulion rozleniwia, rozsypia. Ale Gallen wraca znowu do swoich pytań:

— Jesteś w jakiej broni?

— W piechocie.

— W piechocie?

Znowu zdziwienie. I znowu jakiś ton lekceważący, ale jakby dobrotliwy: kto wie, czy ta dobrotliwość nie drażni właściwie najwięcej.

— A... a czym byłeś?

— Żołnierzem.

— Ach, oczywiście — ale ja pytam o stopień. W jakim stopniu?

— Właśnie — żołnierzem.

Gallen odstawia talerzyk z kompotem, zadowolony, uśmiechnięty. „Albo kompot nowozelandzki smakował mu jakoś szczególnie, albo ja go czymś dziwnie rozśmieszam“ — myśli Kettler. Tamten nie patrzy mu w oczy, jakby ich unikał, ale uśmiecha się nadal. Wiadać, jak ten uśmiech spływa od bladych kącików ust aż pod białe pasy bandażu. Znowu sięga po kompot i wydając ostatek soku mówi, ubawiony jakby:

— Prawda, prawda. Słyszałem, czytałem, że nawet wasz dawny ambasador w Berlinie i wszyscy dyplomaci poszli na prostych żołnierzach...

— To prawda. Lipski jest teraz na froncie zachodnim. Z dyplomatami rozmaicie bywało. Przyzwoici zgłosili się do wojska, inni...

Urywa; nie, nie powie tego wobec Niemca. Ale Gallen uśmiecha się z innej, zupełnie innej rzeczy:

— Przyzwoici, powiadasz, poszli do wojska?

— No, tak.

— I wy tych właśnie nazywacie „przyzwoitymi“?

— A jakbyś ty ich nazwał?

Uśmiech Gallena, który uporczywie wyjada jakieś resztki kompotu z pustego chyba talerza i nie patrzy Kettlerowi w oczy, jest szczególnie dobry, łaskawy, życzliwy. Jest pewne ubawienie w odpowiedzi:

— Oczywiście, że można to i tak nazwać, niewątpliwie. Dla nich jestem z całym szacunkiem. Więc u was za żołnierzy są byli ambasadorowie, dyplomaci i kto jeszcze? Profesorzy, naukowcy, inżynierowie, pisarze?

— Profesorzy, naukowcy, inżynierowie, pisarze. Nie żartuję. Weź moją brygadę. W sztabie jednego z batalionów siedzi sierżant — profesor prawa kanonicznego na najstarszym uniwersytecie polskim. Plutonowym w kompanii karabinów maszynowych jest młody historyk. Kapralem w kompanii strzeleckiej jest pięćdziesięcioletni docent archeologii. W moim plutonie jest docent ekonomii. Starszy strzelec. Drużynowym w kompanii 3. jest jeden z najlepszych naszych korespondentów zagranicznych; miał świetną pozycję w Rzymie do ostatnich czasów. Są to teraz wszyscy dobrzy celowniczo- i karabinowi, dobrzy drużynowi, dobrzy strzelcy, dobrzy żołnierze. Nie gorsi od tamtych skautów, studentów, osiemnastolatków, którzy ze mną przechodzili granicę...

— I to wszystko to teraz starsi strzelcy, celowniczo- i karabinowi?

— Tak.

Gallen ziewa, odsuwa pusty talerz ze zniechęceniem i zmęczeniem. Przez chwilę patrzy na Kettlera uważnie, przyglądając się z zaciekawieniem badacza obser-

wującego okaz nader rzadki, więc ciekawy, ale niewątpliwie wychodzący daleko poza ramy zdrowej normalności. („Obserwuje mnie jak owada, jak bakterie pod mikroskopem, jak rozwój jakiejś tkanki czy plazmy — myśli Kettler. — Co to znowu ma być? Co to znaczy?“)

— Nie próbowałeś chociaż — zagaduje niezupełnie oczekiwanie Gallen — dostać się do lotnictwa?

— I jak.

— Nie udało się?

— Nie.

— Francuzi nie mieli aparatów? — drwi wyraźnie, zwycięsko Gallen.

— Były różne trudności — wymiguje się Kettler.

— A wasi woleli mieć parę postawnych dywizji? To takie piękne — dywizje piechoty! Zwłaszcza, gdy maszerują na defiladzie. Prawda?

Kettler milczy, milczy. Ma w tej chwili zmęczoną twarz i zmęczenie wycienienia jego rysy, robi je dziecinne, chłopiące. Gallenowi staje przed oczami Grenoble, piękna Grenoble, ten sam dom, te same schody i pokój, który zjawił się temu godzina przed oczami wyobraźni Kettlera. Wspomnienie zbliża go znowu, patrzy. Po twarzy Kettlera rozpełzł się wyraz zmęczony, bolesny prawie i smutny. W tamtym naraz rozbraja się i rozkuwa wszystko:

— Powiedz, powiedz — mówi szeptem prawie, prosząc — powiedz, możesz, możesz mi mimo wszystko powiedzieć... było ci źle? Co? Było ci źle? Powiedz. Nigdy, nigdy, nie było ci choć ciężko? Bardzo ciężko?

Są chwile w najbardziej twardym życiu, właśnie w życiu najbardziej twardym, kiedy człowiek staje się naraz miękki. Taka chwila jest chyba teraz w życiu strzelca z cenzusem Kettlera. Gallen nalega głosem tak samo ściszym jak wtedy, kiedy powtarzał słowo

„Grenoble“, i ten głos działa tak samo jak wtedy, przed południem. Kettler ma oczy wpółzmruczone, z powrotem utkwione gdzieś w przestrzeni i mówi wreszcie, jakby mówił sam do siebie, tylko do siebie, i jakby wydawał je westchnieniem z największej, najtajniejszej głębi:

— O, tak...

Po chwili wstrzymuje się.

— Zapewne nie powinienem tego tobie mówić...

— Dlaczego? — dziwi się smętnie Gallen — ja to wszystko bardzo dobrze wiem.

— Skąd ty to możesz wiedzieć?

— Chcesz — pyta Gallen — żebym ci powiedział, skąd? Mogę ci powiedzieć, powiem.

To przecież proste zupełnie. Mogłem — ja, lotnik — nie wiedzieć, że w siłach, jakie wysadzili tu Francuzi temu dni dziesięć czy więcej, znajdują się i Polacy; mieliśmy *in der Luftwaffe* inne zadania. Ale myślisz, że nie znam spraw polskich, że nie czytałem o sprawach polskich, że się u nas o tym nie czyta, nie pisze, nie śledzi, nie wie? Mój stary, wierz mi, my wiemy wszystko. To, o co się pytałem raz z tej, raz z tamtej beczki, to tylko dla dopełnienia sobie obrazu. Teraz już ten obraz cały mam. Wiem już o tobie więcej, niż ty sam o sobie wiesz.

Gallen podniósł się na łokciu i patrzy długo na Kettlera.

— Mój drogi, jedno ci powiem jak najzyczliwiej w świecie, tylko się nie zdziw ani nie miej za złe: po co ty jesteś Polakiem?

Kettler wzrusza ramionami, nic nie odpowiada. Aż dopiero po chwili:

— Mój drogi, a jeżeli ja zapytam się ciebie: po co ty jesteś Niemcem?

U tamtego raz jeden jeszcze nieznacznym uśmiechem wyższości:

— Janku, jeżeli mamy sobie odbijać pytania jak piłkę na korcie, doprawdy nie warto gadać. Wierz mi, że mówię do ciebie z całą serdecznością. Trzeciej Rzeszy nie zależy na tym, abym zaagitował jednego polskiego strzelca; nie wiem, czyby jej nawet zależało na tej całej waszej brygadzie. Ja jestem Niemcem: ale nie jestem już Sasem czy Badeńczykiem, bo ja i ludzie u nas zrozumieli, że nie ma już Bawarów, Austriaków czy Sasów; bo dojrzeła już w Europie świadomość, że nie ma Fryzów, Holendrów czy Flamandów, że nie ma Duńczyków, Norwegów, Szwedów. Historia, a właściwie trudności komunikacyjne, schizmy religijne, spory małych dynastji rozluźniły na naszym kontynencie dawne wielkie całości plemienne, ale wynalazki kolei, samolotu, radia dawno już zbliżyły wszystko na nowo, tak jak dawno ostygły spory religijne, a potraciły znaczenie ostatnie dynastie. Lada dzień u was, Polaków, zrodzi się instynkt, że właściwie jesteście Słowianami, to znaczy Rosjanami; i będziecie w najlepszym razie rozrywani przez dwa wielkie programy na przyszłość: czy macie stać się tym, czym stali się przed wami Obotryci, Łużycanie, ba — spora część waszych Ślązaków, i przedłużyć świat prusko-germański do Bugu; czy też macie w sobie wskrzesić przytępione tęsknoty słowiańskie, podnieść ludowy instynkt tłumiony przez waszą historię, która była europejska, katolicka, łacińska, szlachecka, i stać się zachodnim, nadwiślańskim puklerzem słowiańskiego olbrzyma znad Dniepru, Wołgi i Oki. Nie, mój kochany. Nie ma w rodzącym się świecie miejsca dla małych narodów.

— Trzydziestomilionowy naród uważasz za naród mały?

— Trzydzieści milionów ludzi, mój drogi, nie znaczy nic. Jest to wartość stosunkowa. Ulokowani w Kanadzie, w Australii, na kontynentach bezludnych i nie za-

grożonych jeszcze, bylibyście może zadatkem na wielki naród nawet w wieku XX i XXI. Ale nad Wisłą jesteście wtłoczeni między stumilionowe Niemcy i ponad stumilionową Rosję. Między olbrzymiego kolosa, który was miażdży samym ciężarem, a doskonałą maszynę, która was zgniecie swą doskonałością techniczną. Wasza liczba, to prawda, utrudnia strawienie was. Wy nie jesteście Czesi, Słowacy czy Węgrzy. Wasza liczebność opóźnia to strawienie. Ale prędzej czy później będziecie musieli dać odpowiedź na pytanie, czy macie stać się Germanami czy Słowianami. To znaczy Niemcami czy Rosją? Europa, jaka się kształtuje, będzie latyńska nad Morzem Śródziemnym, germańska od Alp po biegun, słowiańska na wschodzie.

— Nim się cała nie stanie germańska?

— Nie żartuj, nie żartuj. Kto jak kto, ale wy, Polacy, moglibyście od Września nie żartować już z niemieckich planów. Oczywiście, poddanie naszego kontynentu pod nasz organizacyjny ład jest to drugi dopiero etap. Ale już w pierwszym etapie sprawa waszego narodu ulegnie rozstrzygnięciu, i powinieneś już teraz o tym rozstrzygnięciu dla siebie pomyśleć...

— Dlaczego właśnie ja?

— *Denn du heissest Kettler; du bist von Kettler...*

„Ach, tak — myśli tamten sennie — bo nazywam się Kettler...”

Gallen opadł na poduszkę, jakby sam chciał odpocząć i jakby chciał dać tamtemu chwilę na przemyślenie. Ale Kettler nie myśli, lecz przypomina sobie. Wtedy, gdy w auli uniwersyteckiej pierwszy raz poznał Gallena i gdy ten się zdziwił tak naturalnie i naiwnie, że z tym nazwiskiem jest on Polakiem, i potem, wielekroć potem, gdy z pedanterią Niemca do tej sprawy powracał, i potem, gdy do Polski przychodziły niemieckie broszurki,

wykresy, wywody, i potem, gdy żartował na ten temat, drażniąc Gallena. Cała grenoblska przeszłość studencka, całe lato razem spędzone w górach i winnicach, powraca, jak późną jesienią wraca wspomnienie maja.

— Więc ja, twoim zdaniem, nie powiniennem zostać Słowianinem, to znaczy Moskałem? Rezerwujesz mnie łaskawie Niemcom. Razem z Wawelem, razem z Warszawą?

— Nazywasz to bardzo dobrze; nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak dobrze. Tak, razem z krakowskim burgiem, razem z niemieckim kościołem Mariackim, razem z tym pałacem w Warszawie, gdzie było wasze ministerstwo zwodniczego pułkownika Becka. Z tym pałacem budowanym za saskiego u was króla przez saskiego u was ministra. Ty swoją przynależność narodową bierzesz według tego, co ci się żywnie podoba, my — wedle tego, co jest. Czymże ty jesteś bowiem, jak nie von Kettler? Jesteś tak jak kościół Mariacki i jak tamten warszawski pałac, jak łódzkie przedsiębiorstwa i tytu Burschów, Dekertów, Fukierów, i Fiszerów. Odpryskiem niemieckości ugrzęźłeś w tym świecie obcym. Wtłoczeniem szlachetnego drzewa w mebel z mniej cennej materii. Tak jak bursztyn nasz-pruski, gdy grzęźnie w białawy piach Sambii. Przez całe stulecia byliście najcenniejszym budulcem Polski, dziejów Polski, kultury polskiej. W tym kraju, który nie lubi czytać, a lubi pisać jak najmętniej, wydaliście setki uczonych o jasnych, porządkujących mózgach: Lindych, Hubych, Lelewelów, Estreicherów, Brücknerów. Budowaliście kościoły ludowi, pałace magnatom, mauzolea królom. Trwoniliście wartości niemieckie, odziedziczone przez was z waszą krwią, należne do tej krwi, nie do was. Nie, nie chcę robić tu sądów i Trzecia Rzesza ich nie robi; nie na to czas. Ale trzeba, żebyście wszyscy i wszystko, co z niemieckiego się poczęło, wrócili

do niemieckości. Niemieckość ciebie nie zmarnuje, Kettler.

— To polskość mnie marnuje, Gallen?

— Widzisz, Kettler; my siedzimy od was o miedzę, my was znamy, my na was patrzymy. Nasi uczeni ostukali wasze zagadnienia rolne, o których gładzicie średniowieczne frazesy; wasze zagadnienie przyrostu ludności, wobec którego stoicie bezradni; wasze nędze i wasze możliwości. Polskość ciebie marnuje; polskość zresztą siebie marnuje. Pierwsza rzecz, jaką zrobiliśmy, gdy nasze armie w błyskawicznej kampanii zmiotły opór waszych bohaterskich dzieci i tromtadrackich generałów, to było niszczenie waszych warstw wyższych, waszej inteligencji...

— Masz się czym chwalić.

— Daruj, Kettler, nie o to chodzi. Jeślibyś z twego karabinu mógł zastrzelić niemieckiego generała lub niemieckiego żołnierza, to byś strzelał do niemieckiego generała. Jeślibyś mógł wysadzić w powietrze dom z mózgami kierującymi naszym życiem politycznym, gospodarczym, naukowym, zrobiłbyś to także. Jest wojna. Niszczenie nie może być bezmyślne. Musi być precyzyjne. My niszczymy polską inteligencję, my rozstrzelujemy polskich ziemian i kupców w Poznańskim, w naszych obozach koncentracyjnych pomarli polscy uczeni, pisarze, inżynierowie, adwokaci, inteligencja, myśmy odebrali młodzieży polskiej możliwość kształcenia się wyższego, bo to leży w naszych planach, jak leży w planach sowieckich. I nawet gdybyśmy upadli i nad Wisłę wkroczyli wasi Anglicy, pozostawimy pustynię. Państwa, nowoczesnego państwa nie odbuduje sam tylko chłop, sam tylko robotnik, półinteligent, banda samouków, czyli niedouków. Wyście upadli nienaukową organizacją pracy, gospodarowaniem wedle demagogicznych frazesów; rewolucja hitlerowska, na-

wet rewolucja sowiecka postawiły w sztabach państwa uczonych ekonomistów, statystyków, demografów, zamiast po waszemu wzruszać ramionami. Ale teraz nie będziecie mieli nawet tej słabutkiej, nienowoczesnej, krótkowzrocznej ekipy naukowców, jakąście mieli; chyba po prostu poprosicie Anglików o łaskawe zastąpienie Niemców w rządzeniu Polaczkami. Oto cel, jaki osiągamy. A wy sami nam pomagacie...

Cios Gallena idzie teraz bez oporu, wchodzi w mózg gładko, jak nagły atak zmasowanych na równinie czołgów.

— Wy sami nam ułatwicie. Z kogo chcecie mieć przyszłych kierowników życia gospodarczego, które trzeba będzie wznowić; intelektualnego, które przyjdzie wskrzesić nie tylko na uniwersytetach, w szkołach średnich nawet; administracyjnego, które nie może być takie, jakie było; handlu, przemysłu? Z oficerów internowanych na Węgrzech, w Rumunii? Czy nie zdajecie sobie sprawy, że pchanie resztek waszych ludzi wykształconych, fachowych do wojska, do piechoty — to dopełnianie pracy niemieckiej, pracy sowieckiej? Czy myślicie, że jeśli z dobrego urzędnika służby dyplomatycznej uzyskacie dobrego celowniczego w drużynie strzeleckiej, to potem z lada celowniczego uzyskacie z tą samą łatwością dobrego urzędnika służby dyplomatycznej? Czy myślisz, że inżynier, spawacz metali, zatrudniony w segregacji mundurów, jest dobrze wyzyskany? Czy myślisz, że dziennikarz mający kontakty w Rzymie nie byłby tam właściwszy niż przy cekaemie? Czy myślisz, że student ekonomii, któremu studia na High School przerwano, nie będzie człowiekiem, którego brak odczuje się kiedyś bardziej niż brak stu generałów?

— Ale młodzi...

— Mój drogi, młodzi? Są tylko dwie młodzieże na świecie równie ofiarne, równie zapalne, równie boha-

terskie: nasza i wasza. O, nie myśl, że my, Niemcy, nie wiemy, kto bronił Katowic, gdy armia, województwo, urzędy i dygnitarze przemysłowi byli już dawno na szosie radomskiej! O, nie myśl, że nie wiemy, kto bronił Warszawy, kto ostrzeliwał się z gruzów Radomia, kto nam na tyłach wysadzał mosty, atakował z zasadzki. Ani nie myśl, żebyśmy nie mieli cichego, głębokiego podziwu dla tych skautów, dla tych gimnazystów, dla tych wyrostków. Nasi nie byłiby gorsi. Niemcy i Polska mają w swej młodzieży cudowny materiał, najwspanialszy surowiec ludzki, równy chyba kruszcom, z których wytapia się stal wysokoprocentową, najlepszą do budowy samolotów czy armat. Ale Niemcy przetapiają ten swój kruszec właśnie na stal najcenniejszą. Uważają ją za budulec najwartościowszy, chronią jej zużycia, oszczędzają zapasy. Polacy używają jej do łatania dziur robionych przez innych, do wysługiwania się. Trwonią, używają nieproduktywnie. Nasz młody chłopak, gdy chce latać — lata; my go do lotnictwa zachęcamy, miast stawiania mu barier. Nasz młody chłopiec — to najcenniejszy materiał wojskowy. Wolny od rutyny sztabowej, wolny od skostnienia koszarowego. U nas, w Niemczech, nie na wszystko używa się stali i nie do wszystkiego używa się młodych. Jestem w twoim wieku — i jestem oficerem-lotnikiem; nasi towarzysze z Grenoble są młodymi oficerami w czołgach, na Westwallu: jeden, dwudziestoparoletni, zarządza dziś waszą Warszawą. To u nas, a wy?

— Kto wie, nie rezygnuję z tego, żeby być jeszcze komendantem placu w Berlinie...

— Z tego, mój drogi, zrezygnuj. Nie będziesz. Nie będziesz nawet nie dlatego, że zdobycie Berlina — to sen waszej niepoprawnej, lekkomyślnej, polskiej beztroski. Niemcy, Włochy i Rosja są potężne, bo przełamały w sobie głupi guz w mózgu; przesąd, że nie można stać

się czymś w maszynerii rządu, nim brzuch nie obrośnie w fałdy tłuszczu, nim łysina nie zalśni kopułą, a kamienie nerkowe, żółciowe czy inne nie obciążą dostatecznie ruchów. Zobacysz, co dadzą Francji jej rozumni starsi panowie! A wyście tego w sobie nie przełamali ani przedtem, ani potem, ani teraz. Oto dlaczego nie będziesz komendantem placu w Berlinie. Wy nie odciągniecie najwartościowszych waszych ludzi z zużycia na dzisiaj, z myślą, że kiedyś będą paląco potrzebni, jeszcze bardziej niż celowniczy teraz. Wy nie zużytkujecie najdoskonalej waszego młodego, wspaniałego elementu. Będziecie nim łatali luki, jakie wytwarza rutyna, niefachowość, skoszarniałość mózgownic; będziecie z niego tworzyli silny cokół pod słabość, podmurowywali zmurszałe, podpierali próchno. Powiedziałeś, i to mnie tak ubawiło, że „najprzyzwoitsi“ z waszej dyplomacji poszli do wojska. Tak. No, ładnie, ale czy nie pomyślisz o tym, że w takim razie poza wojskiem, ale w dyplomacji, został najmniej „przyzwoity“ element; ten, co się do wojska nie myślał zgłosić. No — a który rządzi? No — a czy głupstwa robione przez tych „mniej przyzwoitych“ to są tylko drobiazgi, które łatwo wyłata na linii eks-ambasador celowniczy, karabinowy eks-poseł?

Kettler leży, wparty głęboko w poduszkę. Ma oczy przymrużone, przymknięte. Każde słowo Gallena wdraża się w koleiny, którymi już chodziły niejedne własne myśli, niejedne innych refleksje.

I jak czołgi idące w szyku wolno, kiedy opór już dawno został za nimi, kiedy na widnokregu spokojnym żaden nowy nie powstaje, sunie wolno stalowy wywód Gallena:

— Widzisz, widzisz. Uczyłeś się sztuki wojskowej choć trochę? Tak. No, to przecież wiesz, że wojna to nie jest romantyzm. We Wrześniu wasi ułani szarżowali

z lancami na nasze czołgi; sto lat temu Indianie w Ameryce strzelali z łuków do piechoty z karabinami. Wojna jest rzeczą pojmowaną celowo. U nas do wojska nie idzie ten, co chce, a pozostaje w biurze, kto nie chce; u nas do wojska stawia się każdy, a dopiero państwo decyduje według kwalifikacyj, wedle zadań, kogo lepiej wyzyskać tak, kogo inaczej; kto więcej się tu przyda, kto mniej; kto jest naprawdę i do jakich zadań niezbędny, kto nie jest. To się nazywa gospodarowanie ludźmi. Prowadzenie wojny, prowadzenie państwa — to gospodarowanie ludźmi. Nasza armia zwycięża, bo położyła nacisk nie na kawalerię, jak wy, nie na umocnienie betonowe, jak Francuzi, ale na lotnictwo, na czołg, na maszynę, nie spuszczać się na to, że czołg ugrzęźnie, gdy będzie „brzydka“ pogoda, że samolot nie dowidzi we mgłę. Dobrze. Wyście przegrali. Ale czy przeszłście chociaż z tą przegraną prawdziwy, odnawiający wstrząs? Czy wasza nowa rzeczywistość, ta, do której szedłeś przez lasy karpackie ku Francji, jest naprawdę nowa i inna? Czy nie wlecze za sobą czegoś, co znasz, aż zanadto dobrze znasz?

.

Czołgi jadą równo i spokojnie, coraz dalej, coraz pewniej i głębiej.

.

— A teraz pomieść siebie samego w tym wszystkim. Jesteś częścią tej ludzkiej stali, marnowanej tu, cenniejszej wedle swej wartości gdzie indziej. W naszych oczach rozprzega się to, co było kiedyś Polską, owo dziwne połączenie słowiańskiego tworzywa z łacińską obróbką, ów stop Zachodu ze Wschodem. Rosja upomni się o to, co jest u was jej, to jest słowiańskie. My upomnimy się o to, co jest nasze, to jest europejskie.

Sam zresztą widzisz, jak się niecelowo, niewprawnie ratujecie; jak wasz wysiłek jest rozpaczliwy może, ale na pewno nie mądry. Jesteś zagubiony w dziele, przeciwko któremu idzie wielki prąd historii, i w dziele, które na domiar samo siebie niszczy bezmyślnie. Nie możesz tego nie widzieć. Nie możesz nie przyznać mi racji.

— Mogę.

Jakby w drodze pochodu czołgów zjawiała się niewidzialna przeszkoda.

— To mi zaprzecz.

— Owszem, zaprzeczę ci. Jestem jak ty głęboko przekonany, że świat idzie ku jedności, że w naszej epoce opadły różnice wzniesione ongi przez spory religij, ambicje dynastij, nawyki tradycyj; ale jestem jeszcze przekonany i o tym, że to wszystko nie znaczy jeszcze, abyśmy my, Europa, mieli pójść pod jarzmo czyjekolwiek i jakiegokolwiek, przeciwnie, jestem przeświadczony, że nawet na lądach dalekich, z dawna przywykłych do niewolnictwa, w czarnej Afryce i żółtej Azji kończy się okres cudzego władztwa, przychodzi pora usamodzielnienia, że nawet tam współpraca zastąpi panowanie: czy więc właśnie w tym czasie nasz kontynent, Europa, ma być poddanym jednowładztwu, które z nowoczesności bierze chyba tylko narzędzia podboju? Nie. Przeciwno tej wizji świata, jaką rozsnuwasz, buntuje się moje ludzkie poczucie sprawiedliwości, mój optymizm, moja wiara w przyszłość. Raczej jestem skłonny uwierzyć, że to, co przeżywamy, jest ostatnim przesileniem zła, ciemności i starego ładu; że wyjdziemy z tej próby zwycięscy, zjednoczeni i wolni. Że wielkość Europy to nie przekształcenie wszystkich jej krajów w niewolników jednego, ale wyzwolenie ich wszystkich do wspólnej i wolnej pracy. Nie mógłbym ci zaręczyć, że właśnie mój obóz zwycięży, ale nic by mnie nie mogło zachęcić do walki w twoim obozie...

— A to, że u was wszystko jest wciąż takie samo, nigdy cię nie zniechęca?

— Gdzież to „u nas“?

— Ano, w Polsce...

.....

Czołgi znowu poczęły jechać, jak jechały przed chwilą równo.

.....

— Dzisiaj już nie...

— A dawniej? — podchwytuje Gallen — to znaczy, że dawniej tak?

— Dawniej, przyznaję, tak... My, młodzi w polskiej armii, tacy jak ja i inni, myśmy nie raz jeden myśleli o tym wszystkim, o czym ty mówiłeś teraz. Kiedy mówiłeś, czasem jedno słowo wywoływało całe fale przypomnień; mój Boże, ileż się widziało, na jakie rzeczy patrzyło. Ile przeżyło! Ile razy buntował się najprostszy rozsądek! Ile trzeba było wyrozumieć! Ile nieporozumienia! Pomiedzy organizacją tej naszej nowej, a nie nowej, armii a jej elementem żołnierskim, powołanym we Francji, leżała obcość całych dziesięcioleci. Obcość emigranta i pozostałego w kraju. Obcość tego, któremu wiodło się dobrze, i tego, któremu nie wiodło się wcale. Obcość tego, dla którego znalazło się w kraju masło, i tego, który w kraju nie miał nawet chleba. Mógłbym mnożyć te obcości; mógłbym pomnożyć je o obcość ludzi, którzy wrosli, chociażby w trudzie ciężkim, w świat pojęć Zachodu, i ludzi, którzy, cokolwiek da się powiedzieć, rośli we wschodnim cieniu od Rosji, od waszych nowych Niemiec. I otóż my, wciśnięci w masę żołnierską z Francji, sami czasem nie wiedząc o tym, przez nikogo w tym nie docenieni na pewno, myśmy, śmiem to twierdzić, wiele wyrównali, wiele przesyпали...

Wiele się rzeczy zatarło; można by było zatrzeć jeszcze więcej. A to było nie tylko zrastanie się gór i dołów jakiegoś wojska. To było jeszcze zrastanie się gór i dołów całego narodu. Jego najnędniejszej emigranckiej klasy, jego nowej, narosłej za niepodległości, klasy władczej...

— Które — i ta, i tamta — nie będą wam tego miały za dobre...

— Nie miały i nie będą miały, oczywiście. Ci w „dole“ długo nam mieli za złe, że broniliśmy tego, co było w Polsce, która dla nich nie była krajem radosnych wspomnień, bo nie dała im chleba; ci u „góry“ mieli nam za złe, że kochaliśmy to, co tu na Zachodzie jest w o l n o ś c i ą, równością, innym stosunkiem człowieka do człowieka; czego oni z kolei nie umieli zrozumieć. Ale taki jest zawsze los ludzi, którzy mają swoje zdanie, a nie doheblowują tego zdania do okoliczności. To trudno.

— I tak byliście między niebem i ziemią.

— Byliśmy i nie byliśmy. Jest u nas pieśń ludowa, rewolucyjna, że armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara rękami czarnymi od pług, a panowie palili tymczasem cygara, ta pieśń — to wyraz tego, że o Polskę walczyły klasy ludowe, Polska zaś była krajem pańskim. Otóż nasz tłumny udział w tej armii, przy górniku polskim z Nord, przy rolniku emigrancie z Calais, to kłam zadany temu. Trzeba dla scalenia narodu, aby w obsłudze cekaemu spotkał się taki były górnik z byłym ambasadorem i taki ziemiański panicz z emigranckim bandosem. Trzeba, by w marszu ciężkim erkaem z ramion milicjanta, który walczył w Guadalajarze, przeszedł na plecy katolickiego historyka z seminariów uniwersyteckich. Tego nie było; to trzeba...

— Brednie, romantyczne brednie, powinniście mieć tysiące lotników, a nie tysiące w dywizjach. Biliście się

w Polsce bez pomocy, sami, czemu macie pomagać innym w Wogezach, w dalekiej Norwegii? Żeby jeszcze więcej się wykrwawić? Jeden nasz zmotoryzowany atak zmiecie w tydzień wszystkie wasze dywizje. Skąd wtedy weźmiecie nowe? Anglia uzupełni swoje siły Australią, Kanadą, Indiami; Francja uzupełni swoje choćby Senegalem i Madagaskarem; czym wy? Zespalcie tysiące emigrantów polskich ze sprawą polską na nowo; ale u „góry“, gdzie będziecie potrzebni, czyście mocni dosyć, aby wzruszyć, aby zmienić, aby odnowić? Twoja dobra niemiecka krew, twoje niemieckie poczucie obowiązku, twoja niemiecka solidność czemuż służą, kogo podpierają, komu swym trudem dają oparcie? Cóż mogą zmienić w ten sposób? Przedłużają jedynie stan, na którym pasie się ludzkie robactwo gnilne, hieny żyjące z padliny upadłych państw, żuki-grabarze politycznego ścierwa...

— Wrócimy do kraju burzą, która zmiecie to wszystko!

— Nie. Nie wróćcie. Wykrwawicie się na takich fiordach, w lasach Wogezów, nie wiedzieć jeszcze na jakich morzach i na jakich lądach. Uścielicie, wymościacie żołnierskimi mogiłami drogę pod limuzyny, te same, co Wrześniem szły do Rumunii...

— Nieprawda!

— Prawda. Oczywiście prawda. Ludzie, którzy by kiedyś mogli budować waszą przyszłość, zorganizować nowoczesnie pracę waszych mas, roznieść prawdziwą oświatę w waszym życiu, służyć rzetelnie waszym sprawom, poginać jako dobrzy celowniczy, wytrwali piechurzy. Tamci, nieodzowni z własnej nominacji. rozmoszczeni, sobiepańscy, przetrwają, wrócą. I będą ronili nad wami swoje parszywe łezki...

— Nieprawda!

— Ej, prawda, prawda.

Obaj podnieśli się teraz, sobie naprzeciw. Na tamtym końcu sali ranny Czech coś mówi.

— Nieprawda. Nawet gdyby nas nie było, kraj im zatrzaśnie drzwi powrotu.

— Kto taki?

— Kraj. Nie, mój drogi, nikt na białym koniu nie wjedzie tryumfatorem do Warszawy, sponiewieranej, bohaterskiej, męczeńskiej. Po tym, jak ten kraj, niemal bezbronny, bronił się, marł i trwał, nawet najdzielniejsi spośród nas, ci, co swoje odznaczenia nie będą zawdzięczali niczyjej łasce, żadnemu spryciarstwu, nie będą śmieli wejść do tego kraju inaczej niż na klęczkach. Wyście swoje jednak zrobili. Przeoraliście w tym nieszczęsnym kraju i polską dobroć, i polską wybacliwość, i polską niepamiętność. Trzeba będzie mieć legitymację rąk karabinem prawdziwie utrudzonych, aby do tej ojczyzny wejść, aby mieć do niej prawo. Trzeba będzie czymś się wykazać przed tymi, których walka była stokroć i tysiąckroć cięższa, straszliwsza, wspanialsza. I może my, co wejdziemy w szarości mundurów żołnierskich, będziemy gościem najmilszym, synem najmniej niegodnym...

— Mistycyzm...

— Może mistycyzm. I to jest nasza siła. Potrafimy iść, bić się, ginąć bez oparcia na rachubie, na wyliczeniu, na argumentach, na racjach. Będą nas może kopali jedni, mieli za obcych sobie inni. Przed waszym młodym Niemcem otwiera się dziś przyszłość pełna ponęt, rozpaja go władza dawana właśnie jemu, upust najlepszym ambicjom, pole do popisu szerokie. Jego szlak to równa droga waszych betonowych autostrad. Na autostradzie nie ma wypadków, ale gdy raz się zdarzą, to tylko śmiertelne...

— Już się nie bój o nasze autostrady!

— Nie boję się o wasze autostrady. Tylko to mówię:

wy dla walczenia musicie mieć mnóstwo, mnóstwo rzeczy. Dalekowidze i płaszcze ochronne, pistolety automatyczne i przeciwpancerne, regularne posiłki, minimalne obciążenie. Musicie wiedzieć, że idą czołgi i samoloty, że jest olbrzymia produkcja seryjna, że Węgry posyłają pszenicę, a Rumunia naftę...

— Chciałbyś, aby u was tak było!

— A pewno, że bym chciał. Kto by nie chciał lepszego wyposażenia, kto by nie chciał widzieć tego, że nie marnuje się żadna siła w narodzie, że najmniejszy człowiek wyzyskany jest mądrze, że na darmo nie idzie żadna śmierć żołnierska! Gallen, kto by z nas nie chciał! Ale w tym jest nasza od was odmienność, a powiem i nasza przewaga nad wami, że potrafimy walczyć bez tego i mimo tego.

— To znaczy nie walczyć, a dać się wyrzynać.

— Nie. To jednak znaczy walczyć. Bo kiedyś może i na was przyjść chwila, kiedy coś się w waszych rachubach, z dawna przygotowanych, długo wyliczanych, popłacze i połamie. Czy ja wiem, co to będzie? Może Anglicy będą mieli więcej samolotów i lepsze samoloty. Może, gdy się zapędzicie aż do Afryki i Azji, uderzy was z boku sztylet sowiecki. Ale coś takiego zawsze zdarzyć się może. Coś takiego przyjdzie. A wówczas wy nie potrafiacie tak walczyć z rozpaczą i trwać w walce jak my.

— Takiej chwili nie będzie.

— Taka chwila przyjdzie.

I przez chwilę są obaj wyczerpani, stargani rozmową w spór przechodzącą. Oddech, długi, męczący oddech rannych w szpitalach polowych.

Cicho weszła siostra Mary: nastawiła radio. Jest godzina popołudniowych komunikatów. Słychać naraz ncrweską stację z Bodo, potem angielską, potem jakiś wtręt niemiecki i gwizdy i wreszcie głośnik wpływa na wyraźny, potoczny komunikat francuski. Ranni na

łózkach poderwali się z miejsc: przez komunikat płyną ostre, dobitne słowa premiera o dokonanej wczoraj, ubiegłej nocy, niespodzianej zdradzie świeżego sprzymierzeńca, Leopolda, króla Belgów.

.

Tylko dwóch ludzi nie ruszyło się nawet, wysłuchało do końca komunikatu. Polak i Niemiec.

— *Alors, on est foutu* — dochodzi z tamtego końca sali.

Reszta milczy. Który to tam powiedział? Czy to nie obojętne zresztą.

— Słyszałeś? — pyta Gallen.

— Słyszałem.

— I to, co powiedział tamten Francuz, żołnierz francuski?

— Wszystko, Wszystko.

— No i co ty na to?

— Jak to co? Nic.

Urywany, krótki śmiech Gallena. Kettler uśmiecha się także innym, znudzonym śmiechem.

— Posłuchaj mnie — mówi — nie, ty nawet zrozumieć nas nie możesz. Nasza polska walka nie jest wcale związana z tym, czy zdradza nas, czy nie zdradza Leopold, król Belgów, czy z nami jest, czy nie jest Francja, czy kto zawiera, czy nie zawiera odrębnego pokoju z Niemcami. Nasza walka nie skończyła się z upadkiem Polski, nie skończy się ani teraz, ani nigdy. Będziemy ją toczyli na lądzie, morzu i powietrzu, pod lądem i pod ziemią, jawnie i skrycie: odnajdziecie nas wszędzie, gdzie kiedykolwiek jakkolwiek napotkacie opór. W dniu, gdy padniecie, gdy będziecie myśleli, żeście od dawna skończyli z nami, odnajdziecie ostrość naszego noża na waszym gardle...

— Renegat!

— Ty wiesz, że taka chwila będzie, będzie: i tego się boisz. Ja wiem, że taka chwila będzie: i mnie to trzyma. I wy wszyscy, Niemcy, wiecie, że tak będzie: i to nęka was po nocach i dniach, mimo wszelkich sukcesów, mimo wszelkich czołgów, mimo wszelkich Leopoldów, Hachów, Quislingów, Tisów. I my wszyscy, Polacy, wiemy, że tak będzie, i to nas trzyma mimo wszystko, co było, co jest i co jeszcze będzie.

— Ty...

To „ty“ wyplute jest z gardła, załamane w zatorze nienawiści, gróźb, złorzeczeń, wściekłości. Gallen podnosi się w łóżku: pod bandażami twarz mu sinieje, czerwieni. Dobiegła siostra miłosierdzia i coś mówi: przykuśtykał Don Pedro, popodnosili się ranni. Przenoszą rannego Niemca na inne, dalsze łóżko.

W przechodzie raz jeszcze, raz jeden jeszcze oczy obu spotkały się na chwilę. Kettler zrozumiał, że może się wyraz oczu odmienić czasem na zawsze. Nigdy szare oczy Johanna Gallena nie będą już miały dla niego połysków ciepłych i miękkich, nigdy nie będą przekorne, nigdy więcej nie będą dobre. „Grenoble — pomyślał w tym momencie — Grenoble.“

Wparł głowę głębiej w poduszki: był zmęczony. Obraz Grenoble, wywołany tak dziwnie tego rana, przeszedł jeszcze raz przed wzrokiem wspomnienia. Miasto wesołe, wzięte w zieloną ramę gór, pospinane stokami winnic, zieleniejące i domy wybrzuszone w uliczkach starych i wąskich, i arkady uniwersyteckie, i ludzie dobrzy, weseli, prości, i schody wyfroterowane u Madame Javel, i pokój, i obicia wypłowiałe, i fotel oklapnięty, i nad kominkiem lustro...

Kettler uśmiechnął się spokojnie, wydechująco. Pożegnał raz jeszcze owo wspomnienie dalekie, jak człowiek żegna się z domem, w którym mieszkał i w którym było mu dobrze, ale do którego człowiek nie wróci już

nigdy. Patrzył na nie, jak patrzy się człowiek na pierścień, który zbyt wiele przypomina rzeczy przekreślonych na zawsze, i dlatego rzuca się go w wodę morza, jeziora czy rzeki, śledząc, jak przebłyskuje złotem poprzez zieloną mętność wód. I kiedy się obraz zatarł zupełnie, doszczętnie, poczuł ze zdziwieniem, że mu ulżyło.

„Może to opadł ze mnie ostatek mojej dalekiej, przeszłowiecznej niemczyzny?”

VIII

Jest pan, ostatecznie, zastępcą dowódcy plutonu. Drużynę zda pan kapralowi.

Chodzą z porucznikiem po tej samej leśnej i pyłnej drożynie, w której piasku Czechel rysował kilka dni temu Michałkowi szkic sytuacyjny akcji. Spadł po południu krótki wiosenny deszcz i długie podhalańskie płaszcze są ciężkie od wody.

Obok drogi jest ten sam żółto malowany dom; dziewczyna, która im wtedy grzała kawę, rozwiesza teraz bielejącą po sznurach przeciągniętych między drzewami. Musiała do tej czynności podnieść ręce wysoko nad głową i jest w ten sposób jeszcze smuklejsza niż naprawdę.

— Nie byłem, co prawda, z niego zadowolony podczas akcji... Teraz znowu jako obserwator zagapił się; ja odszedłem, a tymczasem buchnął ktoś mapy...

— Znajdą się, panie poruczniku, znajdą... Po co one komu potrzebne.

O te mapy już od rana było piekło.

— Znajdzie nie znajdzie, ale niewyraźna sprawa. Żeby zginął mapnik. Ale to mapy, dwie mapy najwyraźniej wyjęto. Po co ja mam obserwatora na drodze, żeby

nie widział nawet, czy kto do mnie idzie, czy nie idzie. O, jako mój zastępca będzie pan musiał to wszystko wziąć do galopu. Kapral wróci do drużyny. W akcji też był nietęgi.

— Dlaczego, panie poruczniku? Myślałem raczej, że to pan porucznik nie był ze mnie zadowolony...

— Ja? z pana? Przecież wszyscy wiedzą, jak pan się zachował. Przecież przedstawiłem pana do odznaczenia...

— Tak jest, panie poruczniku. Ale przedtem wysłał pan meldunek: „Drużyna Czeczela zupełnie zdemoralizowana. Dwie pozostałe trzymam w garści.“

Nastaje milczenie. Wszystko, co nawisło między nimi od tamtych dni, wyładowało się naraz wybuchem wyrzutu.

— Dlaczego pan to zrobił, panie poruczniku? Chodzi mi o to, dlaczego?

— Mam to rozumieć jako zarzut?

— Nie, jako pytanie. Pan rozumie, ja nie jestem oficerem zawodowym. Ja się jednak szkolę w dowodzeniu, w wydawaniu rozkazów, w prowadzeniu praktycznym walki. I właśnie od czterech dni zastanawiam się, czemu pan porucznik, gdy o tym nie wiedziałem, posłał jednak taki meldunek. Przeze mnie zresztą.

— To pan meldunek przeczytał?

— Pokazał mi go kapitan Daniec.

Znowu zrobiło się milczenie. Dziewczyna wyniosła z domu okrągłą balię ze świeżym zapasem upranej, nie wysuszonej bielizny. Przez chwilę mignęła jej głowa ogromnie jasna od włosów, niesiona pewnie na mocnym, sportowym karku.

— Dlaczego, panie poruczniku? Moja drużyna była chyba najmniej zdemoralizowana z tych wszystkich ludzi. Ma pięciu rannych; dwóch pan porucznik uznał za stosowne przedstawić do odznaczenia; paru do awansu.

Ja nawet tego nie poruszałem; zrobił to pan z własnej inicjatywy. Więc dla czego tamten meldunek?

Przed domem nowa porcja bielizny poczyną obciążać rybackie, poprzeciągane sznury. Dziewczyna co moment zniża się do leżącej na trawie balii, a potem rozprostowuje się ruchem silnym jak zgięta na chwilę tylko brzoźka.

— Może pan ma rację, że pan mnie o to pyta.

— No, widzi pan, panie poruczniku. Niechże pan powie.

— Wolski, nieboszczyk, może by to już zrozumiał; panu trzeba to wyjaśnić, bo pan wojskowym nie jest. Otóż, proszę pana, i niech pan to sobie na przyszłe dzieje wojenne zapamięta, w wojsku nie może być tak, aby się okazało, że rozkazu nie można wykonać z winy samego założenia. Samo założenie nie śmie być mylne...

— Dlaczego? Błąd może się zawsze zdarzyć...

— Błąd może się zdarzyć, ale w wojsku taki błąd nie może wyjść na wierzch. Błąd podważyłby wtedy wiarę żołnierza w rozkazodawcę. I dlatego, gdy rozkaz okaże się niewykonalny, bo błędny z założenia, to wtedy należy przesunąć ów błąd z założenia na wykonanie... Ze sztabu na linię...

— A dalej z oficera na żołnierza?

— Choćby i tak. Zaufanie wojskowe nie może być podważone.

— Pan myśli, panie poruczniku, że ono jednak podważeniu na pewno nie ulegnie?

— Jeżeli się nie znajdą ludzie, którzy będą zaufanie to podważali.

Ostatnie słowa brzmią jak przestroga. I tak je przyjmuje Andrzej.

— A czy i bez takich uczynnych ludzi nie potrafi żołnierz sobie roztrzaskać, co było zrobione lepiej, a co gorzej, co wyszło słabiej i w czym był błąd?

— Panie podchorąży, a raczej nie: panie literacie, umówmy się. Kto z nas zna się z zawodu na książkach, a kto na żołnierzach? Osiem lat przesiedziałem w wojsku, a nasze polskie wojsko umiało prowadzić swych ludzi.

— Tamtych, swoich ludzi.

— Jakich tamtych?

— Tych, panie poruczniku, jakicheśmy mieli w Polsce. Pan szkolił polskiego rekruta. Pan dowodził polskim rekrutem. Zgoda. Ale tamten rekrut polski to był zupełnie inny człowiek niż ten rekrut tutaj. Tamten był parobczakiem nawykłym do posłuchu na wsi, gdzie ojciec walił pasem, gdzie jeszcze i karbowy, bywało. nie odszedł od dawnych pańszczyźnianych tradycyj...

— Demagogia.

— Nie, panie poruczniku; stwierdzenie pewnego faktu. Otóż z takim parobczakiem rzecz była inna. Chłopak wsiowy jest inny niż miejski, do władzy odnosi się mimo wszystko w sposób b a r d z i e j wierzący, bardziej się na nią spuszcza, bardziej jej ufa. Długo nie dopuszcza nawet myśli o jej omylności. I dopiero dowody tej omylności wytwarzają w takim człowieku prawdziwy kryzys religijny. To jak poganin, kiedy zrąbie mu misjonarz bałwana, zrąbany bóg nie pośle piorunów...

— Czy pan czasem, drogi panie, nie komplikuje myślenia polskiego parobczaka?

— Nie sędzę, panie poruczniku. To my, inteligenci, źle robimy, jeśli myślimy, że ludzie „od wideł“ czy „od gnoju“, jak to się niekiedy wytwornie powiada, nie mają życia duchowego, a zatem nie przechodzą przez kryzysy wiary, załamania, kompleksy. Przeciwnie. Mają życie duchowe takie same jak każdy z nas, tylko jego objawy przybierają formy, słownictwo i określenia nieco inne niż nasze. Ale wracajmy do naszej sprawy. Otóż zgodzę się z panem porucznikiem, że z polskim rekrutem

tem musiało być inaczej. W swej olbrzymiej większości pochodził ze wsi, w pokaźnym odsetku był Jasiem z za Buga, a więc z tych ziem Polski, gdzie po tyloletnim panowaniu Rosji, przy przeludnieniu wsi, przy zacofaniu, rozwój umysłowy nie musiał stać wysoko. Dla takiego rekruta musiały istnieć w większej mierze zewnętrzne objawy wyższości czy zewnętrzne oznaki władzy. Zwierzchnik musiał mu bardziej imponować. Tam ważna była postawa, prezencja, mundur, noszenie się, odznaki. Tu jest inaczej. Sam pan to wie.

— Niestety, inaczej.

— Ja nie wiem, czy Niestety. Przede wszystkim ta cała armia jest w znacznie większym stopniu armią ochotniczą. Procent ludzi, którzy do niej przybyli nie dlatego, że otrzymali kartę wezwania z PKU i bilet wolnej jazdy, ale bez takiej karty, a nawet wbrew przepisom, karom i nakazom najpotężniejszych państw w Europie, jest w tej armii bardzo znaczny. Ci ludzie nie przyszli tu przecież po żołd czy po strawne. Entuzjazm, jaki przynieśli, to surowiec wojenny, z którego mądry wódz wykuje niepośledni oręż...

— Ale gorszego żołnierza.

— Czemu pan jest tak uprzedzony, panie poruczniku? Kettlera pan nie lubił, a jednak po pierwszej walce podał go pan do odznaczenia. A element robotniczy z Francji? To już także nie Jasio z za Buga. Jego praca w kopalni wymagała więcej zastanowienia i pomyślniku, ostrożności i uwagi niż machanie kosą i przekładanie siana. On stykał się już nie z karbowym, ale z inżynierami, to znaczy z elementem inteligencji w pracy, on nauczył się ją cenić, on wie zarazem, że to także ludzie omylni. On tę omylność rozumie i wybacza. Jemu nie tylko trzeba rozkazać, jego trzeba jeszcze przekonać.

— Wojsko jednak stoi na rozkazywaniu.

— Wojsko? Wojsko się zmienia, panie poruczniku.

Armia niemiecka była kiedyś armią niesamowitego drylu, dyscypliny żelaznej a bezmyślnej. Czytał pan kiedy *Na zachodzie bez zmian*? Nie, nie jest to wcale książka tendencyjnie antywojskowa. Jest to dzieło psychologiczne. Pokazuje właśnie, jak ten dryl Himmelstossów był niewłaściwy i fatalny w zastosowaniu do elementu ludzkiego innego, niż ten z czasów Fryderyka Wielkiego, bo do młodych inteligentów niemieckich. Niech pan nie myśli, panie poruczniku, żebym był fanatycznym przeciwnikiem dyscypliny tego rodzaju. Nie. Myślę tylko, że bez niej kiedyś nie byłoby wojska, że te surowe rygory stworzyła konieczność, jak konieczność stworzyła kiedyś na świecie kary obcinania rąk, wrywania języka czy wyłupiania oczu. Ale przemiany, jakim ludzie ulegali, zmieniły tamte rzeczy. Te same przemiany zmieniają w toku obecnej wojny naturę i formy dyscypliny wojskowej tak samo, jak czołg zmienia sztukę wojowania. Wojskowość to sztuka nader płynna i zmienna. A wojnę wygra nie tylko ten, kto będzie miał najwięcej armat i samolotów. Wygra ją i nowy duch wojska, bardziej dostosowany do nowego ludzkiego materiału, mniej go łamiący, lepiej wyzyskujący.

— Czuć w panu czerwoną Hiszpanię...

— Niech pan się nie natrzęsa z mojej czerwonej Hiszpanii. Ludzie z ładunkami dynamitu szli tam na zagony stalowe czołgów, ludzie z karabinami maszynowymi ściągali na ziemię samoloty, każde *pueblo* zamienili w fortecę...

— No i przegrali.

— Po dwóch długich, długich latach. Dwóch. Ale byli pierwszą próbą zorganizowania nowoczesnej, dla tej wojny, armii. Mogą nawet idee tej armii nie odpowiadać panu; ale przykład sam, nauka jest nie do pogardzenia. Wojny wygrywa ten, co szybciej od innych potrafi sobie przysporzyć pewne nowe zdobycze, nowe

wynalazki, nowe właściwości techniczne i nietechniczne. Mieli u nas rację ci młodzieńcy harcerze, co wyobrażali sobie przyszlą wojnę jako najazd samolotów w powietrzu, czołgów na ziemi. Nie mieli racji ci wszyscy „fachowi“ znawcy, którzy w takim obrazie widzieli wymysł bujnej fantazji i pouczali, że po dwóch tygodniach zabraknie dla samolotów paliwa, a czołgi ugrzęzną w błocie polskich dróg. Patentowani idioci! Ale wojnę wygrywa także i ten, kto zbada i wycisza w pełni możliwości ludzkiego surowca i wydobędzie z niego najlepsze, zmarnuje najmniej...

— To literackie, drogi panie, przenośnie.

— Nie, panie poruczniku. Tylko forma jest w tym wszystkim, jak pan porucznik łaskawie określa, literacka. Pan to sam dobrze wie. Tamta wojna, z czternastego roku, rozpoczęła się barwnymi mundurami, zwiadami kawalerii. Nie znała jeszcze okopów, w których miała przesiedzieć cztery lata. Nie znała czołgów, gazów. Samoloty służyły jedynie do celów wywiadowczych. A jak potężną ewolucję przeszliśmy podczas tamtej wojny? Czy pan nie sądzi, że w tej wojnie nie przejdziemy znacznie silniejszej? Wojsko to taka dziwna arena, gdzie zmagają się stale rutyna z postępowością, myśl — z szablonem. Kto wie, co obecnie z tego wyjdzie... Więc, panie poruczniku?... Więc czemu pan posłał meldunek o zdemoralizowaniu jednej drużyny?

— Chodzi panu o to?

— Tak. Chodzi.

— Więc dobrze. Pan sam od początku chciał, abym wydał rozkaz wycofania się z tamtego wzgórza? Ja nie mogłem wydać takiego rozkazu. Ale mogłem — to rzecz inna — spowodować wydanie mi takiego właśnie rozkazu. Na to jednak trzeba mi było przedstawić, że z wielu racji zleconego mi zadania spełnić nie mogę. Bo mam rannych, bo jestem pod ostrzałem, bo ludzie mi się

psują... Tymi argumentami mogłem spowodować rozkaz wycofania się...

— Nie mógł pan wprost powiedzieć: „rozkaz niewykonalny“?

— Panie podchorąży, oficer polski nie zna rozkazów niewykonalnych.

— Panie poruczniku, a jeżeli ja spytam w tym samym narzeczu? Jeśli spytam, czy oficer polski zna obciążanie niezasłużone żołnierzy?

— Przedstawiłem was do odznaczeń.

— Ale przedtem wysłał pan ten meldunek.

Przez chwilę chodzą razem po pyłnej, wijącej się lasem drodze. Milczenie jest kłopotliwe, ciężące. Ale przerywa je, wyciągając rękę, porucznik:

— Daruje mi to pan?

Wybuchy szczerości, niespodziewane w tym człowieku, zawsze rozbrajały Andrzeja.

— Panie poruczniku, ale drużyna?

— Mam nadzieję, że drużynie tę krzywdę wyrównam.

Krótki uścisk dwóch dłoni. Wracają ku domowi. Białe, niebieskie, szarzielone płachty bielizny wiszą sztywno między brzozaami. Dziewczyny nie ma.

— Panie poruczniku, ale kiedy już tak, to czemuż pan to napisał akurat o tej drużynie, która najlepiej się trzymała przez cały czas?

— No, jak to, proszę pana — brzmi ogromnie szczerą odpowiedź — przecież tamtymi dwiema drużynami dowodziłem osobiście. Ładne bym wystawił świadectwo samemu sobie...

„Prawda, że tamtą dowodziłem ja sam; to co innego“ — pomyślał Andrzej.

Jednak ubawiła go szczerość odpowiedzi.

Kiedy są popołudnia pogodne jak to i kiedy nie ma samolotów niemieckich, przychodzi do Andrzeja Płużański, by malować. Jego pluton jest tuż obok, o kilometr niespełna, tak samo w drugiej linii. Nie byli jeszcze na pozycji. Siedzą i nie robią nic. W godzinach popołudniowych Płużański przychodzi, siadają razem z Andrzejem na wielkich drewnianych balach, tamten dobywa z chlebaka farby, olej, pędzle. Z Harstadt dostało się przez Anglików dykty do malowania i oleju lnianego, tu wykombinowano coś w guście stalug. Jest w takich chwilach rozkosznie leniwo i uspokajająco. Morze fiordu pluszcze rytmem, który nie zna początku i końca, każdy słoneczniejszy dzień i każdy ciepły deszcz rozprawdza coraz silniej po zboczach doliny młodą zieloność późnej, północnej wiosny. I w tym wszystkim jest uważne spojrzenie malarza spod wielkich, ściągniętych brwi, spojrzenie znieruchomiałe na dalekim przedmiocie, ruchy ręki zamyślane, powolne a pewne. Andrzej tuż obok rozpięra się w takich chwilach wygodnie i tylko patrzy. Odzywają się do siebie rzadko, półsłówkami, rozchodząc się nieraz w tym, co jeden chciał powiedzieć i co odpowiedział mu drugi. Czasem który ze strzelców podejździe, ale czynią to coraz rzadziej; przyzwyczaili się.

— Nie lepiej byłoby sfotografować, panie kolego? Po co się pan ma sam męczyć? — powiadał życzliwie porucznik.

Wojna taka jak ta, a zapewne każda wojna, lubi stwarzać możliwości oderwania się od jej spraw, pogrążenia w całkiem inne, dalekie jej i obce. Andrzej i Banaś lubią patrzeć, jak maluje kolega z podchorążówki, ten wielki, potężny chłop o włosach spadających na czoło siwiejącymi już kosmykami, jak się trapi, by z okru-

chów cynobru i czerni wydobyć kolor tamtego glinianego urwiska, jak pędzel rozgniąta i rozcieńcza tłusto ultramarynę i kobalt. Płużański biedzi się, bo nie ma wiele czasu na malowanie, a tu wiosna idzie teraz szybko i kolor lasu rozzielenia się coraz prowokacyjniej, odbarwia ze swych zimowych rudości i szarzyzn. Nawet morze stanie się niedługo mniej sine a zieleńsze, prokokuje niepokojąco Banaś, na co Płużański obrusza się z niezadowolaniem, ale w gruncie rzeczy jest zaniepokojony. Kto wie, może tu rzeczywiście odbłask gór ubarwi inaczej morze, które się każdą szczeliną lądu między góry wciska.

— Lepiej maluj tę dziwkę — powiada Banaś.

— Malowałbym, ale nie chcę — powiada malarz.

— Pewno; boi się takiego goryla.

Płużański jest rzeczywiście stworem gorylastym, z olbrzymią głową o silnym zaroście brwi, brody i włosów, pochylonym ciałem i przydługimi rękoma o olbrzymich dłoniach, prawdziwie jak łopaty, zawsze ku wnętrzu zagięte. Andrzej lubi patrzeć, jak te góralskie łapy — Płużański jest jednym z nielicznych autentycznych Podhalań brygady — stają się jednością z wąskim, długim pędzlem, który z nich wystrzela jak szpon drapieżnego ptaka. Ale z tym skupionym wyrazem, jaki ma przy malowaniu, naprawdę wygląda groźnie, i dziewczyna norweska z żółtego domu na dobre go unika.

— Czemu mówisz o niej „dziwka“? — powiada Czezel.

Ale w ustach Banasia „dziwka“ jest raczej określeniem pełnym dojrzewającego męskiego podziwu niż jakiejś ujemnej myśli; rozumieją to równie dobrze i Płużański, i Andrzej. Nie; od pięciu dni stoją tu w miejscu, mieszkają przy tym domu, mają kuchnię tu w lesie, ale

dziewczyna jest, jak pierwszego dnia, zupełnie nieprzystępna.

— Żołnierze nie dowalają się do niej? — ciekawi się Banaś.

— Nie, wcale. Z początku — sierżant Ziemiański.

— Nie poszło?

— Nie.

— Wiesz choć, jak jej na imię?

— Wiem. Karin.

— Karin?

Płużańszczak właśnie robi poszarpany szczyt sosny na swoim płótnie, które posuwa się wolno i niepewnie. Nie; rok wojska oderwał od malowania; ręce nie takie; może nigdy nie wróca do dawnej biegłości; wojna zabije w nim malarza? I przykłada się tym uważniej. An-drzej prowadzi wzrokiem za dziewczyną, która właśnie chodzi po podwórzu, obok żołnierzy i wśród białych rasowych kur, nie widząc i tych, i tamtych.

— Dlaczego właściwie nie dowalają się?

— Ja wiem — powiada Płużańszczak — nie na żołnierski gust. Wiesz, co to jest żołnierski gust? Tęga przysadzista dziewczucha, krótkonoga, osiadła w zadzie, piersista. Norweskie dziewczyny nie są na nasz polski smak. A potem są za białe, za jasne. Popatrz na te jej włosy. Widziałeś jej rzęsy? Dla nich to za blade, za wymokłe...

— No, no; nie cera.

— Nie cera, ale cały koloryt. Nie bierze. I potem jest za wielka pani, żeby brała. Widziałeś dziewczyny w Harstadt? Pamiętasz Bejsfiord? To są zupełnie inne kobiety niż u nas, niż we Francji. Taka będzie miała dwadzieścia lat i będzie wyglądała jak dziecko...

— I będzie miała bliźnięta...

— Ale dalej będzie wyglądała na duże, wyrosłe przedwcześnie dziecko. Nie rozgryziesz, czy zna się na

rzeczy, czy nie zna, nie dowiesz się, nie wywąchasz. Będzie się do ciebie śmiała, ale zawsze jak dziecko do dziecka i przyjaciel do przyjaciela, albo dziewczyna do drugiej dziewczyny. To są kobiety krewne strzyg zimnokrwistych, to są kobiety bardziej obcoplemienne niż Japonki i Chinki. Wygląda jak storczyk; nienaturalny, trochę niesamowity kwiat, wyhodowany w samotności, z dala od innych kwiatów. Taki kwiat, który człowieka mógłby odurzyć i którego nie trzyma się na noc w pokoju sypialnym.

— Ja bym pottrzymał...

— Popróbuj.

Banaś jest młodym, młodziutkim chłopcem i mówi o kobietach właśnie w ten sposób trywialny, w jaki mówią zupełnie młodzi chłopcy, którzy się już trochę do kobiet palą, a jeszcze naprawdę nie mieli żadnej. Tak samo jak Płużańszczak jest już raczej uspokojony, wziąć wzięłby, ganiać za żadną nie będzie. Pół roku na francuskim wojskowym wikcie, przy bromie w chlebie, soli i kawie porannej, też swoje robi.

— No, więc nic, nikt?

— Owszem — uśmiecha się Andrzej — jest ktoś i coś...

Tym razem nawet Płużańszczak odsunął płótno.

— Któż taki?

— Stecki.

— Tadzik Stecki? Nabiera ją na historię?

— Gorzej: na Szopena.

I patrzy na żółty dom, jeden z wielu takich, jakie pod Narvikiem mają ludzie miejscy, wyjeżdżający tu na miesiące letnie w zieloną, szeleszczącą puszcę. Okna są wielkie i otwarte szeroko; dół domu jest nie zamieszkały; w kuchni poczet dowodzenia gotuje czasem herbatę z kantyny angielskiej; w sieni stoją worki plutonu. Ten pokój narożny, którego okna łączą się

na rogu w jedno, to salon i w salonie jest wielki czarny Bechstein. Jest nawet data: Wien 1912. To właśnie na nim, czasem gdy jest tutaj, Stecki gra wieczorami.

Właściwie nie są to nawet wieczory. Jest to zupełnie późna noc, jasna noc norweska bez blasku. Jak się to stało wtedy? Stecki przyjechał do swojej kompanii, miał przywieźć na górę papieru do pisania. Brakło go w Haakvik. Sztaby tyle piszą, wszystkie sklepy rozwalone od dwóch tygodni. Zaszli z Andrzejem do domu; może tu będzie. Dziewczyna kazała czekać w salonie. Mieszkała sama, i to ich wtedy jeszcze zdziwiło; dziś już nie dziwi. Kiedy jej nie było, Stecki otworzył fortepian, popróbował, zaczął grać, jak umiał, z pamięci. Dziewczyna długo nie wracała. Andrzej usiadł w fotelu, w pokoju, w którym był nieład wojennych, w pobliżu frontu, mieszkań; tylko w oknie bieleły czyste firanki i stały wazoniki kwiatów. Po chwili, gdy Tadeusz grać przestał, zobaczył, że dziewczyna wróciła już dawno i przystanąła nieruchomo w drzwiach. Firanki w oknie wytwarzały jednak w pokoju mrok, i w mroku tym bieleły tylko długie, wąskie palce Tadeusza na kościanej klawiaturze fortepianu i biała kobieca twarz na tle czarnych, drewnianych drzwi. Kiedy skończył, podeszła najnaturalniej w świecie i zapaliła stare stearynowe świece w lichtarzach po obu stronach pulpitu. Świece były zwilgotniałe czy stare i nie chciały się palić; lichtarze były staromodne, secesyjne, sprzed tamtej wojny; przypominały Andrzejowi takie same w Polsce, pamiętne z wczesnego dzieciństwa. Dziewczyna rozłożyła wielkie pliki nut i nic nie mówiąc, uśmiechając się tylko, poprosiła Steckiego, żeby zagrał. Krótkowidz uniósł się w krzesło, odczytywał, potem odrzucił głowę i grał. Andrzej rozpoznał po paru uderzeniach *Tristesse* Szopena.

To było właśnie w dwa dni po zejściu z pozycji; wtedy, kiedy się starał odwiedzić w szpitalu swych rannych i kiedy mu powiedziano, że Kettlera odesłano już samolotem do Anglii i że tu w szpitalu nawymyślał jeszcze jakiemuś Niemcowi strąconemu pod Harstadt. Wracał do plutonu już wieczorem i w drodze myślał, jak w te wszystkie pierwsze dni, o zabitym Wolskim. Potem właśnie zaszli razem do żółtego domu i Stecki zaczął grać. Fortepian się rozdzwierał echemi starych wrażeń i przypomnień, jakichś dźwięków, które umiały przywołać pamięci ludzkiej i uczynić obecnymi postaci dawno zapomniane, rzeczy dawno przeżyte, domy, które usunęły się w przepaść, sprawy, od których wojna odcięła go tak niezawodnie i ostro, jak gładkim błyskiem miecza. Po raz pierwszy w życiu Andrzej popatrzył na muzykę jak na jeszcze inny rodzaj sztuki, niż ją widział dotychczas. „To dziwne — pomyślał — dawniej była dla mnie tylko muzyką i niczym więcej, z samej siebie czerpała swą wartość. Czyżby teraz stała się jedynym, najlepszym środkiem do wskrzeszania w sobie samym całego świata utraconej przeszłości? Może dlatego człowiek smakuje w muzyce w miarę wieku, w miarę, im od więcej się rzeczy oddalił, im więcej pozostało za nim?“

Żółtawe, zastarzałe świece poczęły naraz migotać niepewnym błękitnawym blaskiem, który w chybotającym kręgu światła wybielał nuty pulpitu, uginanie białawej klawiatury i coraz wolniejsze po niej przebieganie rąk. Błękitnawość płomyków chwiała się na tle najciemniejszego mroku, w rogu pokoju. „U nas mówiło się zawsze, że gdy świece palą się błękitno, to znak, że duch czyjś kołace się w pobliżu“ — przyszło na myśl Andrzejowi ponownie. I ponownie przypomniał mu się Wolski. „On tam jeszcze leży gdzieś w tych krzakach, tu u pozycyji niemieckich, nie pogrzebany.“ Po raz

pierwszy uświadomił sobie, że pogrzeb jest naprawdę ostatnią posługą. Nie, nie jest obojętne, co się z ciałem dzieje po śmierci; to instynkt jakiś każe wracać je ziemi.

Dziewczyna podeszła od drzwi i przerzuciła kartki nut. Znowu odeszła pod drzwi. Nokturn spłynął falą romantycznych, przeszłowiecznych tonów. „Ta dziewczyna może też coś przeżywa jak my, może także jej przychodzi to na myśl jakies chwile, które obsunęły się w przeszłość, jakichś ludzi, których już nie ma. Ale jeśli tak nawet jest, nie dowiem się tego nigdy. Banaś może po raz pierwszy w swym życiu słucha prawdziwego koncertu; jemu jeszcze dzisiaj muzyka nic nie wskrzesza. Przemówi do niego dopiero po latach, przypominając to, co słyszał też po raz pierwszy, echem dalekim, zapachem starych szuflad, bladeścią kwiecica zasuszonego na wspomnianie w kartach grubej książki. Co mu przypomni — wtedy?” Objął wzrokiem cały pokój pogrążający się w przejrzystym, wodnistym mroku, hełmy złożone na oparciu okna, a przez wielkie dwuosienne szyby — daleki widok norweski. Młode brzozy o wiotkich, białych pniach podbiegały pod same okno, szeleszcząc zieloną rozchwiewą liści, nachylając się jak dziewczyny wiejskie, w czas po praniu, nad baliami z bielizną. Las jarem niewidocznym z tych okien opadał w dół i nieruchomiał nad morzem, które w szerokiej odnodze fiordu było w nocy stalowoszare. Na górach, za tym fiordem, marły jeszcze ostatnie różowości i liliowości zachodu. Świat jakby się kończył za tymi szczytami, a jeśli nawet istniał jeszcze gdzie indziej, to już inną, odmienną planetą. „Tak: inna, odrębna planeta, świat inny, sprawy inne, ludzie inni — oto jak kiedyś może widzieć będzie Roman Norwegię, oto jak mu kiedyś muzyka to wszystko naniesie“ — pomyślał.

Zieleń lasu za oknem poczęła naraz przerzynać białe smugi dymu, jakby waty.

„Trzeba wyjść do kuchni; kucharz Cedro w lesie nie przestrzega opl. Pewno znowu palą mokrym drzewem.“

X

Ksiądz spał na półpiętrze w niewielkim pokoiku, w którym dach załamywał się jak w poddaszu, a okno wykrojone w dachu dawało niewiele światła. Dzielił ten pokój z majorem, a że było ciemnawo, Andrzej miał trudności z rozpoznaniem, który gdzie śpi. Czarny brewiarz przy tapczanie uspokoił go.

„Chyba nie major.“

Ksiądz obudzony ze snu przecierał nieprzytomnie oczy i słuchał niezbyt przytomnie tego, co Andrzej wyjaśniał mu półgłosem. Po czym wypchnął go na korytarz.

— Zaraz się zbiorę; biedny człowiek! starszy już? Musiał mieć żonę i dzieci. Pan nie wie? Ja zaraz będę gotów; niech pan zaczeka na dole.

Andrzej wrócił do kapitańskiego motocykla z przyczepką i czekał. Na dworze była blada świetlaność norweskiej nocy; o kilkadziesiąt kroków fale fiordu podmywały z głuchym pluskiem kamienisty brzeg. Wielki garb wzgórz nad Ankenesem urastał, stąd widziany, w wał zasłaniający przed oczami niedaleki już Narvik. Czernił się w nocy lasem dalekim i Andrzejowi raz jeden jeszcze przypomniał się tego dnia nie pogrzebany, pozostawiony gdzieś w owej kotlinie trup Wolskiego.

„Tego przynajmniej jakoś pogrzebiemy“ — pomyślał.

Ksiądz nie wychodził. Popatrzył na zegarek.

„Późno, późno — pomyślał — kapitan kazał pogrzebać natychmiast, na miejscu.“

I naraz refleksja: „Lepiej może było nie jechać po księdza?”

Ale tamten już schodził na dół z całą walizką liturgicznego sprzętu.

Droga wzdłuż fiordu, mijająca rozrzucone po obu jej stronach domy Haakviku, była wyboista, rozbita jeszcze przejazdami angielskich ciężarówek i gąsienicami ciągników, motocykl skakał na resorach, przechylał się na każdej dziurze. Wielkie leje od bomb lotniczych brunatniały torfiastą ziemią tu i ówdzie. Trzy domy, rozkrojone do podwalin pociskami, wywalały w nieładzie swe szafy, pierzyny, łóżka, naczynia kuchenne, jak jelita z rozprutego brzucha.

— Gdzie dostał tamten? — zapytał ksiądz.

— W głowę, poszedł od razu. To artyleria nasza pomyliła się w obliczeniach i puściła trzy pociski za blisko, niemal na nasze linie. Jeden padł najgorzej: to ten właśnie.

— Boże, Boże...

Ksiądz zirytował Andrzeja.

— Trudno, proszę księdza; takie rzeczy, niestety, zdarzają się często.

— Ja wiem, wiem — tłumaczył się tamten pośpiesznie — tylko tak zawsze żał każdej niepotrzebnej śmierci...

— Po ludzku biorąc, a zwłaszcza po wojskowemu — ciągnął Andrzej — może ona jest niepotrzebna. Ale po Bożemu, leżała chyba w tak zwanej woli Bożej...

— Pewno — odpowiedział kapelan — ale cóż my, ludzie, możemy o woli Bożej tu wiedzieć?

Powiedziane to było z jakimś odcieniem pokory, tak jak poprzednio, Andrzej przypomniał sobie tego samego księdza — dziesięć, tak, zaledwie dziesięć dni temu — innej nocy, gdy szli marszem górskim na Bejsfiord, jak wraz z nimi brnął w śniegu i jak pomagał kaemom

nieść ich skrzynki z amunicją. „Dziwnie potulny księżyna — pomyślał — ciekawe, że go w sztabie nie lubią. Jakże z nim można zadrzeć? Każdego chyba rozbroi.“

Tymczasem droga skręcała w lewo, pod górę i w las. Stała się węższa, wiła się kapryśnie. Koła motocykla pracowały ciężko w mokrym, płowawym piasku. Przy mostku wielki lej od bomby niemieckiej, spuszczonej w zeszły wtorek, rozprysł po wrzosowiskach i jałowcach pełno miałkiego żwiru.

— Tu go pochowamy.

— Jak to tu?

Ale Andrzej już szedł od drogi w prawo, ku niewielkiej jakby polance porosłej niskimi krzewami, głównie właśnie owym jałowcem, i wystającej niewielkim tarasem nad huczący w dole strumień. W tym właśnie miejscu stał już koń, zaprzęzony do niskiego wózka, na jakim zwyczajnie zwozi się w tych stronach drzewo. Obok dwóch strzelców najwidoczniej kończyło kopanie dołu. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył jeszcze zwłoki. Buciorzy na wyprostowanych nogach były w błocie i we własnej zabitego krwi. Na piersiach położono mu strzaskany pociskiem hełm.

— Nie, mój panie; ja tu nie będę grzebał.

Andrzej opanował zniecierpliwienie.

— A gdzież mamy go grzebać, proszę księdza?

— Jak to gdzie? Na cmentarzu!

Andrzej poruszył się:

— Księżę kapelanie, posłano mi te zwłoki od linii z tym, żebym je pogrzebał natychmiast, w ciągu nocy, na miejscu. Już jadąc po księdza postąpiłem na własną rękę.

— A, jeśli tak pan to rozumie... Pozbyć się, byle prędko, czegoś, co jeszcze godzinę temu było żołnierzem. Pochować w byle dole...

— Przecież to nie jest byle dół. Postawi mu się krzyż, grób usypie.

— Nie widział pan takich grobów w Polsce? opuszczonych, rozsypujących się, przeorywanych?

— Księżę kapelanie, to ja pierwszy pojechałem po księdza...

— Zrobił pan to, co pan powinien był zrobić. Trzech kapelanów ma brygada nie po to, żeby ludzi chowano bez księdza.

W chwili, gdy zwłoki z powrotem układano na wóz, Andrzej dostrzegł, że obaj żołnierze wyznaczeni do kopania nie przyjmowali tego niechętnie. Czyżby i oni byli jednak po stronie księdza? I sam się sobą zawstydział.

— Księżę kapelanie, mam przy miejscu postoju metalową tabliczkę z nazwiskiem biedaka; może skoczę po nią na motocyklu i dogonię przed Haakvik?

— Dobrze, że pan pomyślał o tym — pochwalił ksiądz pojednawczo — jak się zaraz nie robi, to się potem zapomni. Niech pan bierze motocykl, my pójdziemy powołusku przy wózku. Dogoni nas pan przed zakrętem.

Kondukt wojenny ruszył swoją drogą. Z motocykla Andrzej obejrzał się raz jeszcze. Jeden ze strzelców, Pawłowski, siedł przy koniu. Drugi, z księdzem, podtrzymywał od lewej zsuwające się z wózka ciało. Wóz zachybotał raz jeden jeszcze na płytkim piaszczystym rowie, który odgradzał polanę od drogi, i wjechał w pylną koleiny wijące się poprzez las.

Zatrzymał motor przy drodze o kilkaset metrów dalej. Z boku, między drzewami, miała postój drużyna 9.; to kapral Gruda miał wyciąć z blachy od konserw tabliczkę i gwoździami wybić na niej napis.

— Znam się na tym. Te, cośmy robili, na pewno przetrwały, chyba je Maury, dranie, pozrywali...

Czczel nie spytał, czy chodziło o wspomnienie kapra-

la znał Jaramy, czy z Guadalajary. Wiedział, że wspomnienia hiszpańskie kaprala nie wszędzie są przyjmowane z zapalem. Gruda nie spał, czy też, usłyszawszy motor, sam podszedł.

— No, cóż tabliczka?

— A dawno jest; i nazwisko, i nawet numer, wszystko. Krzyż chrześcijański dałem u góry...

— No i gdzież to, kolego?

— A zaniósłem i położyłem u pana podchorążego, pod telefonem. Właśnie miałem tam nawet iść. Niech ta podchorąży tam teraz zajrzą.

— Cóż tam znowu?

.

— Iii... nic. Tylko ten szpicel, no ten Ziemiański, polazł tam coś powęszyć.

Gruda mówił to udale obojętnym tonem, który źle wychodził. Czeczeli uznali za wskazane zlekceważyć to gadanie, tym bardziej, że sam nie miał serca do sierżanta.

— Pewno coś zapomniał w kancelarii.

— Może i zapomniał. Podchorąży sam zobaczy.

Andrzej poszedł ku domowi. Przypomniała mu się znowu historia z księdzem. Ten pogrzeb zabierze czas; a może by wcale nie pojechać? Kapitan będzie później sztorcował. Tylko ta tabliczka... No, ostatecznie, nawet godziny nie potrwa.

Drzwi domu zamknięte były starannie. W pokoju z lewa, w którym mieściły się skrzynie kancelarii, parę nadliczbowych karabinów i stał telefon, było pusto. Wszystko znajdowało się w stanie, w jakim zostawił to wychodząc. Drzwi od salonu na dole były nawet otwarte i widać było nie zamknięte od wczoraj fortepian i nuty rozłożone na pulpicie. Nie było ani Ziemiańskiego, ani nikogo. Przeciwnie, było tak właśnie, jakby od

jego wyjazdu nikt nie był tu wchodził i jakby błyszcząca metalowa tabliczka, położona na środku stołu, spłynęła tu sama z sufitu.

Napłynęła do mózgu myśl: „Grudzie się przywidziało; dobrze, że się nie nabrałem.“

I chciał już wyjść, ale właśnie kiedy znalazł się w sionce, postyszał nagle na piętrze niespodziewany, suchy łoskot, jakby padającego ciała czy mebla. Zaraz potem zaległa znowu cisza, ale teraz nie był to spokój nocnego wypoczynku, lecz naprężone wyczekiwanie.

— Kto tam? — zapytał.

I zaraz po norwesku:

— *Hvor?*

Na górze wszystko ustało nagle i zupełnie, tak nagle i tak zupełnie, jakby nie odezwało się tam nic, ani przed chwilą, ani nigdy. Znowu naszło zwątpienie. Naprawdę przywidziało się więc tylko? Może, oczywiście, narobić alarmu; ale co za kompromitacja, jeśli potem nie okaże się nic? Tylko, jeśli nic nie ma, dlaczego ta dziewczyna nie odpowie na pytanie norweskie; ona jednak musi tu być.

— *Hvor?*

Powtórzył jeszcze głośniej i zaczekał. Nic. Dom, las, kraj, wszystko to zdrętwiało w umownym, jakby konspiracyjnym milczeniu. Aż robiło się po nocy, choć tak widnej, trochę nieswojo. Po raz trzeci, prawie z rozpaczą, zawołał:

— *Hvor?*

Drzwi wejściowe od dworu za plecami skrzypnęły w tej chwili. Andrzej odskoczył. W drzwiach jednak pojawił się tylko Gruda. Oczy kaprała miały chłopski, czający się błysk, były nieufne i prawie groźne. Zjawił się tak cicho, jakby szedł w onucach. Brwi duże podniosły się nad oczami ku górze. Za spojrzaniem wycią-

gnął się ku schodom prowadzącym na piętro palec wskazujący, gruby, szorstki, kruczkiowaty.

— O n j e s t t a m.

Andrzej w mgnieniu oka skoczył po schodach, drewnianych, wąskich, pod górę. Karin mieszkała w którymś z tych pokojów. Z lewej? z prawej? Nie wiedział. Zapukał do drzwi po prawej, chwycił za klamkę; zamknięte. Zapukał po raz drugi.

— Otworzyć — zawołał po norwesku.

Zaczekał chwilę. Wydało się, jakby po tamtej stronie ściany, obok drzwi, czaił się ktoś. Za plecami powolnym ruchem Gruda odbezpieczał rewolwer.

— Co tam po norwesku; niech pan podchorąży po polsku do niego zagada. Ten ptaszek, co tu siedzi, i po polsku rozumie.

Drzwi otworzyły się naraz bez wezwania, spokojnym, powolnym ruchem. Pierwsze, co się pokazało, była to Karin. Dziewczyna stała na środku pokoju blada, z oczami wylękłymi, wpatrzonymi we wchodzących z przerażeniem. Miała zarzucony na siebie jakiś granatowy płaszcz czy szlafrok. Jasne włosy były rozrzucone, spadały kosmykami na twarz. Ręce zaciskała przy piersi, zgarniając odzież wokoło szyi, jakby przed idącym z dworu chłodem.

Dwa wywrócone gięte krzesła, na wpół odrzucona szuflada komody, papiery na podłodze, wszystko to mówiło o walce.

Tuż przy ścianie, w bok od drzwi, stał jeszcze ktoś drugi, spokojny, opanowany, czekający. Tylko w oczach gasły jakieś niepokojące ogniki, zasnuwając się w obojętną szarość.

— Co wy tu robicie?

Ku największemu zdumieniu Andrzeja, Ziemiański odpowiedział prawie hardo:

— Co ja tu robię, panu porucznikowi to powiem.

Czczel ogarnął raz jeszcze wzrokiem pokój, nieład, przerażenie dziewczyny. Nie; nie było żadnych wątpliwości, czego tu mógł szukać po nocy, korzystając z nieobecności na dole, tamten człowiek. I Andrzej powziął decyzję:

— Dobra. Kapral Gruda zostanie tutaj. Nikt nie ruszy się z miejsca. Ja sprowadzę wam zaraz pana porucznika.

I prawie schodził, kiedy zatrzymał go głos Ziemiańskiego:

— Po co pan podchorąży będzie się fatygował; ja sam pójdę do porucznika i wszystko się wyjaśni...

Cała hardość pierwszego odezwania się gdzieś spłynęła, odprysła. Andrzej, aż zdziwiony tą zmianą, przystanął. Ziemiański, biorąc to skwapliwie za przyzwolenie, podsunął się ku drzwiom. Ale w drzwiach, w progu samym, stał już znieruchomiały, jak warta, Gruda. Odepchnął przemykającego się ręką:

— Stać!

— Nie słyszysz, skurwysynie, że idę do porucznika? Cóż to? Kapral sierżantowi będzie teraz rozkazywał? Tu nie wasze sowiety...

— Stać! — huknął Gruda.

— Panie podchorąży, panie podchorąży, niech pan z łaski swojej pozwoli mi wyjść. Przecież ja sam chcę pójść po porucznika. Po co pan porucznik ma się tu po nocy trudzić...

Oczy, niewielkie, świdrowate oczki Ziemiańskiego coś najwidoczniej kryły. „Coś wymyślił przez czas, kiedy pytałem od dołu, coś tam sobie wykombinował.“ W planie tego człowieka o skrytych oczach leżało, jako konieczność, wyjście stąd. Wyjście z tego pokoju było koniecznością obrony. „Może pozwolić mu wyjść — pomyślał Andrzej — cóż on takiego, idąc do porucznika, może zrobić? Uciec? Nie; chyba nie to. A może po pro-

stu chce łąać nie mając przed oczami i swego zwierzchnika, i tego pokoju w nieładzie, i tej dziewczyny z przerażeniem w oczach? Nie, nie; to samo już jest oskarżeniem największym.“

— Macie broń?

Ziemiański ulegle odpiął pas z rewolwerem, który był skądś wycygał i nosił. Andrzej zauważył, że pochwa od rewolweru była nie zapięta. Ujrzał też, że oczy dziewczyny wpatrzyły się jak urzeczone w ten rewolwer. Czyżby przed chwilą ten człowiek istotnie z rewolwerem czał się za drzwiami, wtedy, kiedy on łomotał? Dziewczyna mogłaby dać odpowiedź, cóż, kiedy nie ma tłumacza.

— Zostaniecie tutaj i ani się ruszycie. Kapral Gruda, macie rozkaz strzelać, jeśli Ziemiański spróbuje wyjść, ruszyć się, cośkolwiek robić. Zrozumiano?

— Tak jest.

Słowa i postawa Grudy nie pozostawiały żadnej wątpliwości. Andrzej już miał odejść, kiedy nagle stało się cóż, czego nigdy nie byłby przewidział. Oto Ziemiański gruchnął naraż na ziemię jak długi, upadł na kolana i chwycił go za rękę. Na twarzy nie było ani hardości, ani podstępu, tylko zwierżące przerażenie.

— Panie podchorąży, panie podchorąży, na litość, na litość boską!

— Co wam, Ziemiański?

— Panie podchorąży, panie podchorąży, a to pan przecież chce mojej śmierci. Panie podchorąży, to mnie rozstrzelają. Za to się u nas rozstrzeliwa w wojsku.

— A do porucznika się prosił — burknął Gruda.

Ale Ziemiański już nie mówił, nie prosił, nawet nie jęczał. Osunął się na ziemię, w szlochu, w spazmie płaczu tak nagłym, tak niesłychanym, że przygwoździł tym Andrzeja w miejscu. Był to lęk człowieka przed egzekucją, widmo karabinów podnoszących się ku

oczom, czarność wylotu luf, miarowość podnoszenia broni, wizja plastyczna, bo powtarzana przez żołnierza przy tylokrotnych ćwiczeniach musztry. Pod nogami trojga ludzi leżał nie człowiek, ale zmięty strzęp, kłęb nerwów okrwawiony, wijący się skurczami, który zrzucono przez nieuwagę ze stołu operacyjnego na ziemię i w którym za chwilę przestaną już drgać resztki życia, a nawet resztki cierpienia. Było to coś wstrętne-go, obrzydliwego, przejmującego bardziej odrazą niż litością. I naraz jęk zwierzęcy począł włamywać się znowu w mowę ludzką, przechodzić z powrotem w słowa, w całe zdania:

— Panie podchorąży, ja powiem całą prawdę! Jak Boga kocham. Jak dzieci kocham. Jak ten sztandar pułkowy kocham!

— Tylko bez sztandarów, Ziemiański.

— Panie podchorąży, ja wszystko powiem. Niech ta dziewczyna zaświadczy. Panie podchorąży, ona sama powie. I jej nie skrzywdziłem, panie podchorąży. Ja nie miałem czasu.

— Ach, tak, bo czasu nie miałeś?

— Panie podchorąży. Człowiek tak żyje na froncie, dziś tu, jutro tam. Panie podchorąży, nie ma wojny, żeby bez kobit. A Niemcy to nie gwałcą? Panie podchorąży, człowiekowi tak czasem ciężko, żyć samemu trudno. Tu w lesie... Panie podchorąży, ja wiem, pan podchorąży mnie nie lubi, bo ja jestem twardy dla ludzi, ja patrzę o porządek, ja jestem za dyscypliną. Ale co ja poradzę, panie podchorąży, tak mnie uczyli, tak mnie dwadzieścia lat uczyli...

Szloch jego i jęk wczepiały się w myśl Andrzeja, jak ręka taternika szuka po stromej ścianie skalnej jakiegoś występu, uczepienia, zaczepu. Obsuwały się po odpornej gładziźnie wstrętu, aż znalazły. I teraz wczepiły się wszystkimi pazurami, jak wiszący nad przepaścią:

— Panie podchorąży, ja jestem stary żołnierz polski. Dwadzieścia lat! Ja jeszcze Marszałka Piłsudskiego. Pana Marszałka Piłsudskiego! Ja byłem, panie podchorąży, pod Kijowem. Ja byłem ranny pod Korosteniem. W kawalerii pana generała Rómmła. Na Ukrainie. Pod Szepietówką. Pod Winnicą. Nad Słuczą!

Czy wiedział? Czy wyczuł? Miana dawne rodzinnych stron, nazwy miękkie, rzeki dzieciństwa trysły i rozlały się naraz ciepłą falą wspomnień. Nie. Zaczep, na który natrafił, błędząc po omacku, sierżant Ziemiański, był silnym zaczepem. Odpór pękł wielką szczeliną.

— Byłem żołnierzem, panie podchorąży. Co kazali, robiłem. Jakim kazali, byłem. Poszedłem tu do wojska. Mam w kraju dzieci...

Głos mu się rozchlipiał, starczo prawie.

— Małe dzieci, panie podchorąży. Starszy już do szkoły powszechnej chodzi. W Piaskach Luterskich. Pomyślał, że ojciec, bohater, w Norwegii padł. A tu ojca, jak dezertera, rozstrzelają sądem polowym...

— Gdzie tam was tak zaraz rozstrzelają, Ziemiański...

Ale Ziemiański rozsłochał się nowym spazmem, takim jak wtedy, gdy runął wprost na ziemię, tak bezdarnym i bezradnym, że to wrażenie nagłego postarzenia jeszcze urosło, jeszcze wdążyło się głębiej. I łkał, tak, aż niewzruszony Gruda postanowił skończyć:

— Ja pójdę już, panie podchorąży, po porucznika...

I zbierał się do odejścia, ale wtedy wtrącił się tu ktoś trzeci. Karin, o której zapomniano zupełnie, podeszła naraz ku drzwiom i ona to Grudzie, gdy wychodził, zagroziła drogę ręką. Szczupłe białe ramię, zupełnie obnażone z nocnej koszuli, wyciągnęło się między drzwi i żołnierza i zatrzymało. Gruda stanął. Ziemiański podniósł głowę, obrzydliwą głowę, o zmierzwionych

włosach, wybałuszonych lękiem gałach, czerwoną i mokrą od płaczu.

— Więc co?

Dziewczyna utkwiała w Andrzeju swe przejrzyste, zielonkawe oczy, które powracały do swej zwyczajnej jasności i z których wyparowało uprzednie przerażenie. Były teraz smutne i nawet wylękłe, ale jakimś nowym lękiem. I powiedziała pół po norwesku, pół po polsku:

— Poruczik — *ikke. Ikke* — lejtnant.

— Ona nie chce, ona nie chce — zawył radością Ziemiański. — Ona mi darowała, pan podchorąży sam widzi.

— Stul pysk, skurwysynie — szcęknał Gruda.

— Nie? — spytał Andrzej.

Dziewczyna potrząsnęła głową spokojnie, zdecydowanie, godnie, ale uparcie. Była dziecinna w tej stanowczości powziętej naraz, w chwili, gdy ani nikt jej nie widział, ani na nią nie patrzył. Trzymała się jakby kurczowo. A jednocześnie w tej całej dziecinności była tajemnicza. Andrzej nie dowiedział się wtedy i nie miał się już dowiedzieć nigdy, co spowodowało tę nagłą interwencję. Czy odraza przed widmem czyjejs, z jej powodu, śmierci, czy widok tego ludzkiego skomlenia, czy pragnienie, by między nią a tymi ludźmi, którzy tu przyszli, nie został ów przypadkowy, obrzydliwy osad? To jedno było jasne, że nie chciała.

— Ja się jeszcze rozmówię co do was z porucznikiem, a teraz marsz stąd.

Gruda, niechętny, wyszedł za Ziemiańskim. Drzwi skrzypnęły za nim na dole. „Musiały skrzypnąć, gdy wchodziłem do domu; ten drab to posłyszał i kazał dziewczynie być cicho; dlatego w pierwszym momencie nie słyszałem niczego“ — odtworzył sobie scenę Andrzej. Obiegł wzrokiem pokój. „Czemu mu otworzyła? — pomyślał. — A może miała po prostu drzwi

otwarte? Przyzwyczajona była w tym kraju do ufności, teraz z wojskiem nie miała żadnych przykrości. Ktoś zwykle śpi na dole przy telefonie; czegoż miała się bać? Rosła dziewczyna, mogła mu się opierać.“

Krzesła powywracane, szuflada rozwarta, papiery na podłodze, wszystko to uderzało nieprzyjemnie. Począł to podnosić, ustawiać. Kląkł na ziemi i zaczął zbierać papiery, jakieś książki, stary kalendarz. Dziewczyna podniosła coś z ziemi. Była to duża stłuczona lalka. Pewno leżała tu gdzieś jako maskota panińska, przypomnienie ostatnich zabaw półdziecinnych a półdziewczęcych, pierwsze, jeszcze dziecinne, ale już macierzyńskie marzenia przyszłej kobiety. Scena sprzed chwili nie tylko zburzyła młodą ufność do ludzi, ale jeszcze stłukła martwy przedmiot, nasiąkły pieśczętami dziecinnego pokoju, najpierwszą w życiu miłością.

Uważnie, ostrożnie wziął lalkę. Nie broniła mu. Złożył na nowo połamane maleńkie ramię, zasłonił włosami szczerbę porcelanowej skroni. Karin oparła się łokciem o okno, skąd widać było w bladym świetle zieleń brzoźowych gąszczy i szare góry za fiordem. Jasne włosy miała zburzone jak od snu, i policzki od tego snu ciepłe, parujące jakby od łez rozartych przez drobne dziecinne piąstki. Kiedy oddawał jej lalkę, ruchem naturalnym, prostym ogromnie i instynktownym, wparła się naraz w jego pierś, o ramię, pod szyję. Wtuliła się tak, jakby szukała pomocy, lub też po prostu chciała się naraz na złość ludzką wyzalić. Trwali tak chwilę zupełnie nieruchomo. Andrzej czuł na szorstkości khaki grubego munduru twarz rumiano-białą jak spieczony w słońcu owoc, świetlaną jasność włosów niesamowicie złotych, wreszcie młode ciepło, ciepło kobiece, nie znane mu od długich, ciężko długich miesięcy.

Mimowolnie otoczył ją ramieniem. Poczł krągłość słabą jej ramienia, twardą nabrzmiałość piersi.

Odprowadził ją ku łóżku, ułożył, jak była, okrył. Dziewczyna, jakby zmęczona, nie stawiała żadnego oporu. Patrzyła tylko, jakby nie rozumiejąc, jak podszedł do drzwi, uśmiechnął się od nich niewyraźnie i znikł. Wstała, podeszła do okna i widziała jeszcze, jak szedł śpiesznie, jak wsiadł w motocykl, jakby sobie coś bardzo ważnego przypomniął.

Na cmentarzu kapelan już zaczął się dziwić, że podchorążego nie ma.

XI

Cmentarz leżał od domów Haakviku o kilkaset kroków, na wzgórzu niewielkim, wpartym już w lasy. W jego środku stała drewniana kaplica protestancka, podobna, nie wiedzieć czemu, do rosyjskiej cerkiewki. Widać było od razu, że kraj nie cierpi na brak ziemi i miejsca, bo mogiłki były porozsypywane daleko jedna od drugiej, pomiędzy niewielkimi świerkami, które w tym kraju sadi się jak rzadkie, przyjmujące się z trudem okazy południowych krain. Północna brzoza wyrastała tu i ówdzie jak nieproszony gość z lasu.

Ksiądz i obaj strzelcy byli już na lewym skraju cmentarza, gdzie nie było jeszcze żadnych grobów prócz paru zupełnie świeżych, żołnierskich, żółcących się w słońcu sypkim piaskiem. Dźwignęły się nad nimi krzyże wysokie, wyróżniające się tym od norweskich, podobne do polskich. Były obciosane niedawno, więc białały i one żółtawą białością świeżo ściętego drzewa. Kapelan wy dostał był skądś trumnę, zbitą z paru desek jak skrzynia, w której na kresach przechowuje się przez lato wielkie, podróżne futra. Trzeba było zwłoki zdjąć z noszy postawionych na mchu i przełożyć je do jej wnętrza. Okazało się ono za wąskie, a zwłaszcza za

krótkie. Nie było na to rady. Trzeba było zwłoki wciśnąć w tę skrzynię na nie za małą, ugiąć je w zesztyniałych już kolanach. Czerwona miazga rozłupanej pociskiem głowy przyrosła do deski górnej, barwiąc ją jak plamą połyskliwej, tłustej farby. I wreszcie, gdy już opuszczeniem w dół płytki wykonał tę grabarską robotę, wieko nie chciało się zawrzeć. Próżno Pawłowski, zstąpiwszy na sam dół, porał się z nim, dopasowywał. Nie poszło. Ale ksiądz, już w białej komży na mundurze, dał znak, żeby zaprzestać. We czterech, hełmy zdjawszy, stanęli teraz nad dołem i wysłuchali krótkich słów modlitwy. Był wschód, kiedy rękami, a potem łopatami zaczęli sypać z powrotem wyrzucony uprzednio przy kopaniu białawy, morski piach. Osypywał się w dół szeleszcząc, ciężarem mialkim i sypkim. Odnalazł od razu szparowate niedomknięcia trumny i przesączał się w te niedomknięcia, jakby dążył świadomie do zetknięcia się co rychlejszego z owym trupem, którego bronić miały owe źle sklecone i jeszcze gorzej zachodzące na siebie deski. Ale była to chwila krótka bardzo i niebawem na cmentarzu haakvickim przybyła jedna mogiłka więcej.

Strzelcy odeszli pierwsi, w ślad za wózkiem, który toczył się leniwie po dróżce polnej do cmentarza. Andrzej odwiózł księdza motocyklem pod dom. Gdy wracał, popatrzył raz jeden jeszcze na niewielki cmentarzyk u stóp górskiego zbocza, włochaty od świerków. Nigdzie pustka norweska nie wydała mu się tak obca, a kraj sam nie wydał się tak bardzo skrawkiem świata z innej planety. Zrobiło mu się aż nieswojo. Chciał zejść, podejść do grobów i choć tą darnią gąbczastą pokryć piaskową jałowość tamtych pierwszych żołnierskich mogił. Ale było już późno.

„Zrobię to innym razem“ — przyobiecał sobie przejeżdżając.

Cmentarz, jak gaj niewielki, zlał się z przylegającym lasem.

.
Na kilometr przed miejscem postoju plutonu, już w lesie, ktoś wyszedł na drogę. Z daleka Andrzej rozpoznał Grudę.

— Jest co do mnie? — zatrzymał motocykl.

— Nic, panie podchorąży, póki co. Do porucznika były telefony ze sztabu. Co tam, nie wiem... Ja ta tylko wyszedłem tak do pana podchorążego...

— Bo co?

— Mnie się tam, panie podchorąży, jedno teraz wydaje... A wam nie?

— A co się ma wydawać?

— A z tym Ziemiańskim, z sierżantem. Podchorąży pamięta. Najpierw to się stawiał i taki był hardy. Sam do porucznika chciał iść. Jeszcze się wygrażał. Był pewny. A gdy pan podchorąży jemu iść nie dał, a tylko porucznika chciał na miejsce ściągnąć, to zaraz taki się miętki w pysku zrobił. Coś w tym, panie podchorąży, siedziało. Coś tam siedziało.

Przystanęli w lesie. Podejrzliwe, bystre oczy Grudy były pełne napięcia.

— Więc co?

Gruda zaśmiał się cicho i chytrze:

— To już wy, podchorąży, pomędrkujcie toto, skońście mądrzejsi. Ja ta bez ten czas swoje upraktykowałem. Bo on, cholera, już taki bez niczego hardy i bez niczego miętki to się cheba nie robił. *Eh, comment?*

Oczy ich spotkały się ze sobą na długą, wypytującą chwilę.

— I coście tam upraktykowali, Gruda? Powiedzcie no.

Kapral zaśmiał się cichym, radośnie chytrym śmiechem.

— Ej, panie podchorąży, to jedno wiem: jeśli było tak, jak mnie się to widzi, to albo on by już zagiął nas wszystkich, albo my jego. Kogoś by już prowadzili pod mur...

— Ale bajacie, kapralu.

— Bajam, nie bajam, a ot co: jedno wiem — swój plan ten ptaszek nasz miał. On nie z fantazji tak chciał iść sam do porucznika, a nie chciał, żeby porucznik na górę se szedł. On już tam po drodze byłby nam coś takiego wywinął, żeby się i ze wszystkiego wykręcił, i na bohatera jeszcze wyszedł. Na pewniaka szedł. I nam, panie podchorąży, trzeba było go puścić, a tylko po drodze miarkować, co tam nie zmajszuje, i wtedy za łapę — haps. Już byśmy go wtedy mieli...

Oczy z chytrym, łowieckim uśmiechem wświdrowały się gdzieś w las.

— I ja, panie podchorąży, tak leżąc w lesie myślałem sobie potem i myślałem o tym wszystkim. Kombino wałem i kombinowałem. I dokombinowałem ja się. He, he...

I jakby las mógł słuhać, wyrzucił z siebie cicho i szybko:

— On, panie podchorąży, on skradł mapy pana porucznika.

Myśl przeleciała szybciej od słów, jak iskra, jak dreszcz. Andrzej ruchem głowy zaprzeczył.

— Wiem, co mówię, panie podchorąży. Ja ta nie pierwszy mam front i nie pierwszego szpicla widzę. A w Hiszpanii mało ich nie nasyłali? I on, panie podchorąży, te mapy ma. Gdzie? Nie na sobie. Może na dole domu, może gdzie. I wie pan, co kombinował ten hycel? Że ot po drodze tak jakoś pokombinuje, żeby te mapy wziąć, i gdy my jego do porucznika dostawi-

my, to on te mapy z zanadrza — i proszę. Że niby na tę dziewczynę podejrzenie miał i u niej je znalazł...

Czeczwał zaśmiał się, ale nieszczerze:

— Ej, Gruda. Te mapy, co porucznikowi zginęły, pewno je sam zgubił, i na co one komu były potrzebne? Niemcy takie same mają. Albo lepsze. I dziewczyna by się wybroniła. I czemu to już ze zwykłego drania aż szpiega robicie? Stary żołnierz, a że swołocz, to swołocz.

Ale Gruda tylko wzruszył ramionami.

— Ja tamto myślał, jak to porucznik wczoraj o te mapy zachodził, po jaką cholereę one komu potrzebne? Okolice Narviku? Mamy takie my, mają Niemcy; norweskie to mapy przecież. Ale na tych mapach było dorysowane wszyściutko: i gdzie my, i gdzie kompania, i tamte plutony, i batalion. Ginęły takie mapy pod tą Guadalajarą, to w dwa dni później przylatywali Niemcy i młócili z samolotów prosto w sztaby, kuchnie, lazarety. He, he... jak za dwa dni tak do nas czasem przylecieliby, nie zdziwiłbym ja się. Dziewczyna? Dziewczyna by się, głupia, wybroniła, jakby sierżant zeznawał, że u niej te mapy kradzione znalazł? Na froncie takie sprawy niedługo się macha. I jakby się tam broniła? Po norwesku?

— Słuchajcie, Gruda, nie wiecie, że to stary żołnierz?

Gruda wzruszył ramionami.

— A od kogo ja wiem, że on stary żołnierz, panie podchorąży? Że sam tak gada? A papiery jego kto widział? Pewno, że poginać gdzie mogły. To wiem, że był po sztabach w Warszawie, a wokoło sztabów różni się zawsze kręca. A jest taki jeden w 3. kompanii, co go znał, jak się jeszcze Bodenheimer nazywał, nim na ślachcica się przemienił...

— Czego ludzie nie gadają. O was też, żeście bolszewik...

— Bolszewik? Żem hyclów niemieckich prał, nim inni się na nich poznali? Bolszewik? Niech i tak będzie; bolszewik. Ale to wam powiem, panie podchorąży, jedno: mnie nie trzeba, żeby mi kto mówił. Ja chodzę, słyszę. Ja se patrzę, choć nikt ta nie widzi. I widziałem takich hyclów, co to na tamtą stronę robotę odrabiali. Taki, jak w rewolucji pracuje, to zawsze najczervenější, a jak w takim oficerskim wojsku, to najgłośniej w obcasy trzaska. Ziemiański może inny? Ho, ho; ale po bokach to on swoje i powiedzieć potrafi, i wie komu, i co, i jak...

— To czemu o tym nie meldujecie?

Chłop wzruszył ramionami:

— Bolszewikowi, czerwonemu z Hiszpanii, uwierzy tam kto?

— A ja wam nie uwierzę?

Gruda zaśmiał się życzliwie:

— Pan podchorąży nie oficer, cóż na to pomoże? Eh! A potem, to ja, uważacie, nie lubię zwierzynki płoszyć... Nie, nie. Niech pójdzie ptaszynka w same, same pastki. Trzask! Ale tak, o byle tam co, nie, nie.

Oczami bez przestanku świdrował, obmacywał las. Od strony postaju plutonu. Aż Andrzej się obejrzał.

— Myślicie, że poszedł za wami?

Gruda zaprzeczył ruchem głowy:

— Nie myślę, panie podchorąży... Siedział tam w lesie. Jeden kumpan na niego pozór już ma. Ale to ten młodzik — Socha. Zagapić się może, gawron. A tamten — lisiura stara, jak rzadko się przytrafia. Pozierać zawsze lepiej. To ja i wyszedłem przed pana podchorążego, żeby tu, nie widziany, pomówić. A mówię tak: było nie było, a na tego gada pozór miejmy. Udawać, że nic. Sam wpadnie.

Kiedy wreszcie porucznik wydał rozkaz, ruszyli w rozładowaniu wyczekiwanego długo odprężenia.

Od zarządzonego rano, wkrótce po powrocie Andrzeja z Haakvik, pogotowia marszowego upłynęło godzin osiem. Wszystko było przez ten czas przejrane po trzy razy, poprawiane, uzupełniane, zmieniane, przywracane na nowo. Plecaki pozbyły się wszystkiego, czego pozbyć się mogły; pierwsza, tyle marzona, zdobycz społeczna polskiego żołnierza na świętych tradycjach rutyny. Pozostawiono nawet koce; pod klapą plecaka zrolowano tylko niewielkie baranie kożuszki. Był to znak najoczywistszy, że nie chodzi o zwykły powrót na linię, bo z samymi tylko kożuszkami, bez koców i peleryn, spanie w górach nocą było niepodobieństwem. Tedy spać tam nie będą. Wydano dwie porcje rezerwowe suchego prowiantu, z uroczystymi zakazami spożycia jej bez wyraźnego na to rozkazu, porozdawano w sowitej ilości granaty. O pierwszej przymaszerowały dwie drużyny karabinów maszynowych, przydzielonych czasowo do plutonu; jedną z nich prowadził Stecki. Ciężkie podstawy do kaemów, długie rury luf, robiły wrażenie na poły niepokojące, na poły krzepiące. To samo, co warzony po raz drugi, ku utrapieniu kucharza Humenego, gulasz ryżowy i fasowany do manierek rum. Humeny patrzył z wielkim zafrasowaniem, jak drewniana baryłka się wypróżnia, i harował, zmordowany, przy kotłach.

— Chyba na Berlin już idziecie, że tyle jecie — stękał.

Goniec motocyklowy batalionu trzy razy przelatywał tam i z powrotem na swej maszynie; w domu dzwijał telefon. Meldował się I-bud i Icz-3, rozmawiano o „fasolce“, o „sosence“, o „sowie“ i o „puchaczu“. Niezrozu-

miały słowa, nagłe poruszenie, nieskąpiona żywność i uzupełniana po dwakroć amunicja, wprowadzały elektryczność w powietrze. Gruda położył się spać i radził wszystkim uczynić to samo.

— Nie wiedzieć, kiedy będziesz teraz spał. Może dopiero w Narviku — powiadał.

Ale mało kto go posłuchał, bo byli to jeszcze bardzo młodzi żołnierze.

Siedziano pod drzewami, nie wydalając się z drużyn, czekając. Już myślano, że tego dnia nic nie będzie, jak przedwczoraj. Patrzano obco na pluton z 3. batalionu, który tu ściągnął tymczasem jako nowy odwód. Jeśli się nie wyruszy, gdzież się tu wszyscy pomieszczą? I prawie zdziwiono się na dwukrotny, gwizdkowy sygnał. Z odprężeniem ulgi poszli w las, rozczłonkowani na drużyny, w trzech kolumnach jakby, na równej wysokości. Za chwilę leszczyna podszycia poczęła rozchyłać się szeleszcząco, bić kosmatymi prętami, lepkiemi od kulistych pączków, po hełmach i mundurach.

Wspinali się lasem długo, tak jak wtedy, temu dziesięć dni prawie, kiedy pierwszy raz szli na pozycje. Las jednak już nie był ten sam. Wtedy leżały tam wielkie zwały śniegu, który topniał wprawdzie, ale topniał bardzo powoli, w którym zapadała się noga, pod którym ziemia była rdzawa i czarna. Brzozy były jeszcze gołe, rudziejące i bezlistne. Przez tych kilka dni rozciepła się jednak kilkoma słonecznymi popołudniami późna norweska wiosna. Śnieg stajał. Zieleń liści rozpękała się z pąków, pierwsza trawa zaczęła wychodzić. Czasami las się przerywał i przechodził w stoki łyse lub polanki porośnięte gąbczastym, uginającym się mchem; wtedy widać było, że las o kilkadziesiąt metrów jest już niewątpliwie zielony, a także i to, że zieloność ta znakomicie kryje. „Nie to, co śnieg tamtego pierwszego,

nocnego marszu... Nas kryje i Niemców kryje. Jak będzie tam, na samej górze?”

Na samej górze stanęli wtedy, kiedy już słońce zniknęło, świecąc z boku, niewygodnie, w oczy od lewej i tak rudawo, że w pierwszej chwili widok nie widziany od tyłu dni wydał się nie tak wiele zmieniony w swej barwie. Na dnie kotlinki, która znowu leżała między nimi a tamtymi, milczącymi jak wtenczas, białął śnieg jeszcze, ale śnieg zalegający płatami mniejszymi, mniej sutymi, bardziej pożartymi przez rudość ciemną podglebia. Nawet kota 405, skąd wtedy wyruszyli na tamto wzgórze, miała jeszcze część swego ostrego stoku obłożonego śniegiem. Widać ją było doskonale po prawej, a z nią cały olbrzymi garb górski, podnoszący się wyżej i wyżej, pofalowany w fałdy, olbrzym pośnieżony cały, jak ochlapany wapnem. Natomiast w lewo wszystko roztopiało się ni to w lesie, ni to w zaroślaku, ni to w nierównościach terenu. Tam opadało to ku fiordowi i morzu, ale też i rozgraniczenie pomiędzy swoimi a tamtymi przebiegało najmniej wyraźnie. W lesie, krzakach, jarach — front się gubił. Wieczór, który zapadał, uczynił to gubienie się jeszcze ostrzejsze. Teraz dopiero uświadomili sobie, że przed tygodniem jasność nocy norweskich była potęgowana białym odbłaskiem śniegu i że ta jasność skurczyła się razem z nadejściem odwilży majowych. Było gorzej.

Pluton, prawie przed samym dojściem, rozdzielił się na dwie części. Jedna, z porucznikiem, podsunęła się bardziej na prawo, opierając się niemal swym prawym skrzydłem na kocie 405; druga, z którą poszedł Czechel, odeszła bardziej w lewo. Rosły tu, porozrzucane jakby, krzaki, sośnina, świerki. Spod mchu wyzierały wielkie łysiny granitu. Jedno ze stanowisk karabinu maszynowego było umieszczone właśnie w takiej szczyrbie; dwa drugie wkopane wprost w grunt. Na tym odcinku stał

do tej pory cały pluton. Porucznik i podchorąży, zaciągający z lwowska, objaśnili Andrzejowi wszystko, co mogli tylko wyjaśnić. Spieszyli się; pluton miał być przesunięty w lewo, właśnie w owe zalesienia opadające na fiord. Rozkazy mieli już zupełnie wyraźne, skoro sami wchodzili w skład tych jednostek, które miały przejść do natarcia. Miało to nastąpić w nocy, pięć po dwunastej. Andrzej spojrzął na zegarek. Była właśnie ósma.

Erkaem wysunął najpierwej, na prawy skraj swej pozycji, w owo stanowisko pomiędzy kamieniami. Po to tylko, żeby na wszelki wypadek ubezpieczyć dalsze obsadzenie. Nie był ani zdecydowany, ani pewny. Odczuwał zakłopotanie, ale i rzeźwą, ambitną radość. Po raz pierwszy samodzielnie rozporządzał odcinkiem; po raz pierwszy od niego tylko zależało rozmieszczenie ognia i strzelców. To nie byłoby najważniejsze. Ale było i co innego. Oto odcinek, na którym jeszcze przed chwilą znajdowało się czterdziestu jeden ludzi, pełny pluton, przeszedł teraz pod obsadę niepełnej drużyny — dziewięciu strzelców. Zamiast trzech erkaemów był teraz jeden. Od strumyka, przeciekającego wolno z owej kotlinki, do zadrzewień w lewo, gdzie odcinek się kończył, było dobrych trzysta metrów. A potem? Potem powinna być kompania Połubińskiego i powinna być z tą kompanią łączność. Czczel poszedł na sam koniec odcinka, wyszedł nawet dobrze poza jego skraj najdalszy. Było zupełnie pusto. Lewe jego skrzydło wisiało więc w powietrzu, nie natrafiając na nic.

Zawrócił.

Strzelcy leżeli na swych stanowiskach, jak ich rozstawił chwilowo, przykryci gałęziami. Michałek był przy erkaemie; trzeba było wynaleźć mu nie to stanowisko nowe, ale stanowisko najlepsze, jakie mogło być, skoro w tym położeniu erkaem Michałka i garłacz-gra-

natnik Grudy stanowiły jedyną siłę ognia. Na karabiny wzruszał ramionami; mrok zapadał i jeszcze teraz można było wprawdzie czytać najspokojniej, ale o pięćdziesiąt kroków nie rozróżniało się pnia drzewnego od człowieka leżącego. Karabiny to dobre, gdy się widzi z daleka, gdy jest czas celować.

Tylko gdzie?

Tam gdzie był, nie; kamienie, pomiędzy którymi było prowizoryczne, odziedziczone po tamtych stanowisko Michałka, leżały przede wszystkim na prawym skraju odcinka. To znaczy, że o kilkadziesiąt metrów za nim, w owych choinkach i brzożach, siedziała cała reszta plutonu. Czeczeli pomyślał, nie bez złości, że porucznik skomasował wokół siebie obie pozostałe drużyny własne, poczet dowodzenia — bądź co bądź pięciu ludzi — no i oba przydzielone o pierwszej cekaemy. „Ubezpieczenie dowodzenia wcale, wcale niezgorsze...” — pomyślał. Ale na rozważania nie było czasu; noc zsuwała się górami i lasem. Nie, po tej stronie nie pozostawi erkaemu. Niech tu broni bliskie sąsiedztwo porucznika i całych sił plutonu, zresztą dno kotlinki w tym miejscu się spłaszcza i jest najbardziej odkryte, odsłonięte, widoczne. Erkaem będzie najpotrzebniejszy na lewym skrzydle, tam gdzie te zalesienia są najtrudniejsze do obserwacji, tam gdzie urywa się łączność.

Przez gońca posłał jeszcze meldunek ze szkicem sytuacyjnym, z nadmienieniem o niemożności nawiązania łączności z „sąsiadem z lewej“, i wrócił pod górę, przechodząc wzdłuż stanowisk strzeleckich. Były tu dwa stare stanowiska do erkaemów, pozostałość po zluzowanym przed godziną plutonie, ale żadne nie wydawało się odpowiednie. Oba leżały na samym załamaniu wzgórza, na tak zwanej linii horyzontu, tak że były oba na pewno z daleka widoczne. Za to nieco poniżej, w miejscu, gdzie już pozycja opadała w głąb kotlinki, ku sta-

nowiskom niemieckim, były długie płaty kosówki, zmierzwionej i skarłajej. Dla pewności, by jego krzątanie się nie było czasem zauważone przez tamtych, Andrzej podczołgał się na łokciach. Rozejrzał się, rozparł w kolczastym poszyciu. Rozpoznawał. Stąd miał dobre pole ~~ob~~strzału na wprost przed siebie, zupełnie znośne w lewo. Tylko pomiędzy oboma kierunkami czerniła się, jak klin, niewielka kępa brzozowa, a w niej jakieś nienaturalne wzniesienia. Długo nastawiał szkła. Teraz w nocy było jednak coraz ciemniej. Wreszcie rozpoznał. Były to sągi drzewne, pewno nacięte jesienią i nie zwiezione do tej pory. Otóż ani wybrane przezeń, ani żadne pobliskie stanowiska nie dawały mu obstrzału na ową kępę. W ogniowym zorganizowaniu terenu, jak to nazywał regulamin, powstawała luka.

„Zamknij ją w razie czego granatnik Grudy.“

Leżąc w kosówce planował dalej. Strzelców zgarnie bliżej siebie, ściągnie; nie jest pewien, czy czując się sami, odbici od zwartego oddziału, w razie czego nie „uskoczą“. Pozostaje lewy skraj. Nie ma wciąż łączności w lewo; nie do niego należało jej nawiązanie; mimo to — nie ma. Nowa luka. Jeśli w tamte zadrzewienia dostanie się nieprzyjaciel, zroluje mu cały odcinek, przerwie całą linię obronną. Popatrzył w tę stronę. Istotnie. To jedno, że po kilkunastu metrach przerywał się ów las, rozpinający się nad pozycje niemieckie i polskie, a następował taki ogołocony stok, trochę pewno grząski, trochę kamienisty, jakich tyle tu było wszędzie. Myśl strzeliła nagle: stanowisko zapasowe erkaemu, z którego, gdyby naraz Niemcy od lewej zaszli, gdyby na to wyłysienie wyleźli, można by ich odepchnąć z powrotem.

„Ale gdzie?“

Przepełził z powrotem. Był teraz zasłonięty. Powstał. W tym właśnie miejscu dwie niewielkie fałdy terenu

zachodziły na siebie jakby załamaniem, wklęsłą. Tu. Tylko tu. Odmierzył kroki od miejsca, gdzie leżał przed chwilą. Dwanaście. Odtworzył sobie skok nagły, poderwanie się z ziemi w tych kosowiskach z ciężką maszyną, przerzut wraz z nią na tę stronę i ponowne przypadnięcie do ziemi. Pięć sekund. Zmiana celownika? Nawet niepotrzebna zmiana celownika. I tu i tam można na 400 m. Tylko trzeba skupić całą obserwację na tym właśnie punkcie. Stąd widzi się jak na dłoni kotlinkę, nawet tamten, pamiętny taras, owe płaskowzgórza, na których się krwawili. Widzi się w lewo ten las; nie-dobry, ale zawsze dosyć rzadki (gdybyż nie tamte sągi!) — wreszcie, jeśliby tamci zaszli z lewej, przerwali się w tym miejscu bez ogniów łączności, zamknie im dalsze posuwanie się ogniem stanowiska zapasowego. Jedno było jasne: trzeba tu kogoś, co by czuwał nad tym i nad tamtym, widział to i tamto, a gdy trzeba będzie, pobierał decyzje natychmiastowe. „Będę tu nad Michałkiem“ — postanowił.

Ziemia, rozkopywana, by erkaem umocować głębiej i bardziej płasko, sypała się na jałowce mokrym żwirem. Michałek obejrzał jedno stanowisko, drugie. Wykonał ów przerzut z bronią w rękach. Powtórzył go, by ruchy zautomatyzować. Wreszcie zasiadł.

Kiedy to właśnie kończyli, przyszedł jeszcze goniec od porucznika z zapytaniami. Porucznik czuł się jednak niepewny, zaniepokojony nieliczną obsadą. Była kartka i od Steckiego. Tadzik pisał:

„Wiemy, jak cię wpakowano. Nic się nie bój. Położyłem ogień mego cekaemu przed wasz przedni skraj. Będę tam w nocy posikiwał z niego od czasu do czasu, na wszelki wypadek. Jeśli chcesz, żebym jeszcze gdzie położył ogień, daj odpowiedź.“

W załączeniu był szkic ogniowy. Andrzej odesłał inny, prosząc o „zajęcie się“ w szczególniejszy sposób

ową kępą brzeziny z sągami drzewa i dojściem do nich od strony nieprzyjaciela. Wszystko to z jego stanowiska było typowym „polem martwym“, niemożliwym do trzymania ognio-wo. Sam, dla własnej satysfakcji, wykonał nowy szkic sytuacyjny, z całym układem ognia, zmiennością stanowisk ogniowych, ogniem zaporowym cekaemu, granatnikiem VB. Pokazał Grudzie. Zaniósł do Michałka, który już zaległ w kosówce i zlewał się z nią w mroku, przykryty naciętymi gałęziami. Potem wrócił do reszty drużyny. Zapadająca noc, oddalenie od reszty plutonu, poczucie, że tam dalej nie ma żadnej łączności, nie podziały najlepiej. Czeczł znał tę drużynę jak żadną inną z całego plutonu, bo to była w swej większości jego dawna drużyna. Wiedział, że jeśli coś nie idzie, wszystko zaczyna się w milczeniu. Wolał zawsze przekłuwać takie milczenia, wywołać nawet wybuch, byle żale wylały na wierzch. Tym razem czuć było, o co chodzi.

— Za parę godzin — rozpoczął — jeszcze w nocy, wychodzi nasze natarcie...

Wszyscy dostrzegli to dawno z nieomylnych wojennych znaków, ale słowa zapadły jak potwierdzenie czegoś, w co się jakby nie wierzyło.

— Natarcie — pokazał na góry — pójdzie aż stamtąd, od granicy szwedzkiej, het, za tymi górami i aż za tym lasem, pod tamtą górką, z której wtedy... pamiętacie?... tak nas grzali...

W bladym półmroku — noc przesyciała się mgłami — twarze nieruchomiały uwagą.

— Natarcie poprzedzi artyleria angielska z gór za nami, z krążowników na fiordzie. Zobaczycie dopiero, jak takie coś wygląda...

Znowu urwał. W Coëtquidan, we Francji, jego wykładowca z podchorążówki powiadał słusznie, by nie mówić żołnierzowi ani za wiele, ani za mało. Czeczł

wiedział, że wedle ocen polskich objaśnia raczej za wiele. Uważał jednak, że ci robotnicy z Francji muszą wiedzieć więcej, że ta zapowiedź wiszącej w powietrzu ofensywy, w tych rozmiarach, ze wsparciem artyleryjskim, podniesie ducha owej nocy chłodnej.

— Teraz — podjął — co my robimy?

Sześcioro oczu znieruchomiało w jednakowym spojrzeniu, jak przedtem ścięły się twarze...

— My nie pójdziemy do natarcia. Nasze zadanie jest zostać tu, tu — powtórzył znacząc ręką, aż obejrzeni się na pozycje za nimi — i tu trzymać. Trzymamy to ogniem cekaemu podchorążego Steckiego z tamtej górki. Trzyma to erkaem Michałka, który tłuc będzie i tam, i tu. Trzyma granatnik kaprała Grudy, który obrzuci tamte drzewa — o! że niech! Trzymamy to — my. Wy...

— Jest nas mało. Jesteśmy tu po raz pierwszy.

— Dlatego trzeba dwa razy tak wypatrywać oczy, co zawsze. Dlatego spać będzie tylko trzech. Wy trzej pójdziecie teraz pod tamtą kolibkę. Was się potem zwolni.

Kolibkę tworzył załom skalny, przesłonięty z jednej strony wielkimi gałęziami sośniny, widocznie zrąbanymi gdzieś dalej i przyniesionymi tutaj przez ów zluzowany pluton. Trzech wyznaczonych do służby rozmieścił w prawo od erkaemu, ku stanowiskom reszty plutonu. Najdalszy był o 40 m. Kiedy wszyscy pokładli się na owym załamaniu terenu, było to tak, jakby uchwyciły je podłużne, brunatno-szare szpony niewidzialnego ptaka. Ustało ostatnie chodzenie po mchu, nieuniknione trzaskanie gałęzi, przytłumiony odgłos saperskiej łopatk Michałka, wkopującej się w jałowiec i coraz to zgrzytającej o skałę. Znieruchomienie zlewało leżące kształty ludzkie z ziemią, krzakami i kamieniem. Milczenie zlewało je w owej chwili ze światem.

Andrzej, przysiadły w niewielkim wgłębieniu tuż pod

ńskimi chojniakami, uzmysławiał sobie, że cisza, która tu nastaje, jest ciszą tak niespotykaną, tak idealną, jakiej nie zna się w innych krajach, a pewno i nigdzie indziej. Chyba tam, na zupełnej już północy, gdzie załęgły wielkie rozwaliska lodowe, rozłogi dziewiczych śniegów, pobojuwiska kier, paruje ku słońcu cisza tak chemicznie czysta, tak wydestylowana z szmerów. „Biedny Kettler — pomyślał — on, co lubił odnajdywać w nocy głosy dzikich kaczek i przybłąkanych głuszców, co by tu teraz robił?“ Zastygło, istotnie, wszystko. Jedynym ruchem widocznym była rozrzedzona, bielista mgła, napływająca zwolna bladymi obłokami, jakie nieraz przejeżdżały między nimi a kotą 405, tamtym tarasem i górą wielką w prawo, a potem, jakby się ośmieliły i zaczęły podchodzić w ową stróżowaną kotlinkę poniżej, przystawać przy jakiejś sosence niepokojąco samotnej, co gorsza, obsuwać się watowatą ciecżą wokoło owych brzezin kryjących sągi drzewne, widoczne przez szkła i ukryte przed najlepszymi szklami, niespodzianki wojenne. Ale mgła także była bezszelestna, a wiatr, jaki ją musiał pędzić, był za słaby do poruszenia najśłabszej nawet gałązki. Las, który opełzał ich wokoło jak wielki, ciemny wąż, był lasem martwym. Nie gadał tak, jak gada las europejski, las polski, w maju zwłaszcza, nie odzywał się nawoływaniem zwierząt, tajemniczymi stapaniami, łamaniem suchym chrustu, puszystym szelestem odginanych liściastych gałęzi. Nic. Zupełnie, zupełnie nic. Od gór, które tam dalej o parę kilometrów wypiętrzały się szarością granitu i białością lodowców, jak szperacze czy małe patrole wysłane w świat przez biały krąg biegunowy, szedł jakby nie tylko chłód wilgotny, ale i niemość. „To może lepiej — powiedział sam do siebie Czezel — w takim lesie, jak ten, wszystko się słyszy, nie pomyli się słuch, nie wpadnie na błędny trop. Gdyby ktokolwiek

podchodził, słyhać go będzie właśnie, bo jest tak okropnie cicho. Powstał, porozumiał się z Michałkiem, obszedł strzelców, zajrzał do koliby. Zasiadając z powrotem miał wrażenie, że cichość tego lasu wywiera aż ciśnienie psychiczne, ciśnienie podobne temu, jakie wywiera gęstość płynu czy powietrza w świecie fizyki. Nie, nie miałyby siły zawołać tutaj głośno.

Wszystko zresztą z powrotem zastygało od razu, jak wygładza się woda kamieniem rzuconym rozdarta, jak zasklepia się klej i zasycha gaszone wapno. Tylko mgła na szczęście nie gęstniała wcale. Chodziła tędy i owędy przejrzystymi jak dym faliznami, ni to obłoki niskie, ni to opar błotny. Niepokojące, zastanawiające sągi odsłoniły się raz jeszcze; nie, nic. Właśnie w to upewnijające „nic“ wdarł się naraz suchy, urwany, jakby chwycony w okamgnieniu za gardło, trzask cekaemu. To Stecki puścił serię. Gdzie?

Właśnie na owe sągi czy za nie?

Zobaczył co?

Niżej Michałek przyciągnął twarz do celownika, bezszelestnie a nagle.

Czczel obsunął się i patrzył przez szkła peryskopu. Wydało mu się, że drwa są z lewej strony jakby przesunięte. Nie; zdawało się tylko. Poprowadził powoli oczami po całym odcinku, powiódł aż za drugą stronę garbu, w to miejsce, które miał trzymać ze stanowiska zapasowego erkaemu, i obejrzał się jeszcze. Gruda podsunął się na łokciach i też patrzył, ale nic nie dostrzegł.

Tam daleko, z prawej, w górach wysokich, poszła czyjaś inna, krótka, zgłuszona seria. Ale też chyba po to, by nie dać się przeżreć tej ciszy. Jak człowiek, który wyrzuca z siebie jakieś słowa niezrozumiałe w głębokim śnie i potem ich nie pamięta.

Popatrzył na zegarek. Dochodziła zaledwie jedenasta.

Jeszcze godzina, jeszcze cała godzina, ostatnia.

Jeszcze godzina — mówił do siebie tej samej chwili porucznik Ostroróg.

— Widać będzie, panie poruczniku, wszystko — dopowiadał podchorąży z kaemów, przydzielony tak samo, jak Stecki, na czas akcji.

Byli z 3. batalionu. Od forsownego marszu z samej szwedzkiej granicy, skąd szli wielkim zakosem, góry nie góry, lodowce nie lodowce, nie spali jeszcze. Niemcy siedzieli o przeszło 400 m za tamtym załosem czworograniastym, nieomal geometrycznym, daleko, a na szarości nie okrytych tu już trawą głazów, białości nawianego firnu i lodowcowych skamielin znać było wszystko najwyraźniej. Toteż czuwało tylko paru. Reszta spała snem pomęczonym i utrudzonym. Porucznik, wbrew wszelkim zasadom polskiego regulaminu, pozwolił nawet zdjąć nie zdejmowane od nie wiedzieć kiedy buty. Nogi, natarte śniegiem i owinięte ciepło, rozprostowywały nareszcie swe żałosne obtarcia, wycieki poranin, swędzącą sparżoność skóry. Spały jakby snem własnym, od snu ludzi niezależnym, jak kąpiel krzepiącym. Porucznik za to nie spał i czuwał sam, w pierwszej linii. Patrzył na Niemców na wprost, pochowanych za śnieg jak krety.

— Oni tam podobno mają całą linię Maginot ze śniegu. Do swoich tyłów mają nawet przebity ze śniegu korytarz. Na człowieka wysoki.

— Skąd pan wie?

— Mówił o tym ten Francuz, pułkownik Mally.

— Trzeba będzie o tym pamiętać.

Ręce grabiały w lodowatości powietrza, kłującej igielkami mrozu, zimowego tu naprawdę, górskiego. Porucznik Ostroróg przywodził sobie w pamięci dawne krakowskie wycieczki, lutowe i marcowe, do Zakopa-

nego, na halę Pyszną, nad Czarny Staw, do „murowańca“. To wszystko, co rozpościerało się tutaj, nazywał nawet Skupniowym Upłazem, bo istotnie tworzyło to taki wielki, jeszcze bardziej rozsiadły, Skupniów Upłaz. Należeli do najbardziej prawych pozycji tej strony frontu, a że całe wzgórze nad Ankenesem podnosiły się coraz wyżej, im bliżej Szwecji — należeli więc i do najbardziej wysokogórskich. „Czy myślałem za cywilnych czasów, że będę prowadził walkę wysokogórską w Norwegii? — przypomniał sobie Ostroróg swoje niewinne narciarstwo. — Ale przynajmniej widzi się stąd wszystko.“

Istotnie, nie była to taka pozycja jak ta, na której Andrzej rozstawiał swych ludzi, a Stecki brał ich pod osłonę cekaemu. Widać stąd było nie odcinek niewielki, ale cały teatr boju. Przede wszystkim góra sama, ów garb ogromny sięgający do fiordów, opadała stąd ukazując pozycje, zarówno niemieckie jak polskie, które sobie ten garb równolegle rozdzieliły. Widać było bliższe pozycje wokoło „fasolki“, nie nazwanego, na mapie nie określonego wysokością wzniesienia, gdzie tkwiły najbardziej kąśliwe gniazda niemieckiej broni maszynowej. Widać było na wprost nich osaczające już półkolisko, dwa plutony kompanii kapitana Dańca, Lewickiego i Tracza, przysunięte prawie do niemieckich tak, że wyjrzenie, wyprostowanie się, niekiedy przykucnięcie ściągało strzały. Widać było, bezbronny z tej strony, ale na strzały za daleki, taras, potem owo płaskowzgórze, w które daremno wgryzał się swego czasu inny pluton Dańca, wreszcie zalesioną na dobre górę. Niska, nieckowata kotlinka, dobrze innym znana, jaśniała stąd jak niewielka plamka, wtulona w las. Las stąd czerniejący, jakby nasadzony niemal sztucznie na owe góry, przesłaniał jakieś falistości, zbocza czy stoki. Sterczał sam już nad wielkim rozlewiskiem głównego narvickie-

go fiordu. Czarna woda wlewała się pomiędzy niego a niewielki wydłużony półwysep, który wybiegał w morze swoją częścią najbardziej spłaszczoną, jakby ugiętą ciężkimi ciosami młota. Czarny las świerkowy, gęsty zapewne, czerniał na owej patelni podkreślając tym bardziej białość domów, które jak małe kryształki, jak jakiś gród krasnoludzi wytryskały naraz w tym dziwnym, nieswoim świetle.

— Przez moją lornetkę widać jakieś wieże. Może ratusz? Może kościół? Widać na nich sztandar. Zupełnie wyraźnie: swastyka. Chce pan obejrzeć?

— Warto: jutro jej nie będzie.

— Do jutra może kto z nas nie patrzeć na Narvik...

To także była prawda. Porucznik pobiegł dalej wzrokiem, obsuwając się raz jeszcze po śniegu, po lodowcach niedalekiej pozycji, po kosodrzewinie, brzeźniakach, kocie 405. Rozpoznał i zidentyfikował na mapie niemiecki bastion na wprost koty 295. Na nią właśnie spływał, ją ogarniał swym płaszczem ów las daleki, wydostający się na szczyt, popod łysiny skalne, z dolin, jarów norweskich, nadbrzeży fiordów. Ostroróg przepłynął, jakby szybowcem, ponad wczepiony w skłon terenu oddziałik Andrzeja, ogniwko małe, szczególnie zagubiony tych całych spięć. Spłynął wzrokiem, wciąż jak szybowcem, bezszmerowo, za Narvik i za morze. Tam od drugiej strony od trzech dni wgryzała się powoli Legia Cudzoziemska. W owym lesie na półwyspie narvickim wylądowała i ruszyć dalej nie mogła. Wzięta była w ogień niemiecki z trzech zorganizowanych stron.

Z żadnej, z żadnej pozycji nie obejmowało się wszystkiego tak, jakby to była wielka mapa plastyczna, wszystko odtwarzająca. Żołnierze, którzy byli na stanowisku, nie potrzebowali tu komentarzy niczyich. Rozumieli, jak słaby uchwyt ma ów desant Legii Cudzoziemskiej, zahaczony o sam Narvik. Odmierzali bez

podziałki i mapy ich pozycje niemieckie, chroniące stąd Narvik, cały ten garb, na którym i ci, i tamci górują nad tym miastem, po drugiej stronie fiordowej odnogi. Odliczyli sobie i odległość, jaka dzieli owe pozycje od miasta, portu oraz wąskiej, białawej drogi pomykającej stamtąd ku Szwecji. Jeśli tam staną na tych pozycjach, teraz niemieckich jeszcze, będą mieli to wszystko pod splunięciem karabinu maszynowego. Nie już cekaemu, ale karabinu maszynowego zwykłej drużyny. Cały ten Narvik, morzem oblany, będzie wtedy pod ich ogniem, do obrony żadnej niezdatny...

Żołnierze patrzą na tamte pozycje. Jest zimno. Trzeba ręce zabijać, bo grabieją. Kto nie posmarował sobie twarzy, nie ogolonej od wielu dni twarzy, tłuszczem jakim, temu czerwienieje odmrożeniami. Czekać, czekać, czekać. Natarcie. Narvik. Natarcie. Narvik.

Na szarej wodzie fiordu, naprzeciw samego Narviku, spoczęły nieruchomo trzy szare podłużne kształty. Stąd są prawie niewidoczne. Nawet porucznik nie dostrzegał ich niemal.

Także czekają.

.....

Czeka także ze swoją drużyną Mietek Płużański. W lesie obok, w lesie, który ich także osłania, siedzi cała kompania, wypoczęta, napojona, gotowa. Tylko podsunąć się tych sto metrów na skraj zbocza tam, gdzie się ono przełamuje na tamtą niemiecką stronę. Pogotowie pełne nateżenia. Najedzeni, opici. Gwarno. Rozmowy się rwą.

— Po coś tyle jadł, żeby Niemcy mieli co wypatroszyć?

.....

— Po równym pójdą czołgi francuskie...

— Skąd czołgi, nie ma żadnych czołgów? Ciągniki ci się pomyliły z czołgami.

.

— Jeden z II batalionu powiedział, że na drzewach też siedzą. Obserwatorzy.

— A tak. Tam u nich było tak, że strzelali do nich, strzelali i nie wiedzieć było skąd. Aż zasiadł jeden, podczołgawszy się. Czeka. Nic. Czeka dalej. Nic. Zejść mu już się chciało — na ochotnika był, kiedy patrzy: sosna się rusza. „Co jest — myśli — wiatru nie ma, a całe drzewo tańczy?“ Wziął na muszkę: bach! I patrzy, a tu niemczura, ogromny taki, zlatuje jak ten bochen z półki. Podpełzli tam do niego, przyciągnęli. Cały był obwieszony tymi świerszczynami, jak wotami obraz w kościele. Podoficer jakiś. Trzy srebrne galony. To mu je odpruł nożem. I lornetkę miał, to ją zabrał, i zegarek...

— Na rękę zegarek?

— Na rękę. Zatrzymał go sobie. Ale chodził głośno jakby budzik jaki. Oni tam podobno fasują takie zegarki...

— Nie może być.

.

„Niecała godzina, mniej niż godzina“ — powtarza sobie Płużański.

Jeszcze nie był w akcji ani razu. Na patrolu tylko. Nie jest niespokojny, ale ma tremę. Tremę publicznych występów, tremę teatru, tremę pierwszej malarskiej wystawy. Myśl jednocześnie jakby odczepiła się od tego, co jest, szybuje gdzieś daleko i naraz widzi wszystko, co było, co jest, co gdzieś się może daleko dzieje o tej właśnie porze. Płużański nie jest już młody. Jest

starszy, dużo starszy nie tylko od Banasia, ale i od Czczela. Włosy, kosmykami spadające na czoło, są już pasmami całymi siwe. Wydobywa w jakimś dziwnym zdenerwowaniu lusterko, małe, stalowe lusterko, dar od francuskiej „mareny“. Przez chwilę widzi w nim twarz podłużną, o silnych, nieregularnych kościach, o oczach szarych, marzycielskich trochę, smutnych. Po raz pierwszy tej nocy, może po zmęczeniu dojścia na pozycje, może po zdenerwowaniu przygotowań, doznaje uczucia, że młodość jest czymś, co zostało już w życiu poza nim.

„Jestem już stary, stary“ — myśli.

Znowu myśl odrywa się od tych mchów i lasu, od fiordu, co w dole między drzewami przebłyska stalowo, od rozmów przygłuszonych, żołnierskich. Jak ptak zatacza naraz wielkie, spokojne koło nad owym życiem zaprzeszłym, gdzieś między Bukowiną, wielką góralską wsią matki, a Lwowem ojcowskim, miastem lat młodych, miastem pierwszych wagarów, miastem jego pracy. Kościół barokowy Bernardynów ze św. Jackiem, patronem miasta, który zbiegł na gipsowej chmurze, opartej o kapitel kolumny, kłął i ku niebu rozkrzyżował zakonnicze ręce; młode akacje Wysokiego Zamku i rozgwarzona ludźmi Akademicka, i ulice pnące się wzdłuż ogrodów Cytadeli, i rozkopany Park Stryjski... Obraz po obrazie zakochsowuje się, zatrzymuje, rozprasa. Pachnie mu naraz Łyczakowska i kramy za Operą, jak roztasowane niespodzianie w dziwacznych zestawieniach karty u brudnej kabalarki. I naraz żal, jaki nigdy nie bywa udziałem grafomanów i pacykarzy, jaki czują za to najwięksi artyści: „Nie dałem z siebie nic wiecznotrwałego, nic, co by było naprawdę warte, nic, co by mogło przetrwać. Przepływały przez człowieka fale dziwne, a nie znalazł anteny, która by je umiała złapać, uwięzić utrwaleniem, przetłumaczyć na ludzkie

słowo, na ton dźwiękowy, na barwę i odcień.“ Wielkie dłonie Płużańskiego, chłopskie w swej sile, rzeźbiarskie w plastyce swego układu, są wpólotwarte, wpółzgięte. Jakby oto poprzez te ręce, zwieszona tak bezradnie, bezsilne już teraz, przeciekła doszczętnie wielka możliwość życia.

.
— O, patrzcie, Gromnica się modli!
.

Płużański ocknął się jakby. Gromnica to ładowniczy z drugiej drużyny, starszawy już, religijny. Dlatego przezywają go „Gromnica“. Półmystyk. Sekciarz. Przyjechał tu z Ameryki. Pierwszy amerykański ochotnik. Lubią go, cenią, ale czasem żartują z niego. Tym razem żart i śmiech nerwowy nie biorą.

— Co tam za wice robicie — strofuje łagodnie Płużański.

I patrzy na owego Gromnicę, któremu wargi zaciśnięte, zwiędłe poruszają się w rytmie żarliwych szeptań. Może by on także? Nie; swój rachunek sumienia odbył już, jeśli trzeba tego było, przed chwilą. Teraz już wszystko skończone. Jest mu lżej przez ten akt żalu za życiem, któremu nie umiał czy nie mógł dać tego, co chciał, wyrazu, przez ten akt skruchy z tego, że nie zdołał być sztuką swoją wypowiedzieć siebie do końca. Coś jakby opadło mu z ramion, jakieś lata trudne osunęły się z pleców na ten mech. Płużański nie jest wierzący, ale jest religijny. Pulsuje w nim wieczna, odruchowa religijność chłopów wszystkich krajów i wszystkich czasów, religijność ludzi, których życie upływa z ziemią i przy ziemi, w rytmie kolejnych wiosen, lat, zim i jesieni, z wiekami niezmiennej zależności od sił przyrody, łaskawych i złych. Jest to religijność góralskich przod-

ków, obcujących z majestatem skał, grozą urwisk i lawin, pięknem hal wydzwigniętych nad światy nizinne, obcowania z rozgwieżdżonym niebem w długie pasterkie noce. I ciepła, zachowana na dnie wspomnień najgłębszych, religijność umarłej matki.

„Może naprawdę co będzie, jeśli myślę o matce“ — przeszedł dreszcz ostrzegawczy.

Przeszedł, ale i rozpełził się zaraz w jakimś niezwykłym spokoju myśli. Czy miał już kiedy taki spokój? Miewał. To było w latach najwcześniejszych religijnych wlotów, przechodzących w ekstazy. To było w chwilach młodości. Najpierwszych i najrzadszych. To było najczęściej, gdy malował. Kiedy czuł, że mu szło. Ale oto, w tej godzinie skupienia, uświadomił sobie to jeszcze, że jeśli takiego uczucia już zaznał kiedy, to nigdy w tym stopniu, w tej pełni. Było tak, jakby wyszedł poza siebie i spoza siebie już tylko patrzył na takiego Mieczysława Płużańskiego, który oto siedzi we mchu leśnego zbocza i czeka.

Ktoś siedzący poniżej wydobył zegarek.

— Jeszcze pół godzinki; nie więcej.

Na fiordzie, poprzez drzewa doskonale z góry widoczne, drzemią nieruchomo te trzy długie szare kształty.

Ze swych pozycyj nie mógł ich prawie dostrzec Ostroróg.

Góra i las przesłaniały ich widok Czeczelowi.

Tylko niemiecki Narvik i niemiecki Ankenes widzą je dobrze, szare, ze swych białych i barwnych domów.

To dwa, stojące na wprost portu, krążowniki brytyjskie.

I jeszcze, jeszcze jedno.

Na tle morza fiordu widoczna długa, ciemna plama. Jak głębinowy ślad. Pełno tych śladów na fiordach wokół Narviku; to zatopione niemieckie, angielskie i norweskie okręty przebłyskują w wodzie cmentarzem

zatopionych kadłubów. Bezimiennym, wojennym cmentarzem.

Tylko ten jeden, osobny kształt pokazują sobie strzelcy od wielu dni. Od czasu, jak tu są. Z ich pozycyj górskich on jest zresztą najlepiej widoczny.

„Grom“.

I w dniach na pozycji beczynnych patrzano z góry na ten ślad ciemny na dnie: okręt polskiej marynarki wojennej, który tu pierwszy był pod Narvikiem i zatonął, właśnie gdy oni nadciągali.

„Grom“...

.

— 20, 15, 10 minut — idzie ciche liczenie po górach, stokach, kotach.

Mgła, przejrzysta, strzępiąca się mgła, pojawia się, przesuwa, znika jak widmo, ektoplazma tajemnicza spirytystycznych seansów.

Cichość górską jest tym cięższa, tym bardziej męcząca, im krótsze jest jej panowanie, im bardziej policzone godziny.

„Powinni już... powinni byli już...“ — łomocze coś w piersi Czeczela, łomocze w kilkuset innych piersiach.

— No, budzimy ludzi — mówi tam na górze porucznik Ostroróg.

I właśnie w owej chwili naraz spoza ich pleców wylatuje dziwny, straszliwy furkot. Huk. Powietrze gra falami za nimi. Socha, młodzik, kurczy ze strachu głowę.

— Nie kul się, nie kul — śmieje się Gruda — to nasze, angielskie.

Owej nocy pojęli prawdziwie, czym jest artyleria.

Pierwsze strzały krążowników, dotąd uśpionych w fiordzie, a może baterij lądowych w dole lasu za nimi, musiały trafić w jakieś składy portowe węgla czy paliwa, bo naraz zza góry buchnął olbrzymi fajerwerk blasku i opadł, jakby sam w sobie się spalił. Po tym blasku, po raz pierwszy od całych tygodni, zrobiło się na chwilę aż ciemno. Od strony, gdzie pozycje niemieckie przesłaniały Ankenes i Narvik, podniosła się szeroka, rudziejąca luna, rozlana po niebie nisko, trwająca. Na jej tle ziemia o kilkaset metrów przed nimi poczęła naraz w takt wybuchów tryskać czarnymi gejzerami grud, walących się wyraźnie krzewów, gałęzi, drzewin. Właśnie na owym tle pożarnym rysowało się to z niezwykłą wyrazistością konturów. Było tak, jakby jakiś cep niewidzialny rozmłócił się nad owymi wzgórzami i wszystko, co na nich było, rozpryskiwało się i uskakiwało, jak rozpryskuje się po stodole plewa. Cep walił zaś równomiernie, i to także było widać najwyraźniej. Przechodził kolejno załomy, wykroty, falistości i upłyzy całego górskiego garbu, obstukiwał jego zadrzewienia, wgniatał w skalistości. Z tarasu poczęły lecieć do góry kamienie, odpryski skały, odłamki. Jakiś pocisk, puszczony widać za blisko, spadł naraz w sam środek kotlinki, o sto metrów przed nimi, aż ziemia zafurczała w gałęziach, a głowy leżących odruchem karków zsunęły hełmy na nieokryte szyje. Ale wtedy wyglądało to nie tak, jakby w ziemię coś padło, ale raczej jak nagłe tryśnięcie z głębi ziemi ukrytego w niej dynamitu. Pozostała potem ciemna plama, wyrwa, która jeszcze wokoło siebie poplamiała czarno resztki śniegu. Na chwilę zastygli w tej samej obawie, czy po pierwszym mylnym pocisku nie pójdzie drugi i trzeci. Ale następ-

ne, jeden po drugim, wróciły na dawny szlak, tnąc raz po razie linię horyzontu, na której musieli być Niemcy. Milczenie Niemców było podkreśleniem artyleryjskiej przemocy. Milczeli, jakby ich nie było. „Może uciekli“ — wałęsała się u niejednego półświadoma nadzieja. Armaty raz po razie wyrzucały z siebie pociski, dudniące w przelocie nad nimi, ale siła tych paru baterij była zbyt słaba, by powstał prawdziwie huraganowy ogień. Między strzałami rozwieszały się więc przerwy i w te przerwy zapadały echa grzmiące, głuche, przytępione i ostre, echa odbijające się od tych wszystkich gór, które zaległy tu garbami ogromnymi na wschód, zachód, północ i południe od owego miasta. Czasem stawało się tak, jakby echo spływało po stokach i rozlewało się krąglistymi falami po martwocie fiordu, podpływając słabnącą falą aż pod owe szare krążowniki, widne poprzez drzewa, teraz co kilkadziesiąt sekund łyskające ogniem, po którym przychodził huk.

W brzeźniakach koty 405 jakiś żołnierz o pobladłej twarzy, prawie dziecinnej, powtarzał sobie, jak lekcje sztubackie, ruch rzutu granatem.

Któryś, niżej od niego, odbezpieczył suchym trzaskiem broń.

Któryś, skulony, drzemał. Wyglądał w tym skuleniu bezradnie i nieprzyjemnie. Jak trup.

O kilka kroków od Płużańskiego przysiadły na pniaku Gromnica patrzył oczami nie dającymi się zadziwić, jak o paręset metrów przed nimi w las brzóz wiotkich jak młode olchy wkarczowywały się ze świstem, hukiem, łamaniem drzewa i rozorywaniem ziemi pociski angielskie.

Niewidoczny, bo za tym załamaniem góry jeszcze wciąż ukryty, palił się Narvik powolnym, stałym płomieniem, który, raz wybuchnąwszy, ani nie rósł więcej, ani nie dogasał.

Po górach, wzdłuż linii bojowych, oczekiwanie wzmo-
gło się teraz w tym łoskocie, jak przedtem pęczniało
w ciszy.

Po raz tej nocy wtóry czekano na nowy znak.

.....

Naraz, po którymś z rzędu wystrzale, nie przyszedł
następny. Echo rozniosło się swobodnie; żaden nowy
huk nie wpadł w jego słabnące, jak fala daleka, odze-
wy. Leżący po linii podnosili głowy; nic. Oczy w bla-
dym półmroku szukały teraz rozkazu oficerów. Ofice-
rowie z Czezelem i Grudą patrzyli na tamte pozycje
na lewo i prawo od nich.

Trwała długa, nieprzyjemna chwila. Michałek, wtu-
lony w jałowiec, wciąż przy erkaemie, obejrzał się, czy
podchorąży jest za nim, w owym chojniaku. Był. Wi-
sieli na owej szkarpie tam razem, jakby spięci ze sobą
tym samym wypatrywaniem męczącym, oczekiwaniem
coraz bardziej nerwowym.

Naraz od prawej, w owych górskich białych prze-
strzeniach, na wprost tarasu, „fasolki“ i nie nazwanych
nawet pozycyj niemieckich, rozsiekło się grzechotanie
karabinów maszynowych, coraz dłuższe, coraz mniej
urywane.

Andrzej popatrzył i odwrócił głowę: za daleko.

— Michałek, uważajcie tam przed siebie — upomniał.

Nie, nie trzeba tam patrzeć, jest odcinek własny, naj-
bliższy, trzeba go utrzymać. Tu.

— Kooomp... — leci z daleka, poprzez tamte strzały,
jakieś wołanie podnoszące się jak ptak w locie.

— Naaaaprz... — załamuje się inny okrzyk w zdwo-
jonym paroksyzmie strzałów.

To już krzyk rozkazów, ludzki krzyk, wcisnął się na
miejsce tamtego milczenia i niedawnego huku. Samo-
głoski wyzwalają się z ucisku słów i wzlatują wysoko,

dalekim lotem nad górę. Karabin maszynowy, bliższy już teraz, rozdzwania się szczękiem metalicznym. Całe prawie skrzydło zaczyna grać strzałami, ożywać dalekim wołaniem.

W tej samej chwili, po lewej, tuż blisko, tyle że ten las i załomy terenu przesłaniają, odzywają się dwa niemieckie karabiny maszynowe, blisko, tuż, zajadle. Straszliwie wyraźnie. Odróżnia się doskonale ich głos, taki inny. Ile? Czterysta metrów? Trzysta? Góry tak myślą. Ale łoskot jest taki niedaleki.

— Panie podchorąży, tam nasi.

Istotnie. Lasem po lewej stronie, w kierunku na Niemców, biegnie kilkunastu ludzi, znowu kilkunastu... Jeden niesie karabin maszynowy. Znowu karabin maszynowy... Zaszli za olszyny... Nie strzelać...

Za moment las w lewo grać zaczyna strzałami luźnymi, padającymi samotnie, wplatającymi się w równe ściegi maszynowych strzałów. To już nie urywki słów rzuconych; to całe wykrawki komend. Karabin maszynowy wcina się w nie jazgotem dźwięcznym:

— Ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta...

Milknie i znowu rozsypuje się z innego miejsca takim samym szczękiem. Wpada w nie inny szczęk i jeszcze inny.

— Wziuuuu — rozśpiewuje się coś przeciągle.

To kula zbłąkana tutaj. Nikt nawet na nią nie zważa.

— Wziuuuu — prześwistuje druga.

I naraz, w pełni napięcia, upadek w ciszę. Głęboki, wielosekundowy, wielometrowy jakby upadek. Nic.

Ustało wszystko.

Niepokój.

To prawda, że tam na prawo, daleko w górach, szczeka jakiś cekaem, dalej strzały wypadają samotne. Ale tu z lewej wszystko było o miedzę. Tyle, że niewidocz-

ne. Naraz nic. Co się stało? Jakby w ziemię zapadli. Czyżby już doszli? Czy Niemcy się poddali? Nie było ani jednego wybuchu granatu; na pewno przy samych pozycjach walka szłaby już na granaty. Ani jednego wybuchu. Powinni zejść już na tamtą, ankeneską, narwicką stronę stoku. Schodzić do fiordu. Jeśli przełamali opór. Ale dlaczego w takim razie nie widać tam nikogo? Nic.

Powoli staje się coraz jaśniej. Jeszcze daleko do rana, czyli do słońca, ale najciemniej tu bywa przed północą. Ziąb za to schodzi z tych gór, jakby w ślad za zgłuszoną strzelaniną. Ci tam mają używanie. Ale co tutaj? Co z tymi, którzy minęli ich z boku, widoczni zupełnie w tym rzadkim lesie?

— Michałek! Michałek!

— Pan podchorąży?

— Nic, tylko uważajcie, jak teraz, tak cicho.

— Mnie się też coś ta cichość nie wydarza...

Mijają odliczone zegarkiem, długie chwile. Na prawo wciąż coś idzie.

— Panie podchorąży, nasi tam już do tego fiordu doszli?

.

— Ale tam na górze to się tłuką.

Rozmowa wśród leżących toczy się półgłosem, jakby do zagrzenia, do rozbudzenia.

— O, łapiduchy!

Rzeczywiście, za nimi, o sto metrów niżej, po lewej, owym nagim stokiem, o który wczoraj wieczór troszczył się Czeczal rozstawiając erkaem, pojawili się sanitariusze. Idą wolno pod górę, tam, gdzie znikli w lesie ci przedtem.

Pierwszy znak jakiejś obecności.

— Tam jednak strzelają — powiada Gruda.

Dobrze się wsłuchał. Istotnie przed nimi, w lewo nieco, znowu strzały. Tylko zgłuszone. Wiatr zły? Nie; nie ma wiatru. Góra zasłania? Może. I głuchosc tych odgłosów przed nimi napręża jeszcze bardziej cięciwę wy-czekiwania.

— Strzelają, strzelają — powtarza któryś ze strzelców.

— Panie podchorąży, tam ktoś idzie!

To Michałek pokazuje w las. Nie. Nic. Ale nie, rzeczywiście. Nie idzie, ale biegnie, nogami włócząc, przystając, pędzi dalej, ku nim. W mundurze khaki. Swój, bez karabinu.

— Stój! — woła Czeczeli.

Tamten nie obejrzał się nawet i uskoczył za drzewa, znikł. Nie zrozumiał? Zbieg? Nie wiedzieć nic. Tam, gdzie znikł, znowu ktoś biegnie i ktoś drugi ku tyłowi, i jacyś dwaj kogoś tam wloką czy niosą...

Oczy ludzi zamaryłych nieruchomo na wzgórzu zastygają w domysł, który dopuścić do wysłowienia straszno.

Powiało niepokojem.

Zza sągów prosto ku nim wychodzi nowy żołnierz. Biegnie wprost na nich. Nie widzi ich. O kilkanaście metrów odrzuca go prawie:

— Niemcy! Niemcy!

— Milczysz, skurwysynie! — rozkrzykuje się Andrzeja rykiem.

Tamtego podrzuca coś, ocuca. Odruch głowy:

— Tak jest, panie poruczniku...

Nie, nie jest przytomny. Rozdygotany, ogląda się, przykłęka.

— On jest ranny, panie podchorąży...

W rzeczy samej, całe ramię broczy obficie.

— To opatrzcie go, a niech nie ryczy. Gdzie Niemcy?

Tamten patrzy przerażony.

— Gdzie Niemcy?

— Tam... Tam... Pistolety automatyczne mają... zwieszane na pasie...

— Z której kompanii?

— Pana kapitana Połubińskiego. Pan kapitan zginął nad źródelkiem tam takim... Pan porucznik zabity...

— Bujda!

— Mnie mówili... — płacze żołnierz, któremu ściągają z trudem skrwawiony rękaw munduru.

— Mówili. Mówili tacy, co uciekali...

— Ja... ja nie wiem... Tam wszyscy uciekali. Nas z boku zaszli...

Ranny dygoce u stóp podchorążego jak w gorączce. Naraz podrywa się, żeby biec dalej.

— Niemcy — powtarza. I po francusku: — *Ils viennent là!*

Andrzej zostawia go jak strzęp skrwawiony, który naraz naniósł na to wzgórze samotne, gdzie lęk sączący się z osamotnienia dawno był opadł, zakaźne, lotne miazmaty paniki. Sam je czuje już w sobie. Widzi, jak oczy ludzi stają się podobnie rozbiegane, jak tak samotropią coś na wszystkie strony. Michałek odszedł od kabinu maszynowego. Stoi. Rozgląda się.

— Michałek!

Michałek zawraca niechętnie. Zrozumiałe, dlaczego. Oto jego stanowisko w jałowcach jest już na tamtym skłonie wzgórza — tym nachylonym do Niemców. Gdy przypadnie, nie jest widoczny, ale nie posiada ochrony. Strzelec go może nie zobaczyć, ale kula go trafi. I jeśli będzie stamtąd uciekał, to na przestrzeni pierwszych kilku metrów będzie doskonale widoczny...

— Michałek!

Michałek już zapadł z powrotem przy erkaemie.

— Na stanowiska!

Strzelcy wracają. Ranny zostaje sam w dole przy

kolibie. Trzeba ich oderwać od tej krwi, przerażenia.
„*Ils viendront là!*“ Ostrzeżenie? Może...

— Michałek, Gruda, uważajcie.

— Pak-pak — pęka coś nad głową.

— Pak-pak-pak — znowu.

Nie ma świstu, tylko naraz zaczynają pękać jakieś nieznane kule. Ekrazytówki? Gałązka z tamtej brzozy obsuwa się w dół, ucięta. Skąd to strzelanie? Co za strzelanie? Cisza.

— Pak-pak-pak — dziwny, drażniący odgłos.

Znowu nic. Długo, męcząco długo nic. Z powrotem czuć ziąb ostatnich godzin nocy. Jakby jeszcze jaśniej. Aż naraz, tuż poniżej niego, Michałek podskakuje. Przypada. Co się stało? W tej samej chwili Gruda wysuwa karabin do strzału. Andrzej nie widzi nic. Nie śmie pytać. Wyszukuje czegoś w tym lesie, w którym po nocy myli się wszystko, w którym oczy zaczerwienione niewyspaniem nie mogą nic dojrzeć, rozeznąć.

— Ta-ta-ta-ta-ta — pada naraz od prawego boku krótka seria z cekaemu.

To Stecki, Stecki. Zobaczył i on. Dlaczego tylko Andrzej nie widzi?

— Ta-ta-ta-ta-ta-ta — gra dalej.

„W którym kierunku? Najwyraźniej w tamto pole martwe za sągami, za te brzozy. Czyżby tam podchodzili? «*Ils viendront là!*» — brzmi w uszach jak zapamiętana zła wróżba. — Można by z granatnika tam puścić? Nie; nie zdradzać, nie zdradzać pozycji.“

— Idą, idą, panie podchorąży: słyhać. Nie widać, ale słyhać...

Ludzie leśni, ludzie znający wojnę, umieją wysupłać z najdalszych szelestów znak nieomylny ludzkiego stąpania. Gruda jest w tej chwili tak łowiecko zacięty jak wtedy, kiedy mówił o podejrzaniach na Ziemiańskiego. Zasadził się: czyha. Jest zwierzęciem w dżungli, które

usłyszało ostrożny chód innego zwierzęcia. Jest prawie zły, że tamten cekaem może mu je spłoszyć.

Naraz znad sągów leśnych wygląda... głowa ludzka. Widać hełm, sam kształt tylko, kopulasty, nisko opadły. To nie jest hełm ich, francuski. Niemiec. Pierwszy bliższy Niemiec. Tak blisko. Jakiś gwizd głuchy. Patrzy się, patrzy; nie zobaczył. Zsunął się. I naraz przed sągi wybiega sześciu, dziewięciu Niemców. Biegną krótkim, ciężkim krokiem dalej w ten las obok. „*Ils viendront là!*“ Są o sto metrów, dwieście, kiedy naraz rozdygotuje się po nich erkaem Michałka.

— Krótkie serie, Michałek. Krótkie serie!

Michałek w zdenerwowaniu puszcza długie. Żle. Kogo miał w pierwszym rzucie położyć, tego pokładł. Teraz już późno. Ci, co pozostali, przypadli do ziemi. O, widać tam but czarny jeden, a tu hełm. Już znikł. Tamten na lewo pełza pod drzewo.

Kule jedna po drugiej prześwistują tuż przy Michałku. Oto, co daje nierozważna, długa seria. Tamci pokryli się i bronią. Ogień zdradził stanowisko tak doskonale ukryte. Dobrze, że cekaem Steckiego zaczyna walić po tych drzewach, aż kora brzoź odlatuje w powietrze.

Gruda? Gdzie Gruda? Gruda odpełził w tył. Klęczy właśnie, zasłonięty dobrze stokiem, i przyciska do stopy kolbę karabinu. Lufę kieruje w górę, wysoko, bo kąt jest ostry. Na końcu lufy czerni się gruby garłacz.

— Baach!

Granat wyleciał z garłacza i rozpryskuje się gdzieś w owych haszczach niewysokich, w których zapadli Niemcy.

— Baach!

Gorączkowo, pośpiesznie Gruda ładuje po raz trzeci. Nie, wcale nie gorączkowo. Właśnie, że spokojnie. „Ile

jest jeszcze granatów VB?“ — myśli Andrzej. Było osiem.

— Baach! — pada trzeci granat.

Chyba coraz bliżej. Aż dym kolejnych wybuchów osnuwa się między drzewami. Michałek zaniemówił zupełnie, tylko nasuwa ładownik.

— Michałek, tamten pod brzoźką, w lewo! On ma pistolet.

Przez chwilę owa brzoźka i jałowiec opryskiwają się zajadle. Pistolet automatyczny siecze kulami jak garłacz. Andrzej podsuwa się z peryskopem. Niemiec położył się i celuje uważnie. Nie bardzo wygląda, bo ce-kaem Steckiego posikuje ogniem bocznym.

— Granaty, zwykłe granaty!

W drużynie Socha rzuca granatami najlepiej ze wszystkich. Tamci są jeszcze poza zasięgiem, ale granat robi swoje wrażenie. I Socha podpełza na skraj zbocza, rozprostowuje się, rzuca. Huk. Dym. Czuć, jak ten huk podnosi „moral“, jak jednak wrażenie skutecznej obrony, a nie samotności na tym skraju pozycji, powiększa się od razu. Strzelcy, poukładani na stoku, jeden po drugim otwierają ogień. Łoskot strzałów dudni w powietrzu. Swoje karabiny to tak jak własna artyleria: najwięcej huku.

„Czy tylko nikt za tamtymi nie idzie?“ — rozmyśla Andrzej.

Peryskop swymi okularami, sterczącymi ponad zbocze, zakreśla powolne koło. Nie. Nic. A raczej... Oto jeden, teraz drugi — wycofują się za owe sagi. Trzeba dać tam z granatnika.

— Gruda, ileż jeszcze jest tych granatów VB?...

— Panie podchorąży... Tam nasi...

To Michałek woła. Istotnie. W lesie, na skraju, pomiędzy drzewami, tam gdzie przed pół godziną ucie-

kało tych kilku, idą teraz z powrotem inni. Po krzakach, między drzewami; bezładnie.

Ale swoi.

.....

Niemców już nie ma. Odeszli.

Poprzez trawy do stanowisk Andrzeja idzie kilku naszych. Jeden bez hełmu i bez karabinu. Włoką rannego. Jest to młody zupełnie chłopak, o ustach rozwartych nieprzytomnie; jak u ryby, która chwytła powietrze. Dostał w głowę i chyba kończy.

Po lesie, w tamtej stronie, idą jakieś nawoływania, krzyki.

Rannego kładą na mchu przy kolibie. Gdzie drugi ranny? Uciekł podczas tej pukaniny, w dół, ścierwo.

Strzelcy opowiadają.

— Kompania miała taki szeroki front... Jednego od drugiego w tamtych krzakach nie było widać. Ogień cholerny... Z Narviku, z ceakemów łupili...

— Jak to, przez morze?

— A przez morze; ono tam nie szerokie. Wszystko widać. Obeszli nas, jakeśmy tam lecieli z boku. I nastrelali. Tam jeden oficer z łączności padł...

— A kompania?

— Kompania rozbita, gdzieś po tych lasach i dołach. Tam batalion było posłać, panie podchorąży...

Ranny zamiera powoli. Zasypia bez żadnego jęku. Twarz złożona na pelerynie Andrzeja nabiera naraz blasku. To słońce wschodzi z za gór, ponad drzewa niskie, czerwonym kręgiem świtania. W lesie ściszą się nawoływania ludzkie. Nikogo. Wysuwają się ostrożnie. Przy brzoźce dogorywa Niemiec. Musiał dostać gdzieś w brzuch, a teraz przewalił się na ten brzuch i jakby zbierało go na wymioty. Z twarzą ku ziemi obala się i zakrztusza bezradnie.

Bliżej sągów olbrzymi podoficer niemiecki, o rudej, pofarbowanej krwią głowie, rozkrzyżował ręce w skurczu ostatnim na białej łysince śniegu, który nie zdołał jeszcze zejść. Ten miał pistolet automatyczny. Niemcy, cofając się, zabrali go trupowi; jest bezbronny.

„Po tej stronie wzgórza dwa trupy; po tamtej jeden — myśli Andrzej — wszyscy bez jednego jęku. Cichość tych śmierci czy ich szybkość bardziej tragicznie dziwna?“

Z dołu od naszych odwodów wychodzą z lasu jakieś drużyny.

To I batalion przechodzi do akcji na tamto załamane miejsce. W miejsce drużyny Andrzeja przychodzą trzy nowe, wypoczęte.

Na drzewie, koło koliby, zasiadł niespodziany gość: kos. I rozszalał się w tym pustkowiu ptasim niesamowitym, opętanym trelem. Wprost w jasne słońce dzienne.

Twarz zabitego chłopca zaczynają obsiadać łapczywie przybłąkane tu skądś, niezdrowe, zielonkawe muchy.

xv

A wody tam który ma?

Prawie że trzeba powtarzać dwa razy, tak zapatrzeni są wszyscy. Widać o kilkaset metrów w prawo, jak pluton porucznika Ostroroga posuwa się pod ogniem. I wszyscy wiedzą: gdy dojdzie do tych szarych skał, tam niżej, ruszamy my.

Przed nimi górzysty rozłóg, nierówny, pocięty w fałizny. I strzelcy wypatrują już teraz wgłębienia, dobre wnętrza, w które będą zapadali.

— Woda! Woda jest!

Leje ją z manierki młody strzelec, jak wszyscy pra-

wie w tym plutonie, cenzusowiec z Polski. Trzech brało udział w obronie Grodna, jeden był nad Wereszczycą. Dla reszty to będzie pierwsze natarcie. Nad plutonem, który zaczął się w cieniu tej skały, zapadło nerwowe wyczekiwanie, powagą nasiąkłe jak poranek mrozem.

Porucznik od niedawna ma oddział w ręku i nie zna go dobrze. Jest to młody oficer kawaleryjski. Może by coś trzeba przemówić do nich, może powiedzieć jaki żart? Nie może. W dziwnej powadze tych smarkaczy, w twarzach, które mróz nocny jeszcze bardziej udzielnia, czerwieniąc śmiesznie nosy od kataru nabrzękle, trwa nieprzyjemne onieśmienie.

— Jest woda? No, chwała Bogu...

Odstawia ją uważnie, w menażce, na kamień. Z plecaka wyciąga ostatni biały ręcznik. Zakłada dalej uważnie na szyję. Ten i ów patrzy. Z kieszeni plecaka wydobija teraz niewielkie stalowe lustro i — składaną brzytwę.

— Golicie się pewno jakimiś żyłkami — powiada do tamtych jak gdyby nigdy nic. — Gdy się chce być naprawdę ogolonym, goli się brzytwą.

Pluton niemieje; zresztą, po większej części, nikt z nich nie goli się wcale. Uwaga się odwraca. Wszyscy patrzą, jak porucznik, niby nic, rozrabia mydło, jak rozsmarowuje starannie, po fryzjersku pianę po brodzie i jak potem brzytwą w pewnej ręce jedzie równo i pewnie, zgarniając narosły od kilku dni włos.

— No, nie zaciąłem się — powiada — a co? Trzeba się wypięknąć na tych Niemców.

Różowa cera skóry połyskuje teraz na mrozie. Chowa wszystko po kolei starannie. Jakby wszystko to działo się w domu dalekim i jakby jutro z całą pewnością miał powtórzyć to samo! Ale jeszcze szpera w kieszeni plecaka. Po chwili wydostaje białe zawiniątko, odwija papier. I naraz, na tym pustkowiu norweskim, w pełni

roku 1940, jest tak jak w starych opowieściach zaprzeczonych. W brudzie pozycji, w niedbałości chwil przedostatnich porucznik naciąga powolnym, leniwym prawie ruchem białe, świeże zupełnie, irchowe rękawiczki.

Aż pachnie tą irchą.

— No, jak tam — doszli?

Oczy plutonu wybałuszyły się tak ku tym manierom gwardyjsko-oficerskim, że tym razem znowu nikt nie odpowiada. Aż obserwator z góry woła do porucznika, że tak.

Drużynowi, zastępca, najmłodszy strzelec wiedzą już wszystko od godzin. Pozycję znają od dni. Nic nie ma do dodania, nic do powtórzenia. Porucznik schyla się po pręt nierówny, sękaty, który w tej urękawiczonej ręce wygląda jak komiczny przybłęda.

— Za mną — rozśpiewuje się nosowo — ma-arsz!

To „ma-arsz“ kończy już po tamtej stronie pozycji, na jej stoku. Nie widać go. W tej samej chwili grzechot karabinowy staje się jeszcze bliższy, jeszcze ostrzejszy. Z boku gniazda własnych karabinów maszynowych, cekaemów poczynają, nim tyraliera dojdzie, zdwojenie grzać.

Jeden po drugim, w ślad za oficerem, znikają strzelcy po tamtej stronie okopu.

.

Od pół godziny leżą tak nie mogąc ruszyć się z miejsca. Na tej wysokości jest śnieg jeszcze jak w pobliżu „fasolki“, o którą teraz właśnie największa idzie walka. Na tle śniegu wszystko widać wyraźnie. Gdyby nie te wgłębienia, nie byłoby nic.

Drzewa, litościwie rozsiadłe, wydają się jak stacje niekończącego się pochodu.

Każdy dół, w który weprzeć się można, w który ciało

wdraża się po hełm prawie, jest upragnieniem strzeleckim.

Aż naraz znowu:

— Naaprzód! Naa-przód!

Po linii łamanej wedle drzew, wgłębin i krzaków rozpryskują się, krzyżując z kulami, urwane słowa komend:

— Kierunek!

— Celownik!

— Tamtych, o!

— Krótkie, krótkie!

Widać w śniegowym wyłomie, który jest jak blokhaus z olśniewająco białego betonu, jak drga i pluje ogniem, prawdziwym ogniem — (pociski pewno świetlne) — czarna lufa cekaemu. Tłumik płomieni rozdygotał się szaleńczo.

— Ten cekaem! — leci ryk po linii.

— W cekaem!

Już są blisko, coraz bliżej. Cekaem jest tu chyba głównym elementem ognia. Prawdziwa pozycja z gęsto ubitego śniegu. Odstrzeliwuje się ze spokojną, zajadłą wprawą. Ludzie naprzeciw maszyny. Na rozłogach nieruchomieje w słońcu porannym kilka ludzkich płam.

— Granaty! Kto z granatem podejdzie?

Podejść nie jest łatwo. Najpierw trzeba będzie przebiec wypiętrzenie. Niewielkie, parumetrowe, ale białe od śniegu i odkryte zupełnie. Trzeba pod nie podpełznąć. Chudy, niewysoki chłopak podczołguje się pod nie istotnie. Aż gdy jest już na szczycie, nie wyskakuje na tamtą stronę całym ciałem, a tylko przerzuca się i obsuwa po śniegu w dół. Cekaem nie zdołał się obniżyć, ale zdołał zagrzmieć. Już po tamtej stronie.

— Następny! Granatami ich!

— Granat! granat! — rozhukowuje się w huku strzałów po linii.

Tamci dwaj pierwsi — następny już zabiegł z drugiej strony, przy tamtych, o, głogach — skokami grzęzną przez wilgotny od roztopów moczar. Cekaem nie może ich brać na cel.

— Uwaga, granaty! — wołają do nich ostrzegawczo.

To niemiecki granat, o długiej szyjce, wyfrunął wysoko w powietrze prosto nad ich pozycją, by opaść, furkocząc, na moczar pod nią. Pod niebo w błysku i huku wylatują czarne płyty błota, plamiąc śnieg blokhauzu.

Nim przebrzmiało, jeszcze w dymie całym widać, jak pierwszy z tamtych dopadł pod białą ścianę. Jest o kilkanaście metrów od cekaemu, widzi jego lufę i jakby ją od dziecka pamiętał. Cekaem umilkł. Ustał. Jest znowu nieruchomym przedmiotem, niepodobną do lufy częścią skomplikowanej ogromnie maszyny, jaka nie wiedzieć skąd znalazła się naraz na tym pustkowiu północnym, na owych wysokościach, jak bolid, ciało obce, spadłe z innej planety. Jak część składowa jakiejś maszyny fabrycznej.

.

...Tylko tam w tyle, za podbiegającym, gdyby się obejrzeć, coś się czołga bezsilnie na czworakach.

...Tylko na tamtym śniegu ktoś wywalony twarzą do ziemi farbuje czerwono, obficie.

.

Szybki wyrzut ręką, niemal poziomy. I drugi raz, zaraz potem. I naraz, po sekundach, nie doliczonych w pośpiechu, huk rozpękających się złomów. Białe bryły zwalają się z lawiny na moczar, pył, wytrysk śnieżnobiałego pyłu bucha naraz i drży nad pozycją jak biała chorągiew kapitulacji.

Drży nieustannie jak srebrna mgła.

Przez tamto zbocze ośnieżone, którym ci dwaj prze-

ślizgnęli się co dopiero, jednym rzutem przeskakuje teraz dziesięciu, dwudziestu, na wyprzódki. Który pędziej! Kto pierwszy! Niemcy mogliby ich kosić drużyna po drużynie. Ale Niemców już nie ma: uciekli przed wybuchem granatu.

Po gruzach rozbitego blokhauzu, po jakichś blachach, śladach obozowiska wszystko pędzi dalej, przesadza śnieg, zbiega w dół, skokami na oślep. Byle gnać na karku samym Niemcom, nie dać im czasu na zatrzymanie się, na zajęcie pozycji.

Po chwili nie ma tu nikogo.

.
Z lewej i prawej strzały, pojedyncze, urywane, coraz dalsze.

Jakaś krótka seria broni maszynowej wyrwie się jeszcze, zaszczeka.

Jakieś echa odrzucają góry, rozpiętrzone białymi szczytami.

Aż powoli, niepostrzeżenie, wpełza tu wgłębieniami, jarami małymi, ukradkiem, chyłkiem — cisza. Słoneczna cisza górską — (słońce jest coraz wyżej, a niebo połyskliwie modre) — przejaska, wyiskrzona mrozem wielkich wyżyn. Paruje jakby z moczaru, w którym czernieją zapadliny świeże po butach żołnierskich, głębokie, wodą napływające. Rozpełza się z owego białego pyłu, na który eksplozja granatów zmeła zażwiżdża śnieg. Była tu przed wiekami i będzie po wiekach i wiekach w miliony takich samych rozświetlonych poranków. Chwila jedna zmaćnia ją i spłóczyła jak ptaka, ale chwila ta już przeszła. Skończyła się. Nie wróci już.

Tylko jak ślad po owej chwili jednej, bieli się na wpół w śniegu, a na wpół opada w grząz lśniący, długi przedmiot: niemiecki cekaem.

Tylko dalej jeszcze znieruchomiało w tej ciszy wielkiej sześć ciał żołnierskich, jak czyjś dziwny ślad.

I między tym martwym przedmiotem a tym, co przed godziną było ludźmi, rozsnuwa się powoli jakaś tajemna, ponadprzyrodzona więź. Coś odtąd łączy ze sobą, niewyrozumowanie a istotnie, to porzucone przez Niemców i to pozostawione przez Polaków. Krew polska i niemieckie żelazo leżą tak na wprost siebie w owej obcej ciszy norweskiej, jak wieczna, po wsze czasy, nieprzyjaźń.

XVI

Samoloty wytrysnęły czarno znad tych gór białych w dalekości, jak krótkie, pierzaste strzały, puszczone z jednej cięciwy. Przeleciały ptakami czujnymi nad całym olbrzymim zboczem. Nie знаły przeszkód. Wszystkie lasy, załomy, wzgórza przesadziły w jednym mgnienu. Spłynęły, jakby zwalnając, nad roztocz narwickiego fiordu, którego rąbek, dostrzegalny stąd o tej porze dnia, barwi się najjaśniejszym z błękitów. I zawróciły znowu ku nim.

Wszystkie trzy drużyny plutonu pozapadały we wklęsłiny ziemi.

Michałek rozkrawa nożem konserwę mięsną. Jest zmrożona i sucha. Wyciąga jakiś suchar chlebny i je, żując wytrwale i ważnie: rano, gdy zluzowano ich na tym wzgórzu i posłano naprzód, nie było czasu. Inni przypadli do ziemi jeszcze silniej. Plutonowi jak nie ma. Widzą ich tamci czy nie widzą?

Ale tamci kołują teraz nad doliną przy Haakvik.

— Szukają nas, gdzieśmy byli — powiada któryś.

To prawda.

Od pierwszego z samolotów oddzielają się trzy białe

błyski. Widać je dokładnie nad tym lasem brzoźowym, który obściela stoki. I w powietrze górskie spływa głęboki ton wybuchów.

Jeszcze brzmia, a z tamtych samolotów sypie się cała plewa takich samych błysków. Huk zlewa się teraz, drga falą dalekiego drżenia, które ziemią dochodzi aż tutaj. Nad las w dole wzrasta kleisty, czerniawy dym. Pęcznieje jak wrzód ciemny, rozsadzany od środka.

— To tam, gdzieśmy stali przez tydzień...

Jasne, że tam. Zbombardowano odwody. Nic się nie udało ukryć w lesie. Jak oni wytropili, choć spóźnienie? Jak doszli?

— Widzi pan — powiada porucznik — na moich mapach było to wszystko oznaczone. Z opowieści ustnej, nawet gdyby się ktoś do nich przekradł, nie zdołaliby ustalić — gdzie. Z mapy — mogli.

Mówi to do Andrzeja poufnie, półgłosem. Andrzej patrzy w kierunku owych bomb. „Czy dom tamten dostał, czy dostał?” — wplata się niepokój. I naraz chwytą na sobie spojrzenie z ukosa Ziemiańskiego. Sierżant siedzi o kilkanaście kroków. Jak inni rozciął swoją konserwę i wyjada ją powoli kozikiem, kawał po kawale. Nie oderwał się od tej roboty nawet na widok owych bombardowań. Pozierał tylko ku nim jak człowiek, co czegoś dogląda. Nie zdziwiony i obojętny. Andrzej ma wrażenie, że równocześnie łapał na anteny najtajemniejszych podsłuchów, co tylko mówił porucznik.

Ziemiański naraz się ogląda.

Za nim, tak samo o kilkanaście kroków, położył się kapral Gruda. Wyciągnął się wygodnie do słońca, które jest już wysoko. Będzie chyba jedenasta. Wygrzewa się jak stary, mądry pies. Niby to nic nie widzi i nic nie słyszy. Niby to nawet nie patrzy.

Sierżant, bez żadnej widomej racji, przesiada się tak, że nie ma go za plecami.

Od słońca jest gorąco.

Ludzie porozkładali się w oczekiwaniu na rozkazy natarcia. Po prawej stronie, tam daleko w śniegach, posuwa się ono nagłymi rzutami naprzód lub zamiera na całe kwadranse nieruchomo, kiedy opór wczepia się w jakieś przeszkody. Po lewej, w lesie, nowoprzybyłe kompanie I batalionu klajstrują tamtą lukę nocną.

Ten i ów drzemie po prostu z twarzą wprost w słońce.

Andrzej odczuwa także trud dwóch nie przespanych nocy, zmęczenie marszu i zmęczenie przed wszystkim dalszym. Opiera głowę na łokciu, policzkiem w mokrawy mech. Jak w twarz czyjaś bliską, twarz od łez mokrą. Jakieś przypomnienie niedalekie wiruje nad nim jak motyl barwny...

„Czy domu nie trafili? Czy był w nim kto?“

I zapada z tą myślą razem w grząz szary, lepki, gęsty, grząz spracowany snu. Sen jest nierówny, gruzłowaty. Pływają w nim, jak kry w rzece na wiosnę, ułamki czegoś, co już było. Żółty dom i czyjaś drewniana trumna na płowym piachu haakvickiego cmentarza... Odnalazły się — „co za szczęście, a nie mówiłem, że się odnajdą?“ — skradzione porucznikowi mapy, podklejone na niebieskim płótnie. Wisiały wraz z bielizną na sznurze przy domu; dlaczego nie widzieli ich przedtem? Przyniósł je sierżant Ziemiański — nie, Bodenheimer — jest w mundurze niemieckiego podoficera i ma rude włosy... „Dlaczego rude włosy? — zastanawia się męcząco we śnie. — Dlaczego Ziemiański ma rude włosy?“

Ciecz snu robi się gęstsza i równiejsza. Wszystko rozprowadza się w niej powoli, rozgotowuje na płyn. Płyn kleisty i ciemny, jak dym po owych bombach w dolinie leśnej.

Połowa plutonu odsypia ostatnie załapanne kwadranse w takim właśnie utrudzonym śnie.

.

Samoloty powróciły raz jeszcze i jednym rzędem obniżają się nad cały garb górski nad Ankenes, to olbrzymie, drgające ludźmi, jak punktami małymi, pole walki. Łoskot motorów wchłania w siebie strzały, wypryskujące krótkimi seriami broni maszynowej, gwizdem zbłąkanych kul.

Cały front idzie teraz naprzód.

Jedynie tam, gdzie jest owa leśna czapa, nasadzona na koniec garbu, gdzie wczorajszej nocy wykrwawiła się kompania Połubińskiego, zapadły naprzeciw siebie karabiny maszynowe tych i tamtych i wyszczekują się niemilkącym jazgotem.

Wszędzie indziej front ruszył. Idzie naprzód, wyzłem samym garbu, w wielkim słońcu popołudnia.

— Panie kapitanie, plutony Lewickiego i Tracza są w Nyborgu!

Nyborg, Nyborg? Nikt w drużynach nie wie, gdzie jest Nyborg.

— Nyborg to jak Ankenes — wyjaśnia Banaś — nad fiordem. W dole samym. Nasi doszli do fiordu.

Słowo „fiord“ wyjaśnia wszystko. Fiord jest meta, jest rajem, jest końcem. Dojść na całej linii do fiordu! Zepchnąć do fiordu Niemców!

Goniec urywkami opowiada.

Porucznik Lewicki dobił się tam jeszcze w nocy nad ranem, coś o drugiej. Zaraz po nim Tracz i Pogonowski. Trzy plutony naszej kompanii.

Pluton czwarty, który słucha, rozpaja się dumą odziału.

— Dużoście ich natłukli?

— Ho ho, zobaczycie jak dojdziecie. Jeden kapitan niemiecki to przy sobie miał sztylet złoty. Cały złoty. Z orłem. A konserw tam, jedzenia, wszystkiego.

— Zatrute pewnie...

— Iii, co zatrute. Sami jedli. Dawali my ich jeńcom kosztować...

— A jeńcy co?

.

— Naprzód, naprzód! Kierunek: te skałki.

Pluton podrywa się dalej, przelatuje paręset metrów. Góra znowu rozfalowuje się w rozpadliny i jarki.

— Wziuu, wziuuu — prześwistuje kilka kul.

Padają. Skąd? Nie wiedzieć.

— Jakby z tyłu kto strzelał — zauważył Andrzej.

Kula przeszła mu gwizdem tuż, tuż. Pluton zasadza się. Czy nie wycofać? Oderwał się zaniechęceni. Z boku ktoś idzie. „Żeby mieć tu szkła, dobre szkła.“

— Panie poruczniku; nasi, to nasi!

Wielkie wołanie ulgi. Z boku istotnie idzie cała ława naszej tyraliery. Zrówna się z nimi niebawem. Dzielić ich będzie tylko ten jar moczarowaty.

— Naprzód! Naprzód!

Żaden strzał nie pada. Nic. Musieli strzelać jacyś ostatni uciekający, w popłochu ucieczki... Myśleć nie czas. Pluton w rozpędzie biegu, waląc jeden przez drugiego, bez ociągań i pozostawań, wbiega na linie grzbietowe garbu, zaczyna zbiegać na stok.

— To jest ten taras.

Prawda. Są teraz na tarasie górskim, tym samym, z którego wtenczas łupiono do nich bezkarnie.

— Całe obozowisko niemieckie.

Istotnie. Wszystko pozostawione bezładnie. Koce, płachty namiotowe, konserwy, broń.

— Patrzcie, Narvik!

Narvik, miasto, o którym mówi się i myśli, dla którego to wszystko się dzieje, miasto, które dostrzegali chwilami w tamtej walce, z koty 405, teraz wyrasta na dole przed nimi, otwarte zupełnie. Widzieli je zawsze

na tle gór, jak pierwszego dnia po owym marszu, lub na tle morza i ziemi, jak w tamtej walce dwudniowej. Teraz jest prawie całe okąpane morzem, bo patrzą na nie od gór. I jak w południa pogodne jest taka jasność pogodna wody, rozlanej szerokim rozlewem, błękit, który białość miasta ukrysztaloną w domy podnosi swym kontrastem. Węższa odnoga fiordu, która dzieli brzeg Ankenesu i Nyborga od narvickiego portu, jest sina głęboką sinością górskich jezior, rozsiadłych w prześciach.

— Narvik, Narvik!

Zmęczenie opada na widok, jaki otwiera się przestrzennie przed tymi ludźmi, którym w długie godziny walki jedynym horyzontem była kępa niewielka, drzewinka mała, wykrot lichy, skiba ziemi. Teraz świat się przed nimi otwiera jak kwiat, w nagrodę z owym miastem, morzem, wstęgą gór białych na dalekim widnokregu. Oczy syci cała białość miejska, z pustkowi tych tak wypragniona, niebieskość nieba i morza bezmierna przestrzeń.

Oko opada niżej.

Niżej to stok garbu, już ten, który schodzi do Ankenes. Jest i Ankenes! Teraz dopiero widać domki o dachach, które się zapadły, o ścianach urwanych w połowie jak tasakiem kucharskim. Coś, co było może składem, a może szkołą, jakiś dom większy, żarzy się jeszcze niedopaleniami. To po wczorajszych armatach. Wyrwy ogromne, jak ślady potworów, rudzieją na białej szosie, na zielonawej łące, na bruku rynku.

Między nimi na tym garbie a owym miasteczkiem, nad samym fiordem, jest jeszcze kilkaset metrów, kilometr chyba stoku. I otóż ten stok jest jednym wielkim brzozowym lasem, rozchwianym zielonością majową, przeogromną, jak same zwycięstwo. Po tym lesie może przemykają się z lękiem ostatni Niemcy, może zamie-

rają w bólu ranni, którym nikt pomocy nie niesie. Ale las wyzielenia się nad to wszystko najpiękniejszą barwą młodej, budzącej się w świecie nadziei.

Z półwyspu narvickiego za morzem i z owego lasu na końcu samym garbu dolatują wciąż jeszcze strzały.

.

Poderwali się i biegną owym lasem, było nie było, w trzecim kolejnym szturmie. Wybiegali tak i padali, przesiani ogniem maszynowym.

— Oni te erkaemy mają już wstrzelane — stwierdza Płużański.

— Najgorszy odcinek!

Płużański leży przy zabitym, który musiał tu paść jeszcze w nocy, nim oni weszli w akcję. Przedtem też przypadł przy zabitym. Jedyna myśl: trzymać drużynę w garści, żeby się nie rozbiegła po tych krzakach i jarach, nie pogubiła w lesie. Jak tamci w nocy. Nie puścić!

Poderwanie nowe.

Byle dosięgnąć wykrotu.

— Widzisz tam co? — pyta Nowaka.

Nowak jest sympatycznym młodym Pomorzaninem, synem gajowego z Tucholi. Harcerz. Wyczołguje się. Nie ma go. Wraca.

— Schodzą, uciekają w dół!

Nikt się nie rusza. Nowa zasadzka? Mają dosyć. Ale po linii, za drzewami, tamten pluton poczyna biec.

Podrywają się jeszcze. Nic.

Biegną, biegną jednym biegiem, długim, nieregulaminowym. Szkarpa niemieckich pozycji milczy. Czy przemówi w ostatniej chwili? Nie. Wbiegają. Nielad porzuczonego obozowiska. Dwa trupy przykryte płachtą. Nikogo.

— Mogą być miny. Uwaga!

Kompania, w nagłym odprężeniu nerwów, wybiega

na stok. Wyrasta rzędem ludzi nad ostatni nie zajęty dotąd szczyt. Ma pod samymi nogami Ankenes, ma nisko przed sobą Narvik...

— Pak-pak-pak-pak — rozstrzeliwa się ogień najzjadlejszy.

Pospadali w dół!

To z portu narwickiego niemieckie cekaemy zagrały na widok Podhalan na swe własne niedawno pozycje.

Powczołgiwali się w jarki. Kule pękają po wierzchołkach drzew. Co im z tego? Swoje zdobyli. Narvik niech biorą inni.

— O, patrzcie się, odpływają!

— Gdzie?

— O, tam, panie podchorąży, tam! Na te kutry siedli i wrywają do Narviku.

Płużański podsuwa się. Istotnie. Na morze wypływa wielka barka norweska, pełna żołnierzy *feldgrau*. Z dołu widać dokładnie, jak na stole. Odpływa i świeci płamą jasną na ciemnozielonej toni.

Płużańskiego aż poderwało. Rozgląda się. Barka jest coraz dalej. Nie widzi skądby. Jest!

U owej pozycji wypiętrza się komin skalny, jak w Strążyskiej w Tatrach. Komin skalny, skałka nadstrzępiona, porwana w głazy. Jedno spojrzenie uważne, szybkie, góralskie. Płużański poczyna się wdrapywać. Wczepia wielkimi łapami w każdy występ i podciąga ciało w górę. Buciory obślizgują się niezdarnie. Są pełne błota.

— Co pan robi, panie podchorąży?

Z pasją malarską, chłopską, bez słowa niepotrzebnego, Płużański, odpadłszy od ściany kamiennej, ściąga na trawie buty. Kule pękają nad skałką. Odwija z czerwonych stóp onuce. Teraz poczyna na nowo pięć się rękami wielkimi, uchwytami tych nóg czerwonych po ciemnej skałce. Jest!

— Erkaem!

Nie rozumieją w pierwszej chwili, osłupiali tym wszystkim. Aż podskakują z erkaemem.

— Prędeż, odpłyną — jęczy na górze Płużański. — Na pasie wciągajcie, na pasie!

Trzeba pasa, pasa. Jest pas! Koniec zarzuca się Płużańskiemu — uchwycił, koniec drugi — cztery pasy spięte tu w jeden — owiązuje erkaem przy samym zamku. Chwila, i broń, kołyszac się w powietrzu, jedzie do góry.

— Tłumik poobijacie! — ryczy celowniczy.

— Odpłyną, gówniarzu, odpłyną! — wścieka się u góry Płużański.

Jest. Jeszcze ładownik. Drugi. Trzeci. Podchorąży zgarnia je na tej skałce pod siebie łapczywie — inaczej jeszcze zlecą. Trzask zakładania.

— Już!

Boi się, boi się popatrzeć na morze. Może już dobijają przy tym guzdraniu piekielnym? Nie. Barka jedna i druga są na fiordzie, w połowie drogi do portu. Śmiech, nerwowy śmiech złej radości.

— Bryz!

Erkaem rozdygotał się pierwszą serią puszczoną w dół.

Płużański leży na skale wysuniętej, zawisł nad morzem prawie. Seria poszła w dół, ponad wierzchołki brzoź obrastające stok, wprost w morze. Dosłownie w morze. Z wysoka woda fiordu nie jest jasnoblękitna, jak gdy się ją widziało z daleka, a tylko ciemnozielona. W ten szmaragd, na którym drewniana płaskość barki lśni celem widocznym, posłał oto *andante* swego koncertu.

I patrzy.

W prawo od barki wykwitły na ciemnej wodzie białe wytryski.

Poszło w bok.

Przykłada jeszcze raz. Na pierwszej barce widać z góry jakby nerwowy pośpiech. Ale on, teraz, nie śpieszy się jak przedtem. Ma barkę przed oczami czy raczej pod oczami i wie, że potrzeba jej zbyt wiele czasu na przebycie całej drogi.

— Bryz!

Jeszcze nie. To nic: bliżej. Ciągłe zanadto w prawo, ale to wszystko nic. Nie ma siły ludzkiej i niebieskiej, która by mu tę barkę wydarła z rąk.

— Bryz!

Na wodzie tym razem nie wytrysł żaden biały ślad kul. Wszystkie poszły w łódkę, prosto w łódkę. Widać wyraźnie śmiertelny popłoch na barce. Są przecież naprawdę jak na dłoni. Nie ujdą, nie mogą.

I teraz erkaem, zwieszony ze skały, rozszala się istnym ujadaniem, które zlatuje tam ołowiem, kasa, zabija, kładzie. Wielkie łapy Płużańskiego obciskają go i prowadzą, jak się prowadzi maszynę, która ściegami jakimiś pokrywa tkanie, materiał czy blachę. Erkaem rozsiewa kule po całej barce, przesuwa się od jej przodu do steru, smaga pokład w szerokość i powraca na ślad świeży swego przechodu. Jacyś ludzie odrywają się i skaczą: jedni prawdziwie sportowo, nurkiem gładkim. Ci odbijają daleko i widać potem, jak płyną równo. Inni padają niezgrabnie, a potem szamocą się w wodzie, bezradni jak muchy w lepie.

Druga barka jakby namyslała się czy chciała zawrócić.

Nikt nie miał się o tym dowiedzieć więcej. Pierwsza seria puszczone spadła wprost na jej pokład. Tylko przerwa nakładania nowego — to czwarty chyba? — ładownika i erkaem gra na nowo swym maszynowym graniem. Jest to kośba, istna kośba ludzka, na środku tej wody, mordercza, techniczna. Płużański, przechy-

lony, nie widzi nic. Erkaem w jego rękę wali pełnym spustem. Zagłusza wszystko. Nawet kule tamtych.

— Uwaga, wałą w was — ktoś woła.

Istotnie. Ogień niemiecki z tamtej strony, z portu narwického, szukał długo po brzegach i stokach owego zdradzieckiego erkaemu. Nietrudno go było znaleźć, choć mundur jest ciemny jak sama skała. Ogień ciągly naprowadził na trop. Kule rykoszetami odpadają teraz od skałki. Trzeba się odsunąć.

— Kryjcie się, panie podchorąży!

— Jeszcze ich, jeszcze ich — zaciska zęby w pasji radosnej Płużański.

Wydaje mu się, że jest lotnikiem i że z lotu widzi to wszystko pod sobą, z lotu, z góry, rżnie po nich, salwa za salwą. Radość, radość, radość. Co znaczy to wszystko, te gwizdy ostrzegawczo przeciągłe, to łupanie kul w skałę, wobec tej radości przeogromnej, przestrasznej radości wojennej!

Nowy ładownik. Podnosi głowę. Wiatr leci od gór i fiordu, wiatr morski i górski zarazem. Swój prawie wiatr: tatrzański. W tej radości niezmiernej, w tej chwili nad wszystkie pięknej i tego mu więc nie zbrakło.

— Bryz! Bryz! Bryz!

Nowy paroksyzm morderczy po tych, co rzucili się z barek do wody, po łarce drugiej, która przełamuje się jakby wpół, po tym obcym morzu. Mógłby strzelać ku portowi. Nie warto. Nie raczy. Wyszukuje, wytrapia pływających, wstukuje w nich serie. Wyławia, by posłać na dno.

Naraz ścieg rozświegotany opryskuje sam szczyt. Aż kamienie odleciały w górę.

Drugi i trzeci ścieg. To dwa inne cekaemy przyłączyły się do tego pierwszego. Włupują twardym świergotem w kamień skały, w ciało człowieka. Wdziobują się

z pasją od tamtej nie mniejszą: długo szukały, nim wreszcie znalazły.

— Podchorąży ranny — woła ktoś na dole.

Nie. Podchorąży nie jest ranny. Tylko głowa, grzbiet nachylony, piersi, wszystko to jest poprzeshywane kulami, posztyletowane po wielekroć i na przestrzał. Cekaemy to naprawdę wspaniała broń. Nie było czasu na nic. Nawet na ból. Kiedyś, gdy zdejmą ciało Płużańskiego z tej skały, jak cokół pomnika wyrosłej, będzie ono wykrwawione do cna, z hełmem wczepionym w kość czaszki i podziurawionym wraz z nią, jakby wbitymi i wyjętymi potem czyjąś ręką litosną gwoździami. Będzie go trzeba ściągać, bo sam nie zleciał. Zanadto był górale. Zmarł na tej skale wysokiej, jak ptak górski na gnieździe. Nie spadł.

Tylko naraz ze zgrzytem żelaza o piarg obsunął się karabin maszynowy, z rąk niepotrzebnych wypadły. Przekreślił powietrze czarnym przelotem i gruchnął w dole o kamienie, jak rozbity na zawsze przedmiot. Jak skrzypce, na których ktoś wydźwiewa ostatnią swoją pieśń i na których nie zagra nikt więcej.

.....
Taka była śmierć narvicka Mieczysława Płużańskiego, górala i malarza.

Podchorążego z Coëtquidan.

XVII

Żaden patrol nie wrócił?

— Żaden, panie kapitanie.

— Cóż wy, spać nie będziecie?

Milczy Czczel, milczy Banaś, milczy Stecki. Kapitan zresztą tak zagaduje tylko. Sam dobrze wie.

— Tak — mówi — wojna... To wasz kolega był ten podchorąży, jakże mu tam... Płużański?

- Z tej samej kompanii.
- Co on był z fachu cywilnego? Malarz podobno?
- Malarz.
- Ho! ho! malarz i z Francji, a tak się spisał! A tam jeden dyplomata także podobno poszedł? Taki, co był dawniej w sztabie batalionu. Strzelec z cenzusem?
- Szeliski.
- A co to był za jeden?
- Był sekretarzem naszej ambasady w Rzymie.
- Patrzejcie. O, wojna to nie takie proste jak dyplomacja. Ambasadorzy też giną. Jak front, to front. A wy byście się lepiej przespali, bo to nie wiedzieć, co będzie jutro. Czuwać, sprawdzać, rozumiem, ale żołnierz śpi, kiedy może, i je, co jest. Jedliście tej „paty“ niemieckiej, co?
- Nie, panie kapitanie.
- To weźcie, tam u mnie, ma Młynarczyk... O, Niemcy tu mieli wszystkiego... Ja tu przedrzemię się na tych niemieckich kocach. Dobre koce, pewno oficerskie. — Ale nie odchodzi. Z czegoś się nie wygadał.
- Ja tu mam jedno do pana, panie Andrzeju...
- Rozkaz...
- Idą razem, od tych stanowisk, którymi pluton zatrzymany w pół drogi ubezpieczył się na noc, ku krzakom, gdzie jest postój. Wszystko już się pokładło. Kapitan przystaje.
- Kiedy pan zobaczył, że padł sierżant Ziemiański? Czczel wiedział od pierwszej chwili, że o to zapyta. Nie — że zapyta tak, jak zapytał. Ale — że zapyta.
- Po wszystkim. Jakeśmy tu przyszli i była zbiórka plutonu. Brakło Ziemiańskiego i ktoś wtedy powiedział, że dostał...
- Nie pamięta pan, kto powiedział?
- Nie. Zupełnie nie pamięta. Pewno paru na raz. Czy to ma jakie znaczenie?

— Owszem — powiada kapitan — ma. Może mieć...

— Dlaczego?

Zapytanie jest bardzo proste i właśnie tym pomie-
szało indagację. Kapitan odpowiada na nie innym py-
taniem:

— A gdzie był w czasie natarcia Gruda?

— Przy mnie, panie kapitanie.

— Jak to, przy panu?

— Po prostu: przy mnie.

— To widział go pan?

— Widziałem, panie kapitanie.

— Cały czas go pan widział?

— Co to znaczy „cały czas“, panie kapitanie? Rozu-
mie pan, że miałem co innego do roboty niż obserwo-
wanie Grudy. Ale że był o kilkanaście kroków ode mnie,
że trzymał się mnie, że był ze mną na przodzie, więc
go miałem przed oczami... Ziemiański był gdzieś za na-
mi, więc nie widziałem, kiedy padł.

— Ziemiański był za wami?

— Ależ tak...

Kapitan myśli przez chwilę. Andrzej wie i teraz, co
mu powie.

— A wie pan, jak zginął Ziemiański?

— Wiem, panie kapitanie: dostał kulą z tyłu.

— W plecy.

— W plecy — przytakuje Andrzej. — Z lewej strony.

Patrzą sobie głęboko w oczy, pytając jeden, odpor-
nie drugi. Andrzej znosi to spojrzenie, jakby nie tyczyło
ono żadnych znanych mu spraw.

— I co pan o tym sądzi? — pyta kapitan nie spuszc-
zając wzroku.

— Nie wiem, panie kapitanie; nic nie wiem.

— Jeśli to była zemsta, to trzeba sobie ustalić, z kim
Ziemiański miał porachunki. Jako człowiek służbisty
był nie lubiany...

— Był.

— On mi nieraz składał meldunki na tego Grudę, a to że pyskuje, a to że bolszewik...

— Pyskować to każdy pyskuje. A bolszewik? Co to jest, panie kapitanie, bolszewik? Wiem, że na linii on był zawsze najlepszy, a to chyba coś jest. Ziemiańskiego, nie chcę mu uchybiać, zawsze ciągnęło do tyłu...

— Widział go pan po śmierci?

— Przecież ściągnęliśmy wszystkie zwłoki, tam, o...

Pięć sztywnych śmiercią kształtów rysuje się przy strumieniu, gdzie opatrywano rannych.

— Pójdźmy tam.

Andrzej idzie z niejasną refleksją: zupełnie tak, jakby mordercę prowadzono na miejsce zbrodni, do leżącego jeszcze trupa. Ale nie myśli wcale o nim, o Ziemiańskim. Myśli o tamtym — podobno tak postrzelanym — trupie Płużańskiego.

Zwłoki leżą przy sobie jak na rozkładzie łowieckim. Ziemiański pierwszy z kolei. Ma twarz nie zmienioną zupełnie, bez śladów krwi czy śmierci. Tamtemu — jakże się on nazywał? — zniosło zupełnie górę czaszki. Ten strzał w plecy jest nawet niewidoczny.

— Więc na śledztwie — bo będzie śledztwo — zezna pan, że widział pan kaprała Grudę podczas natarcia na taras przed panem, podczas gdy sierżant Ziemiański był z tyłu? — pyta, solennie jakby, kapitan.

— Zeznam, panie kapitanie.

Nie mają już nic sobie więcej do powiedzenia. „Czy kto kapitanowi skarżył się na Grudę — zastanawia się Andrzej, wracając. — Być może, a może i nie. To jeszcze zawsze wypłynie... Może by poszukać Grudę? Powinien być przy 10. drużynie... Ale nie; rozmowa z Grudą, po tej indagacji kapitańskiej, będzie wyglądała podejrzanie. Lepiej nie.“ Andrzej bierze z chlebaka ową niemiecką „patę“, siada i je. Nie chce mu się jeść. Po

co więc je? Je podświadomie po to, aby widziano go po owej rozmowie zupełnie spokojnym i zajęтым właśnie jakąś taką obojętną czynnością. Nie powinien teraz, dla dobrej sprawy, ani rozmawiać z Grudą, ani myśleć samotnie. Może natomiast tak przysiąc na uboczu i jeść. Dla niepoznaki jeść. Naprawdę myśleć.

Czy to zmęczenie, czy ustawicznie drażąca mu wszystko myśl o Płuzańskim sprawiała, że odpowiadał kapitanowi jakby przez sen i skłamał nawet, też jakby przez sen? Kłamał, jak kłamię się towarzysko, aby uniknąć drobnej nieprzyjemności; mówił nieprawdę świadomie, a to było już śledztwo. Czy dopiero samo to słowo „śledztwo“ uświadomiło w nim to, że kłamię przed sądem w sprawie o życie ludzkie? Nie wie. To pewne jedno, że uświadomił to sobie dopiero teraz. Żuje suche, żyłowe mięso i własne, tajone myśli. Jak to określić? Stał się współnikiem zbrodni zabójstwa; nie morderstwa, bo działania z premedytacją, nie w żadnym tam afekcie. Tak. Tak to się nazywa. A dalej uczynił, co mógł, żeby morderstwo pozostało nie wykryte. Kiedyś, dawno, Andrzej studiował prawo. Wszystkie pojęcia prawa karnego, zdania urwane ze skryptów, strzępy zasłyszanych wykładów, sformułowania kodeksowe sypią mu się teraz, jakby wypadły z szuflady od dawna nie otwieranej. Noc spłynęła białawym mrokiem, rzadkim jak rozrzedzone wodą mleko. Nie ma frontu: prysł. Po górach są, jak wyspy dziwne, miejsca obsadzone już przez sprzymierzonych i takie, gdzie jeszcze utrzymali się Niemcy. W Nyborgu są już nasi; Ankenes jest tamtych. Noc czuwania w przerwie między walką.

Dłubiąc nożem w puszcze, w której już zgrzyta metalowe dno, Andrzej bada w sobie samym narodziny przestępstwa. Dialektyką rozumowania, jakby takim samym nożem jak ten, co ma w ręku, wydłubuje włókno po włóknie, nerw po nerwie: „Tego człowieka mogłem za-

strzelić o trzydzieści parę godzin wcześniej, sam, własnoręcznie, i wtedy działałbym zgodnie z prawem. Nie zrobiłem tego; teraz zasłaniam jego mordercę, który działał wbrew prawu. Czemu tamto zrobiłem i czemu to?“

„Tamto była słabość — odpowiada sam sobie — słabość, słabość niewojenna. Regulamin przewiduje, że na wojnie strzela się na miejscu żołnierza schwytanego na rabunku lub na gwałceniu. Nie umiałem. Dobrze; dlaczego to? Bo przez tych kilkadziesiąt godzin ten drugi człowiek, Gruda, zasiał we mnie podejrzenia, bo pozory — jak wtedy, gdy te samoloty, jak przedtem, gdy tamtego posłano na górę — podsycaly rozrost podejrzeń.“ Andrzej pamięta wyraźnie pierwsze swoje uczucie, kiedy powiedziano, że sierżant padł; ni to ulga, ni to zadowolenie. „Uczucie złe, niegodne“ — stwierdza. Ono samo jeszcze nie podpada pod rygor praw ludzkich, kodeksu, ale podpada już pod srogość praw Bożych, przykazania. Wtedy nie wszedł był jeszcze w ową strefę, która nazywa się przestępstwem. Ale był już wtedy w tej, która nazywa się grzechem. Skąd te stare pojęcia katechizmowe, owiane lękiem przed Bogiem, ową istotą straszną Starego Testamentu, pachnące kadzidłem kościelnym, swądem ciepłym świec woskowych i dusznością kwiecia polnego u ołtarzy w wieczory nabożeństw majowych, przywiały naraz z lat dziecięcych na front narvicki? A to, co przeprowadza teraz Andrzej, czy nie ma to za miano „rachunek sumienia“?

„To była walka Grudy z Ziemiańskim“ — podrzuca mu jakiś głos.

Więc co, że walka Grudy z Ziemiańskim? Czy jego rzeczą było wkraczać w to na czyjąś korzyść? Jego obchodzić powinna tylko służba, obowiązywać jednaka dla obu sprawiedliwość. On tymczasem był po stronie Grudy, przeciw Ziemiańskiemu. Kto wie: on może swym

zachowaniem się zachęcił jeszcze Grudę, on go ośmielił?

„Czemu w takim razie to zrobiłem, czemu to zrobiłem? — myśli. — Jeśli jest to zbrodnia, jeśli jest to współdziałanie ze zbrodnią, jak się stało, że ja, od zbrodni intencjami najdalszy, tak wszedłem w to po prostu i szybko? Jaki instynkt kazał mi kłamać, że Gruda był ze mną, kiedy był za mną? Jaki instynkt kazał mi od pierwszej chwili sądzić, że to Gruda, nikt inny niż Gruda, zastrzelił Ziemiańskiego, i akceptować to najbardziej biernie, póki nie zapytał kapitan? A potem pokryć to jeszcze czynnym aktem kłamliwego świadectwa? Dlaczego potem z całym spokojem mogłem podejść do trupa i myśleć tylko o moim poległym gdzie indziej koledze, a nie o człowieku, którego mordercą osławiam? Co powodowało moim instynktem, nim decyzje rozumowania w ogóle zaczęły działać? Bo przecież i ta ulga, i ta bierność późniejsza, i to kłamstwo — wszystko to wystąpiło u mnie w c z e ś n i e j niż jakikolwiek proces woli zdołał się odbyć? Instynkt? Tylko instynkt. Ten instynkt kazał mi zniszczyć człowieka, który zwał się Ziemiański, i ochraniać człowieka, który nazywa się Gruda.“

„Lubiłem jednego, nienawidziłem drugiego. Czy to to? Nie. Nie to.“ Andrzej zdaje sobie z tego sprawę już w chwili postawionego tak pytania. Sympatie i antypatie były na to, jeśli nawet były, za słabe. Czy największa miłość do Grudy i największa nienawiść do Ziemiańskiego miałyby dosyć siły, by skłonić go do uczestnictwa w zbrodni? (Bo Andrzej, ani na moment, nie przestaje nazywać tego, co zrobił, tym, czym jest. Ani na moment.) Nie; nie miały. Więc co działało? Instynkt, że Ziemiański jest rzeczywiście niemieckim szpiegiem, przewidzenie z tamtego snu, po południu? Też nie; na tego rodzaju silne instynkty jest już za mało pierwotny. To nie jak Michałek, jak Gruda, którzy z czujnością

ogarów wytrapiali tamtej nocy kroki po lesie. Nie. Nie to.

Andrzej odrzuca pustą puszkę, wstaje, przechodzi koło śpiących. Oto Gruda owinięty niemiecką płachtą namiotową — (wszystko oni mieli) — śpi. „Zabił, na pewno zabił — myśli Andrzej — o dwadzieścia kroków leży ten, którego zabił, i śpi. Ach, i jak śpi. Ja nie spałem dwie noce, biliśmy się pół dnia, a teraz spać nie potrafię po tym Płużańskim. Gruda śpi. Czy i jemu, jemu, który zabił, nic naprawdę to wszystko nie mówi? I jak to się dzieje, że nie mówi? Jak to z tym jest?

We śnie Gruda ma inną głowę. Zmęczoną i starczą. Młode są w tej twarzy tylko oczy i gdy są otwarte, starości tej nie widać — myśli ze współczuciem Andrzej — ale tak jak teraz, widać, że to już jest człowiek stary. Nie; nie stary. Tylko zmęczony.“ Andrzej patrzy na Grudę. „Tak, zmęczony.“ Zbyt wiele widział Andrzej spraw ludzkich i spraw polskich, żeby sobie naraz nie odtworzył całej przeszłości Grudy. Oto wieś małopolska, przeludniona i bezrolna w ciasnocie nędzy, w zniszczeniu inwazji rosyjskich, w głodzie powojennej odbudówki. Oto wędrowanie bandoskie od dworu do dworu za pracą, a potem saksy dalekie, saksy meklemburskie, i pomerańskie, i oberszleskie, i nadreńskie, i duńskie może, i francuskie. Gdzie-bo to chłop polski tych lat dwudziestu nie niósł swej pracy nad wszystkie wytrwalszej, sumienniejszej, cięższej? Czyich to ról, prócz własnej, nie zorywał? Czyjego nie opatrywał bydła, czym szosom kamieni nie łupał? Z jakich szycht nie wyrąbywał węgla? Andrzej pamięta, jak kiedyś, gdy byli w łaźni, we Francji, widział na piersiach kaprała siną wklęsłiznę — z bitwy nad Niemnem w roku dwudziestym, i widział na obojczyku posiekania — to kula dum-dum Marokańca prysła za nim w mur domu przy madryckiej Ciudad Universitaria. Jaka wytrwałość

w poceniu się po różnych ziemiach, w krwawieniu się w różnych świata stronach, beznadziejna, nieopłatna, próżna! Starzejąca szybciej niż życie.

„Nie dziw, że teraz chwile snu łapie“ — zamyśla się.

Z kolei coś go ciągnie do tamtych zwłok, które w niskiej trawie bielą się twarzą wapiennie białą. Ziemiański. Jeśli naprawdę nazywał się Bodenheimer i przybrał sobie to nazwisko, cóż to znaczy? A właśnie w Andrzeju budzi się jakiś protest, już poczynając od owego przybranego, sztucznego okropnie nazwiska. Ten, co go przybrał, chciał się nim wkupić nie w polskość, ale w pańskość, przez owo „ski“, przez całą tę „ziemiańskość“. Nęciło go to, co było właśnie wiekową antytezą tego wszystkiego, czego symbolem żywym był na tej łące Józef Gruda. Nie, nie żeby to był pan. Był to podpanek. Niech nie będzie szpiegiem niemieckim, jak chciał tamten; to wszystko jedno. Był to podpanek, podpanek. Tysiące takich ludzi o ekonomicznych duszach wrosło ciągiem wieków w kark ludzki w Polsce, jak wrasta w nie świerzb, jak wgryza się giez koński. Osiadło. Polska się zmieniała, oni trwali. Minał okres białych w Polsce dworów, urosły fabryki obce, kraj feudalny zamienił się w kolonialny, w którym to wszystko, co warte: kopalnie, lasy, fabryki, należało do Francuzów, Belgów, Szwedów, Szwajcarów, Anglików, Niemców. Oni trwali. Na miejscu trzech państw obcych wyrosło państwo własne, z własnym starostą, policjantem, komornikiem i urzędnikiem. Oni temu państwu dostarczyli swoich ludzi z niezmiennym władczym stosunkiem, z pańskością panowania, z wyższością nadobywateli. Potrafili giąć się wobec swych zwierzchników, jak giął się karbowy przed jaśnie panem, i zacinać w hardości wobec ludzi wsi, jak zacinali się przed nim w hardości przez wiele pokoleń. Stanowili niezmienny typ psychiczny. Bywali na przemian służalscy i pańscy, wielcy

i malutcy, umizgalscy i wielmożni. Żyli nie przecuwając w żadnym pokoleniu, że to przez nich właśnie w tej Polsce wszystko mija, ale nic się nie zmienia. Bodenheimer, Ziemiański. Jeszcze po śmierci był właśnie taki, na poły wielki, na poły miękki. Jakaś chytryść zadufana w sobie, siebie ogromnie pewna, jakby zdziwiona tą śmiercią, co przecięła jakieś kalkulacje, położyła się na twarzy, w oczodołach podkrążonych sino, osadem pośmiertnym. I Andrzejowi poczęło się naraz rozjaśniać. To, w co wszedł swym kłamstwem wieczornym, to było coś więcej niż sprawa osobista dwóch podoficerów plutonu, nawet niż sprawa o szpiegostwo. Dwie potężniejsze nienawiści zazębiły się i dokonały porachunku. Wyładowała się tym wystrzałem nienawiść zbyt długowieczna i zapiekła, by ją można było osądzić normalnym trybem, i on, Andrzej, instynktownie stanął po jednej ze stron.

Jakieś dwa strzały odezwały się niedaleko. Wrócił do tamtych, którzy siedzieli dalej we wnęce skalnej tarasu, nad stanowiskiem cekaemów, na straży. Wrócił do ich rozmów, krążących wciąż wokoło wspomnienia, męczącego wspomnienia o Mietku Płużańskim.

XVIII

Albowiem owej nocy, w połowie drogi górami, na niemieckich wczoraj pozycjach, Mieczysław Płużański jest naprawdę ich rozmowom przytomny. Każdy unika wzmianki o nim, tak jak unika się dotknięcia miejsca, które boli, i każdy o nim coraz to napomknie, jak człowiek, którego coś boli, właśnie wciąż na to bolące natrafia. Jedne po drugich, jak opary z dolin po nocy, dźwigają się jakieś wspomnienia nic nie znaczące, polskie, i te z przechodzenia granicy w październiku, gdy

w kraju było już „po wszystkim“, i Budapeszt, i obóz nad Balatonem, i Bretania. Oto wzgórze La Touche, gdzie w styczniu, lutym, marcu ćwiczyli najczęściej, oto łączka żywoplotami posiekana przy starych wiatrakach St. Gurval, oto świetlica w baraku w Coëtquidan. Płukański w drelichach, na drabinie maluje świeżym wapnem wielki napis przez ścianę z pieśni śpiewanej w marszu:

Marsz, marsz, Polonia,
Nasz dzielny narodzie.
Odpocniemy po swej pracy
W ojczystej zagrodzie.

Nic znowu takiego, słowa ot sobie, w miarę nadęte, trochę banalne, ale oto oni, wspominając, uświadamiają sobie, że ten, który te słowa malował na ścianie świetlicy, sam w ojczystej zagrodzie już nie odpocznie, a gdy się to pomyśli, tamta zwrotka pęcznieje w treść. Jak w górach podnosi się nowy opar, tak w coraz nowym wspomnieniu przybliżuje się jakby duch, od ciała dopiero wyzwolony świeżo, może więc jeszcze nie taki daleki, duch towarzysza ich półrocznej drogi. Tak to się ongi wlokło, a tak teraz szybko dziwnie zeszło. Nie ma go. Był i nie ma. Nie ma i nie będzie więcej. Wszystko jeszcze będzie i być może, wszystko się jeszcze odmieni i przeinaczy, ale tamto się już dokonało. Nie ma. Wyrwa.

Wiadomość o stratach idzie szybko, szybciej niż każda inna. Padł Szeliski, padł Nowak, padł Trębaczkiwicz, padł ten mały Hubalt, padł Piukman. Podchorążówka coëtquidańska niejednym wykrwawiła się nazwiskiem. W dole, we mgłach od morza, Narvik bieleje wciąż, coraz bliższy, wciąż niemiecki. Może to zresztą ostatnie godziny. Ale czymże jest ten Narvik? Jednym fragmentem jednego z frontów. Drugorzędnego frontu. Co ten

Narvik znaczy wobec Bodo, na południu Norwegii, co znaczy wobec Belgii i Holandii, które trzasły, Francji, w którą włamały się czołgi? Co z tymi towarzyszami, którzy poszli do 1. dywizji pod Sedan, z tymi, którzy poszli do 2. w Wogezy? Co te dywizje, ostatni rekrut Rzeczypospolitej, znaczą w zmaganiach, gdzie dzień jeden korpusy całe zmiata bez śladu? Czy i oni bez śladu roztopią wysiłek pogrobowy państwa zgniecionego przez Wrzesień?

— Pójdziemy tak wszyscy — powiada Banaś — ale po nas kto przyjdzie?

.

— Najgorsze to to, że nic nie zmienimy i niceśmy nie zrobili — dodaje Stecki.

— Może...

— Nie, Andrzej, próżno i darmo, powiedzmy sobie, że nic.

— To powiedz najpierw, coś ty, idąc tu, zmienić chciał?

— Tyle razy wam to mówiłem. Po co jeszcze? To samo, wciąż to samo? Czym była ta cała nasza armia we Francji wyrosła? Czymś zbudowanym z resztek tej w Polsce, której najlepsze siły poginęły w polu lub marnują się za drutami oflagów i w dalekich Starobielskich sowieckich. To, jeśli chodzi o jej wierzchy. Jeśli chodzi o jej dół, była to budowa z emigranckiego materiału, największej nędzy niegdyś, na obczyźnie dopiero odżyłej jako tako. Dwa odrębne polskie światy, które los w zabawce dziwnej wprzągnął na raz do jednego wozu, którym kazał jedną pracę odrabiać. Czym byliśmy w tej armii? Otóż myśmy, że się tak wyrażę, stanowili w niej element całkiem inny. Zupełnie osobny. Przeszłością należeliśmy do tej samej warstwy społecznej

co oficerowie. Teraźniejszością my, a cenzusowcy przede wszystkim, staliśmy w masie żołnierzy. Nikt nas nie powołał dekretem prefekta, zarządzeniem mera i obwieszczeniem konsulatu. Przyszliśmy sami. Nikt nam nie mógł jednak powiedzieć, choćby zupełnie nieślusnie, żeśmy przyszli dlatego, że w Polsce czekał nas tylko obóz jeńców albo zesłanie do Turkiestanu, a we Francji — płace i rangi. Były posterunkowy z Polski ma większy żołd od ciebie. To nasze szczęście. Jak oficerowie, należeliśmy do tej Polski dawniej, która runęła, ale jak ci żołnierze z Francji, chcieliśmy tworzyć naprawdę Polskę inną. Byliśmy karni, bo tego od nas wymagano, ale każdą porą skóry parowała z nas żołnierska nienawiść do drylu. Mój drogi, jest na tej emigracji dużo ludzi, których niczego nie nauczyły pioruny dziejowe Września. Ale my nie należymy do nich.

— Jakiś, słowem, nowy program?

— Nie. Żaden program. Żaden frazes. Mam ochotę walić po mordzie, gdy mi się znowu nagrywa stare płyty z frazesami wyborczo-wieczowymi o tym, że w tej przyszłej Polsce każdy będzie miał tyle, że na to, by te obietnice w połowie tylko spełnić, trzeba by najpierw złupić złoto Stanów, Anglii i Francji. Znowu „świat pracy“? Jeszcze ich mętna „sprawiedliwość społeczna“? Jeszcze dobra staruszka wszelkich demagogów, „reforma rolna“? Może jeszcze „ustrój socjalistyczny“? Ileż razy, mój drogi, jak zły liczman, kręciła się w Polsce ta płyta wypożyczana sobie przez wszystkie kolejne rządy i przez wszystkie prawie stronnictwa? Powiedz to jeszcze żołnierzom. Poszukaj entuzjazmu!

— Więc co takiego?

— Odmiana, po prostu odmiana.

— Jaka znowu odmiana?

— Co musi przyjść przede wszystkim, co musi wszystko zacząć i poprzedzić, to prawdziwa odmiana

w Polsce stosunku człowieka do człowieka. Zawsze chyba na świecie będzie ten, co rozkazuje, i ten, kto wykonywa. Będzie ten, co rządzi, i ten, co jest rządzo-ny. W każdej armii są oficerowie i żołnierze, w każdym państwie jest władza i jest ten, co słucha. Ale chodzi o to przede wszystkim, żeby w owym stosunku nie przetrwała zachowana z dalekich czasów wyższość wyniosła, pańskość obojętna, władczość jakaś, sam nie wiem jaka? Pańszczyźniana? Feudalna? Na pewno nad nie silniejsza! Gdzie indziej na świecie przełamywało ją chrześcijaństwo, ucząc, że ludzie są stworzeni na jednaki obraz i podobieństwo Boże. Gdzie indziej pochód rewolucji francuskiej powiadał o równości i braterstwie wszystkich ludzi. Ale u nas chrześcijaństwo rozlało się falą zbyt płytką, a demokracja świeciła pożyczonym blaskiem. Tamten stosunek władczy człowieka do człowieka przetrwał w Polsce brzuchatego szlachcica i kołnierzykowego inteligenta, z karbowego przeszedł na policjanta, z jaśnie pana na pana starostę. Mogłaby być Polska sowiecka i byłoby to samo. I widzisz, z tym stosunkiem, że ludzie są inni ode mnie, różni, mniejsi, z nim najsamprzód należy zrobić porządek.

Zamilkł na chwilę. Fiord daleko był tak jak wczorajszej nocy, cały w białych, pajęczych mgłach.

— A wiesz — powiedział Andrzej — bardzo podobnie myślałem przed godziną...

Znowu uczyniło się milczenie, w którym znów stanął, jak zjawa milcząca, Płużański.

— Dobrze — powiedział Banaś — ale kto z nas to wszystko do Polski doniesie? Ilu naszych kosztował ten Narvik? Ile będzie kosztowało jakieś Bodo, Trondhjem, Wogezy? Czy nie myślisz, że nastanie dzień, kiedy wy-

kruszymy się po kolei? Zostanie kto? Te dwa światy sobie obce, pomiędzy które myśmy jedni wbili kliny pierwszych połączeń. Odpadniemy, jak klin odpada, znowu wszystko na te dwa światy dzieląc. Bo oni zostaną.

— A nawet jeśli nie wykruszymy się, cóż my znaczymy w tym wszystkim? Czy to my mamy jakąkolwiek rolę? Czy poza najslabszym zasięgiem osobistym możemy tu co odmienić? Czy wszystko nie jest w rękę nie naszym i nigdy w naszym się nie znajdzie? Płużański, Szeliski, Nowak odeszli; my, którzyśmy jeszcze zostali, czy znaczymy co więcej niż wczoraj? Nie, Andrzej. Czasami mi się zdaje, że jesteśmy tu właśnie elementem zbłąkanym niecelowo, który stara się łączyć, ale powiększa ferment, który chce naprawy, a przygotowuje — czy ja wiem? — rewolucję. Pamiętasz nas z Coëtquidan? Nie było broni, dali nam stare mundury, mieszkaliśmy w lodowatych barakach. Przybywali transportami ludzie wybiedzeni, wychudli od wędrówek karpackich, sponiewierani po jakichś obozach. Wiały mokre wiatry bretońskie, ale nawet w kałużach placu ćwiczeń odbijała się w niebo błękitna jakaś nadzieja. Bo to, co się rodziło, to miała być naprawdę nowa armia!

— Czemu dzisiaj myślisz inaczej niż my wszyscy? Masz zły dzień jaki? czemu? Nowa armia to armia jak legiony, co szły w butach dziurawych, ale z zapalem niełatany, jak armie rewolucji francuskiej, jak pijana swoboda armia sowiecka, ta z siedemnastego, nie z dwudziestego już roku, jak armia rewolucji hiszpańskiej, dwuletni stawiająca opór. Może niezupełnie doszkolona i nie zawsze maszerująca w krok; ale nie: właśnie doszkolona do nowych czasów, maszerująca w krok stulecia. Nowa armia, załazek, zrąb najpierwszy nowej jak ona Polski, odmienionej, nim przyjdą jakieś progra-

my, zoranej głęboko pod siew późniejszych już reform. Myśmy, z Coëtquidan, mogli być zaczynem drożdżowym owego nowego ciasta. Na nas, jak na fermentie kwaśnym, mógł urósć nowy bochen polskiego chleba. Urośnie? Urasta? Mogliśmy być komisarzami politycznymi tej armii. Niech cię czerwień tego słowa nie razi. Czyżbyś wolał praworządniejszą rolę feldfebla?

— Nikt z nas, nawet gdyby chciał, nie zrobi feldfebli.

— Ze starszych, dojrzałych — może nie. Z młodszych? To się zobaczy. Ale oto, gdybyśmy byli feldfeblami, gdyby nam plecak nie pękał, już nie od marszałkowskich buław, ale po prostu od fasunku nowych myśli, o ileż bylibyśmy lepiej widziani, o ileż oceniani łaskawiej. Darmo, podchorążacki Don Kichocie! Tkwisz pomiędzy dwoma światami tej armii. W jeden z nich musisz zstąpić, wspólnoty z innym się wyrzec. Inaczej będziesz sam jak ten nasz biedny Mietek na tej skale, skąd go ściągnąć podobno nie mogli. Sam jak ci w Polsce nieliczni, którzy wahali się, wiecznie na rozdrożach pomiędzy wsią strajków rolnych a dożynkami reprezentacyjnymi w prezydenckiej Spale...

— Gdzie tam twoja Spała w Norwegii? Zastanów się tylko! W Spale jest dziś kwatera pruskiego generała.

— Nie chodzi mi o Spalę, nie chodzi o to, co było. Chodzi o to, że, jak zły czar, złe zawsze w Polsce powraca. Zmienia szaty, zmienia nazwy, zmienia smutnych bohaterząt swego dramatu. Ale powraca. Ale to się nie zmienia. I oto naszym zadaniem, nawet ginąc, jest powiedzieć światu, że my właśnie giniemy po to, aby i to istotne, wciąż u nas w nowej zmartwychwstające postaci, nigdy nie zmartwychwstało więcej. Tylko kto to dosłyszzy z owej pustki norweskiej? Kto nie wynaczy? Och, widzę, jak jeszcze grób takiego Mietka

umają swoimi frazesami i jego imieniem zasłaniać się będą! Kto w Polsce nie brał procentów ze śmierci na szubienicy Okrzei, z żołnierskiej Lisa-Kuli? Jesteśmy, będziemy wtedy, jak te martwe kamienie. Naprawdę kamienie. Jakże to jest — powinieneś to pamiętać przecie — w Słowackim: „Jak kamienie przez Boga rzućane na szaniec“...?

— Kamienie na szaniec...

— Kamienie.

.....
Daleki grzechot karabinów szedł zza Narviku echem.

.....
— Nie — przerwał milczenie Andrzej — nie mogę się z wami zgodzić ani na chwilę. Zgoda. Jest tak, jak mówicie. To pewne. Trzeba być ślepym, aby tego nie widzieć, lub trzeba łąć, aby temu zaprzeczyć. Ale tak jak jest, być nie może, to także pewne. Światem idzie fala przemian, która zmiecie ostatnie smutne próby budowania tego, co będzie tak, jak budowano to, co runęło. Z gruzów zwałonego domu nie buduje się nowych gmachów. Jest nas mało, nie znaczymy dziś nic, padamy w pierwszych szeregach, i to my, młodzi, szczerbimy się najpierwsi. To wszystko jest prawda. Ale wiatr, jaki wieje przez świat, wieje tylko w nasze żagle, i najmisterniejsze manewrowanie łodzią wiatru w tamte żagle nie napędzi! Skończone. Można jeszcze na fali tej trwać, można jeszcze utrzymać się na niej czas jakiś. Ale żal mi tych, co takim łodziom swoje losy poruczą. Pójdą z nimi razem na dno.

— O czym ty myślisz?

— O tym, że cokolwiek się stanie, my jedni w tej emigracji polskiej reprezentujemy nowy naprawdę świat. To, co my reprezentujemy, dojdzie może szybciej

do głosu wszędzie indziej, a potem dopiero u nas. Może nawet zapłacimy grubo za to, że będziemy wlekli się w ogonie postępu, zamiast iść na przędzie. Ale i u nas to się jednak dokona, a dokona tak nieuchronnie, jak nieuchronnie musiał runąć świat Sławojów i Rydzów. Popatrz na armie współczesne. Od armii się zaczyna to budowanie. Czy armia niemiecka jest jeszcze armią bezmyślnego pruskiego drylu? I tam się nauczyli dbać o żołnierza, starać, dostarczać mu tu na górę i konserwy, które nam teraz smakują, i sok żurawinowy, i suszone śliwki — co za troskliwości niejunkierskie! — ba, i gazetki polowe wydawane w Narviku — poczytaj, żadna tam wazelina — i tam dryl bezmyślny pozostawiono czasom, które nie znały innych bodźców, daleko skuteczniejszych. Anglia, która armii nie miała, teraz ją tworzy; jak myślisz, czy to będzie armia od defilad gwardyjskich? Lotnictwo, ta najważniejsza armia, czy myślisz, że ona stoi dyscypliną tego samego typu, co dyscyplina Mikołajowskich żołdatów? Nie, przenigdy. Jesteśmy jeszcze ostatnią na świecie armią, w której piechota maszeruje pieszo, tak samo jak we Wrześniu naszymi szarżami na czołgi niemieckie zamknęliśmy ostatecznie dzieje wszelkich husarii, ułanów, szwoleżerów, kirasjerów na świecie. Armie, jakie się tworzą w tej wojnie, to armie techniczne i armie ludowe. Ani w broni technicznej, ani w armii ludowej nie znajdziesz miejsca na pozostałości koszarowej przeszłości. I to o wszystkim przesądzi. Trzeba będzie znać maszynę, to znaczy mieć kwalifikacje nie szczebla czy rangi, ale określonej, fachowej wiedzy. Nie tej poświadczonej zdobytym kiedyś papierem, ale sprawdzanej co dzień. Trzeba będzie mówić językiem, czuć odruchami i myśleć myślami ludzi, których się prowadzi, i zrywać samemu sobie (na wyprzódki może) to wszystko, co dziś tak starannie wyróżnia, podobno podnosi, a naprawdę

tylko dzieli. Potrafimy to my, jeśli zechcemy. Inni już tego nie potrafią.

— Ani nie zechcą.

— Ani nie mogą nawet zechcieć. Nawet nie mogą zechcieć. Można zmienić z łatwością swój formalny autorytet, jeśli się posiada autorytet istotny. Napoleon nie potrzebował buławy marszałkowskiej i chodził w najskromniejszym mundurze. Goethe był wielki bez tytułu ministra. Ci wszyscy, których autorytet nie jest tylko formalny, mogą oczywiście patrzeć się spokojnie w czasy idące ku nam w tempie naprawdę mniej ślimaczym niż ta cała wojna. Ale reszta? Ale inni? Sam wiesz.

.

„Musi być po północy, dobrze po północy — myślał Banaś — tak okropnie zimno!“

Przy cekaemie strzelcy zabijali, jak dorożkarze w zimny warszawskie, ręce.

Właśnie rozprowadzała się zmiana.

.

— Więc mówisz — pytał Stecki — że nasz czas jeszcze nadejdzie? Ale nim się to stanie, co mamy robić? Mrzeć? Iść w śmierć z każdą walką w tym wojsku mniej liczni, naprawdę jak te kamienie przez Boga rzucone na szaniec?

— Jak te kamienie. Tak. Ale, zarazem, musimy się stawać w tej armii coraz liczniejsi.

— Jakże coraz liczniejsi? Przecież nie ma już znikąd dopływu?

— Dopływ musimy sobie znaleźć teraz w łonie tej właśnie armii. Jakże to było w Coëtquidan? W twojej kompanii, w mojej, w 11., w 4., w 7., wszędzie byli jednak wyrobieni już starsi i młodszy, których instynkt

narodowy porwał bardziej niż jakieś przeświadczenie. Ci młodszy podciągali nas swoim młodym entuzjazmem. Myśmy im okrzepiali ten entuzjazm chłodem rozumowania, uporem dojrzałości, męskością doświadczenia. W tym wojsku masz taki nowy element — młodych cenzusowców z Polski, przed którymi zamknęła się wtedy podchorążówka. Potem masz młodych chłopców z Francji, masz innych z Polski. Co to wreszcie dziś znaczy: cenzusowiec, nie cenzusowiec! Głupie podziały! Chłopak rozgarnięty, myślący, ambitny — oto, z którym musisz pracować. Z tym trzeba gadać, żyć się. Współmyśleć, do myślenia pobudzać. Jeśli nie ma w nim głodu, by stawać się czymś, to ten głód w nim obudzić, jeśli jest — podniecać, jeśli marnieje — cucić. Musisz przy sobie, za sobą, koło siebie czuć, że rośnie siła takich ludzi jak ty, jak my tutaj, jak ci, co przemysłęli Coëtquidan. Może nas nie być. Oni zostaną. Może nawet rozwiną się pełniej, pełny głód poczują, wszystkie sprawy uświadomią sobie wtedy, kiedy nas już nie będzie. My będziemy tylko posiewem, a nawet nie, tylko solą, jaka potrawie daje smak. Tylko drożdżami, które nie dają opaść chlebnemu ciastu.

— Ciągłe ten chleb...

— Bo to jest takie najprostsze porównanie. Zmielone ziarno, które samo z siebie da pokarm, niezdrowy i ciężki, a dopiero w połączeniu z zaczynem staje się głównym pożywieniem ludzkim. To ziarno samo przez się jest niczym. Nikogo nie nakarmi, sił nie doda. Dopiero złączone z tamtym, staje się wartością. Z mąki i drożdży dopiero powstaje chleb. Ta wojna wymieszała mąkę powszechnych ofiar i drożdże, myśl samotnych bez niej ludzi. W ogniu bojowym piecze przyszły chleb.

.

— Kto z nas jeść go będzie?

— Z nas tu, może żaden. Może ani ty, ani ja, ani nikt. Nie będzie go jadł Wolski, nie będzie go jadł Płużański, który świadomie, wiedząc, o co i za co, wyboru dokonał. Ale możemy być albo jak natarcie, które zdobędzie to, co zdobyć miało, albo jak natarcie, które złamie się w pół drogi. Musimy więc iść naprawdę, jak jesteśmy. Na kogo kolej, komu pisane. Po kolei...

— Jak te kamienie na szaniec?

— Właśnie, jak te kamienie. Nie. Nie jesteśmy pierwszymi kamieniami polskimi, jakie na ten szaniec padają rzucone naprawdę przez Boga. Nieszczęsne kamienie! To kamieniami parobczaki polskie obalały gdzieś pod Krzeszowicami motocyklistów niemieckich, albowiem zwalając naszą obronę na opór bezdroży i błot polskich nie mieliśmy oręża przeciw czołgom! Biedne, polskie kamienie. Otóż naprawdę musimy być jak te kamienie polskiego poety rzucone na ów szaniec, musimy być jak te kamienie parobczaków krakowskich podejmowane z każdego polskiego pola, z lada gościńca. Ci, co w kraju giną, spiskują, wydają potajemne pisma, przygotowują Dzień, to także takie kamienie, które Bóg polskich przeznaczeń na szaniec dziejowy ciska. Jeżeli kto w tej całej tu armii, to my jedni możemy i musimy mieć w sobie taką świadomość. Każdy z nas właśnie musi wziąć na siebie los Szeliskiego i Płużańskiego, chcieć być, gdy jego czas przyjdzie, kamieniem rzuconym na szaniec. I tylko te kamienie musimy wokół siebie mnożyć. To proste. To smutne. To wszystko.

— Nie — powiada Banaś — to nie jest smutne nawet. Tylko ten Narvik, Narvik... Takie tu wszystko okropnie obce...

Otrząsają się z nim razem. Z zimna? Z obcości?

— Narvik, Romku? Narvik, dziecko, ma swoje miejsce w tym przyszłym świecie narodów tak samo jak

twój Lwów. Może kiedyś na Łyczakowskim cmentarzu będą norweskie groby żołnierskie, jak tu są polskie...

Banaś otrząsa się wciąż jeszcze.

— A jednak, jeśli gdzie mnie mają zakopać, to nie tu. Tak jakby zimno strasznie. Tak pusto. Tak obco.

— Oni nas także mieli za kraj daleki i naród obcy i dla nich nasze losy były obcymi losami. A teraz w Europie nie ma losów naszych i ich, tylko są losy nasze. Wszystkich te same. A my musimy być w Narviku i w Wogezach, w Syrii nawet i w Palestynie, jak krzyżowcy, aby kiedyś oni wszyscy stanęli nam pomóc.

— Powiedz sam, czy chciałbyś tu jednak zostać?

— Co za pytanie, skąd?

— A widzisz. Tu tak inaczej.

Zimno zachodziło coraz większe i właśnie w tym zimnie, w mleczości mgławej i uśpieniu obcość widoku, jaki rozłożył się od nich ku fiordom, stawała się jeszcze przeraźliwsza. Andrzej otrząsnął się także. Poczul takie zmęczenie jak u schyłku nocy przebytej na czuwaniu u czyichś zwłok.

— Ja się jednak prześpię — powiedział — jakby co, zbudźcie zaraz.

XIX

Doświadczali uczucia wythnienia, że jest już po wszystkim. Rozkwaterowali się, po raz pierwszy od trzech tygodni chyba, w domach, prawdziwych domach nie spalonej części Nyborga. Nareszcie. Domy były puste, bo mieszkańców wyrzucili Niemcy, którzy po swym kwaterunku pozostawili je w najokropniejszym nieładzie. Na drodze walały się hełmy, pasy, płachty namiotowe, motocykl zdobyty przez Niemców na zwiadzie brygady, odebrany obecnie. Nad samym fiordem leżało pa-

ru nie pogrzebanych Niemców. Za fiordem, o dwieście zaledwie metrów, była droga u stóp góry, w głąb kraju. Jeszcze wczoraj uciekały nią w pędzie ostatnie niemieckie samochody, już pod ostrzałem podhalańskich erkaemów z Nyborga. Dalej nieco w lewo, na przeciwnym brzegu, zaczynały się pierwsze domy Narviku. Idąc na patrol, w kierunku niemieckiego odwrotu, Andrzej powiedział sobie, że miasto widziane z daleka było piękniejsze. Przy porcie dopalały się szczątki dwudniowego pożaru. U ujścia do portu, gdzie rozwalił się kadłub zatopionego niemieckiego transportowca, jak zabity na mieliźnie wieloryb, stały dwa zwycięskie kontrtorpedowce brytyjskie. Batalion stał w Ankenes, rozrytym, oznaczonym plamami pożarów, bezludnym.

— O 8.⁰⁰ wymarsz kompanii — zapowiedział na odprawie kapitan.

Drużyny pokładły się spać, jak stały, pomordowane tamtymi dwoma ostatnimi dniami, ową nocą w górach i dniem oczekiwania, patrolowania i pościgu za rozbitymi grupami Niemców. Stecki i Banaś mieli do 2.⁰⁰ w nocy służbę. Położyć się potem spać? Stecki wynalazł dom niewielki, zupełnie osobny. Była to raczej willa, drewniana jak wszystkie, pociągnięta brunatną farbą; „czekoladowy domek baby Jagi“ — nazwał to Banaś. W domku baby Jagi stał pewno jakiś oficer niemiecki, a może nawet nikt, bo było stosunkowo porządnie i czysto. Meble były nowoczesne, skromne, ładne; posadzka wywoskowana jak złoto. W pokoju, który zajmował prawie cały parter, wciskając sypialne pokoiki na poddasze, stał ponadto duży, nowoczesny fortepian. Stecki zadumał się melancholijnie: o ileż kultura muzyczna stała w tym biegunowym regionie wyżej niż w krajach mniej bliskich fokom i Laponom. Popróbował. Klawisze wydały pełny, żadnym wojennym przejściem nie zakłócony ton. Otworzył okno. Ton wypły-

nął na świat za oknem, na drogę wśród domów się wijącą, ku fiordowi o sto kroków niecałe, w świat zastraszony wojną, jak ptak wyzwolony z klatki.

Kłęcząc pozbierał nuty, poukładał. Był Szopen, Mozart i Bach, i nie wiedział ani na chwilę, który z tych trzech był prawdziwym ukochańcem tych, co w tym domu niedawno mieszkali. Nie zgadł. W szafie prawie pustej sterczał stary czarny parasol, wisiało palto czarne, miejskiego kroju, niemodne. Emeryt jakiś? Profesor? Obsesja muzyczna wyrastała z każdego kąta. Wśród książek na półce zakurzonej (Stecki obtarł kurz) odnalazł życiorys Mozarta, *vie romancée* niewątpliwie, jakiś rodzaj encyklopedii muzycznej i niemiecką książkę o Wagnerze. Książka o Wagnerze była wyjęta; musieli ją Niemcy przeglądać. Nad fortepianem, pomiędzy dwoma oknami, wisiał sztych, przedstawiający głowę człowieka o chmurnie patrzących oczach, wielkim pomarszczonym myśleniem czołe i włosach zmierzwionych nad tym czołem w rewolucyjnym iście bezładzie. Stecki poznał go od razu, bo taki sam sztych dostał kiedyś w Zakopanem, bodaj od Karola Szymanowskiego. Był to Beethoven buntowniczy, w rewolucji francuskiej rozkochany, jeszcze nie zawiedziony w Bonapartem, Beethoven *III Symfonii*. Próbował zastanowić się chwilę, co za rodzaj uczucia mógł się wzbudzić w Niemcu, który, zakwaterowany w jego pokoju na Ordynackiej w Warszawie, odnalazł, jak on tutaj, taki sam portret mistrza. Próbował jeszcze raz dociec, czy ci Niemcy, co przed nim tu przeszli, patrzyli na tę głowę ponurego samotnika ze sztychu jak na coś obcego zupełnie, czy też, przeciwnie, uczcili w nim jednego z bogów muzycznej Walhalli. Ale dał spokój zapytaniom, na które nie było odpowiedzi. „A jednak — rozumował porządkując nie sprzątany pokój — moja sztuka przetrwa to wszystko lepiej niż budownictwo,

malarstwo czy rzeźba. Można zakazać grać Szopena, ale Szopen pozostanie, można zakazać Paderewskiego, Wieniawskiego, Moniuszkę, ale ich siła przetrwa nie-naruszona, ich wydzźwięk nie spłowieje jak barwa, nie skruszy się ich posągu dynamitem, jak wysadza się pomniki krakowskie. Jakie to dziwne, swoją drogą. Przecież my dla świata dalekiego nie jesteśmy krajem wielkich królów i wielkich hetmanów, karmazynów i wodzów wszelakich, nawet nie jesteśmy krajem wielkich poetów, ale tylko Szopena niegdyś, Paderewskiego teraz. Najprostsza kolęda ludowa jest starsza w Polsce niż cały Wawel: ona nawet Wawel najprawdopodobniej przetrwa. Może nawet jest starsza niż całe państwo polskie, może jest starsza niż naród cały, może jej wątki najpierwsze śpiewano już w owym Biskupinie nadwodnym, kiedy jeszcze chrzest i kościół nie nanizwały na nią słów rzymskiej religii, jak na nić silną niże wiejska dziewczyna różowe koraliki.“ Dotknął palcami klawiszy. „Może, gdybym mógł taki ton właśnie uchwycić i dźwiękiem na świat wydzwonić, przetrwałoby w nim i rozeszło się na kraje najdalsze i czasy najpóźniejsze echo naszych cierpień i mąk teraz serdecznych?“

W owym domu, w którym odruchowo stał się naraz ewangeliczną Marią, Banasiowi przypadła rola Marty. Zamiótł miotłą przyniesioną z innego domu oba pokoje na dole. Wytarł pod oknem otwartym kałużę wody, jaka wlała się tu z wczorajszym deszczem. Zmył w kuchni talerze z jełczającymi szczątkami jakichś zapomnianych w popłochu potraw. Przywracał ład, zadomowienie, wżycie. W kominku z polnego kamienia zapalił ogień, który długo wzniecić się nie chciał, bo drwa były mokre od leżenia na dworze w słońcu wiosennej. W kuchni nastawił wielki sagan z wodą ra herbatę; sagan huczał na ogniu, chwiał się od zagoto-

wanej wody i wypełnił oba pokoje znanym szmerem podjętych na nowo codziennych domowych czynności. Zgodnie postanowili nie kłaść się, zaczekać na powrót Andrzeja z patrolu, a za to przygotować wielkie obżarstwo. W domu o kilkadziesiąt stąd kroków, dawnej poczcie nyborskiej, pozostał po Niemcach skład intendentury zaopatrzone bogato w konserwy, głównie pokradzione w Narviku. Banaś zabrał się do kucharzenia na wielką skalę. Czuł wraz ze Steckim nieprzeparłą ochotę odjedzenia się po monotonii ryżowych gulaszy i wygotowanej herbaty, jaką im posyłało na pozycje dwa razy dziennie. Powybierał z puszek niemieckich wielkie ilości przeróżnych jarzyn, warzyw, przyniósł konserwy rybne niezwykłej różnorodności, rozważał z całym przekonaniem wszelkie możliwe kombinacje. Mimo protestów Steckiego pozostawił drzwi od salonu otwarte; nie miał nic przeciw zapachom kuchennym; zresztą otworzono i okna. Jeden grzebiąc w konserwach, a drugi w książkach i nutach — mogli w ten sposób, każdy ze swego pokoju, rozmawiać. Banaś musiał opowiedzieć Steckiemu raz jeszcze, jak to po owej nocy w górach przyprowadzono od Nyborga nad ranem dwunastu niemieckich jeńców, jak kazano im znieść na dół, do batalionu, zwłoki poległych i jak owi jeńcy, którzy przecież na tych pozycjach niedawno byli, rozpoznali w zabitym Ziemiańskim swego konfidenta.

— Pomyśl tylko, to była heca! Ja myślałem, że porucznika jasny szlag trafi na miejscu! Ta on tego Ziemiańskiego, jak my stali na dole, a kapitan był na pozycji, zawsze z meldunkami posyłał. Bo najpewniej-szy! Jeszcze przed samym natarciem. Choć zawsze był raban: że Ziemiański okropnie marudzi i wraca po godzinach. Pewno, jak on na niemiecką stronę chodził, to mu to czasu zabrało. Porucznik powiedział, że ten mu i mapy wszystkie pokradł: obszukali trupa. Ale Niemcy

mówili, że już je pewno dawno ich lejtnantowi dał, i może być. Zupełnie może być. Tam jeden z tych Niemców był ze Śląska. Po polsku gadał. Sam, nie pytany. I w ogóle, Niemcy straszego pietra mieli, wszystko by sami gadali.

— Jakżeż on przechodził? — zainteresował się Stecki. Roman Banaś robił sobie właśnie z tego najcięższe wyrzuty, że nie wypytał wtedy zaraz tych Niemców, które dy i jak Ziemiański przemycał się na drugą stronę. Musiał to robić nie raz i nie dwa razy, skoro tamci go poznali; swoją drogą, ze strzałem w plecy nie miał zmienionej twarzy. Ten strzał w plecy, to także była cała historia; ale teraz, po tym z jeńcami... Banaś, opowiadając, krążył jeszcze wokoło sprawy, która w plutonie, a nawet w kompanii, mimo powszechnego zmęczenia, wywołała przecież niemałą sensację. Ale Stecki, który był z kaemów, niebardzo sobie nawet przypominał tego Ziemiańskiego, nie bardzo miał go w oczach. Opowiadanie przepłynęło koło niego sennie, obojętnie, o ileż dalsze niż dociekanie historyczne lub tamten świat wiecznotrwały, sezam zamknięty dla profanów — muzyka. Pokój był zupełnie uprzątnięty. Powinien był stać się jeszcze zamieszkały. Pomagał już w tym ogień na kominku rozpalony przez Banasia, ogień, który wprawdzie długo chybotął anemicznym płomieniem, jakby dawno go tu nie było i teraz zadomowić się nie śmiał, aż wreszcie zaczął huczeć ku górze wesołym czerwonym wytryskiem. W wielkiej misie majolikowej potrzebne by były kwiaty. Stecki wyszedł po nie. W drugim dniu natarcia, w górach, widział gdzieś gdzie jakieś norweskie sasanki, ale tutaj nie było ich wcale. W lasku, w którego zielonym, młodziutkim gąszczu siedziały zaczajone czujki (patrole wysłane za Niemcami ciągle natrafiały na nieprzyjaciela), narwał gałęzi z baziami nierozkwitłych pąków, jak bazie Pal-

mowej Niedzieli. Zaniósł je mokre od deszczu. Podchodząc do domu pomyślał, że Andrzej może już wrócić. Ale nie, nikt nie przychodził przez ten czas. Powstał bazy do misy i pokazał Romanowi.

— A ja zrobię „święcone“ — powiedział tamten.

Nakryli stół białym obrusem, wyciągniętym z sąsiedniego domu, poustawiali filiżanki, spodki, talerze, wszystko. Wyżywali się w tej drobiazgowości, w gospodarzeniu kobiecym, starannym, nieżołnierskim. W Banasiu była to może harcerska pasja do robienia wszystkiego, co się robi, w sposób możliwie dokładny. Stecki uświadamiał sobie, że jest w tym, jeszcze i co innego. Trzeba przejść wojsko, owo stłoczenie mężczyzn, i przejść je na froncie, trzeba jeść z blaszanej menażki i pić z blaszanego kubka, jeść byle co, a zwłaszcza byle jak, żeby tak zatęsknić potem do białego obrusa i porcelany, odkryć urok czekających na stole talerzy, uświadomić sobie całą obrzydliwość chleba, masła czy cukru zawiniętego na stole w jakieś papierzyska, a docenić całą poezję kromek pokrajanych drobno, na równe, niegrube płyty. O, ileż drobnych, nie docenianych niegdyś rzeczy nabiera smaku i powabu! Jakże kusząco wygodne są zwykłe prześcieradła i łóżko, w którym można położyć się rozebranym, wreszcie wyzwolonym zupełnie ze wszystkich przepoconych swetrów, owijaczy, onucy. W Nyborgu, w toku owych kilku kradzieży snowi godzin, mieli w owym gospodarzeniu w opuszczonym domu taki przedsmak. Gdyby tu byli ludzie, choćby najgościnniejsi Norwedzy, nie byłoby połowy tej radości. Trzeba by było prosić o każdą łyżeczkę, dziękować za serwetę. Siedzieliby kątem lub też rozpieraliby się w nie swoim. To tutaj nie było nie swoje. Zastali to w opuszczeniu i nieładzie, uporządkowali, oczyścili, do dawnego stanu doprowadzili. O święcie odejda dalej i zostawia to wszystko. Stecki

uśmiechnął się do myśli, z jakim zdumieniem radosnym prawowici mieszkańcy tego domu odnajdą go w tym stanie. Przyszli tu jak wybawiciele, zabawili się w porządkujących, z pasją krasnoludków, i odejdą jak duchy zabłąkane w jakieś dobre, ale nie swoje strony.

— Ja w tym domu znalazłem coś dla Andrzeja — powiedział Roman.

Był to wielki, w Lipsku wydany („ciągle te Niemcy“ — myślał Stecki) album reprodukcji kolorowych Goyi. Ponieważ skończył swoje porządkowanie, więc zabrał się do niego. Jedne po drugich szły wstrząsające sceny malarza hiszpańskiego rozkładu. Więc była *Maya desnuda* i *Maya vestida*, rozebrana i naga dziwka o spojrzeniu pewnym swej urody zwierzęcej, zimno odmierzającej wrażenie, jakiego robić nie może, ale musi. („Czy to prawda, że Goyi pozowała tu księżna Alba? Trzeba się będzie spytać Andrzeja, gdy wróci.“) Potem był wielki zbiorowy portret rodziny królewskiej z głupią, pyszną, wyuzdaną i złą Marią Karoliną, z ogłupiałym, bladookim safandulą, Karolem IV, z chytrym fałszywym Godoyem, z degenerackim infantem Ferdynandem. Wreszcie była tonąca prawie w mroku, rozświetlona ostrym blaskiem latarń noc madryckich rozstrzeliwań po powstaniu majowym, kiedy naprzeciw rozchełstanych piersi czarnego chłopca, kastylskiego *campesinos* wpółobłąkanego zwierzęcym przerażeniem, wyrasta w cieniu rząd francuskich luf. „Wojna — rozmyślał Stecki w głębiach wielkiego fotela — jakżeż ta nowa wojna w sztuce przyszłości się zapisze?“ Może narodzi się wielkie malowidła ściennie na murach zewnętrznych domów, malowidła wysokie na piętra całe, jakie zna już nowoczesna sztuka meksykańska — *murale*? Mniej barwne niż Goya, bardziej Grottgerowskie? I ilu ludzi w tej całej wojnie, w owym sprzężeniu w szeregi narodów, rozmyśla czasem tak jak ja o śla-

dzie, jaki to wszystko zostawi w owym świecie od naszego trwalszym?

— Czemuż ten Andrzej nie wraca? — poruszył się.

— Potem trzeba będzie robić w popłochu.

— Ja bym już mógł dawać — odezwał się właśnie z kuchni Roman Banaś — może zaczniemy bez niego, jak nie przychodzi.

— To może zaczniemy?

— Pewno że zaczniemy. Zawsze tak już jest, że czekać na kogoś — to go nigdy nie ma, a sięść do stołu nie czekając — zaraz się znajdzie.

Milcząco nalali herbatę, postawili — nie w żadnym tam słoiku, ale w szklanym, płaskim pucharku — czerwony angielski jam, masło (solone, niestety), fasowane herbatniki angielskie. Trzecia filiżanka pomiędzy nimi stała nie nalana i nie tknięta. Na jej widok doświadczali niemiłego uczucia, że w tym przyjęciu, tak doskonale obmyślonym, coś w ostatniej chwili zawiodło. W kuchni na płycie grzała się nowa woda i sagan chwiał się na ogniu ponownie, z szumem i huczeniem. Oczekiwanie nawisało w powietrzu milczeniem.

— Ty we Lwowie piłeś rano kawę czy herbatę? — zapytał nie wiedzieć czemu Stecki.

— Kawę. Wiesz, ja może wyjrzę na dwór, dowiem się czegoś. On już dawno powinien być.

— Jak chcesz. Ale czego się dowiesz? Przyjdzie, to wie, gdzie nas szukać. Potem ciebie znowu nie będzie.

Musieli nie słyszeć kroków, a siedząc nie widzieli przez okno, bo w chwili, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Gruda, odwrócili się obaj. Gruda zawsze wchodził cicho, tak że go nie słyszano, wchodził cicho, jak cicho wchodził Ziemiański. „Czy to prawda, że on Ziemiańskiego?...“ — pomyślał w przelocie Stecki. „Zawala tymi butami całą podłogę, którą sam wyfroterowałem“ — zaniepokoił się Banaś.

— Siadajcie, panie kapralu, napijemy się. To podchorąży wrócił?

„Pewno poszedł z meldunkiem do kapitana, a Gruda nam przysłał naprzód“ — pomyślał jednocześnie Stecki.

— Podchorążegośmy przynieśli — powiedział, jakby cicho, Gruda.

Stecki wtedy dopiero dojrzał, że kapral jest bez hełmu, że ten hełm zdjął, jak się przed kimś czy przed czymś zdejmuje czapkę, i że stoi z tym hełmem trzymanym w rękę nieporadnie, osowiały, bezradny. Banasiowi miało pozostać z owej chwili wspomnienie oczu kaprałskich, które nie patrzyły hardo, ale biegły na boki, winowajczo, spłoszenie. Tak właśnie zakłopotanie i głupawo stał teraz gruby kapral w samych drzwiach i nawet się nie usunął, gdy wyskoczyli na dwór, przebiegli przez sień ciemną, wylecieli przez ganek niewielki. W tej samej właśnie chwili od drogi w dole szła rozkisiłą ścieżką cała drużyna, wysłana wtedy na patrol, a jeszcze, jak to zawsze ciekawi, paru strzelców z plutonu.

— Nieście ostrożnie — powiadał któryś.

Na owo „ostrożnie“, wypowiedziane z troskliwością żołnierską, Banasiowi i Steckiemu zabiły serca nadzieją. Widok Grudy, stojącego bezradnie w drzwiach tamtego pokoju, przekreślony został naraz tym jednym słowem. „Ranny“ — pomyśleli z ulgą prawie radosną. Skoczyli do noszy niesionych w pośrodku żołnierzy. Strzelcy rozstąpili się i pokazali nosze. Leżało na nich ciało zupełnie bezwładne, chwiejące się od poruszeń. Twarz, aż po czoło same, była zmasakrowana w krwawą masę, rozlewającą się niemal na gruby żołnierski koc. Spadały na nią, jedyne w tej głowie nietknięte, ciemne, miękkie kosmyki włosów o rudawych przebłyskach, jakie miały włosy Andrzeja.

— Przynieś te baze chociaż, coś je rwał do pokoju — komenderował Banaś.

Cała energia, jaka utoczyła się ze Steckiego, czyniąc go naraz rozmiękłym i bezwolnym, wstąpiła właśnie w Banasia. Chłopak miał oczy błyszczące sucho, twarz ściągniętą jak od gorączki, nie mówił, ale krzątał się gorączkowo, pośpiesznie. Odegnął wszystkich. Odchodzili drogą na kwatery niechętnie, zgnębienie. Pozostał tylko Gruda i mały Socha. Wynieśli na dwór miednicę z wodą i uważnie, powoli, maczając jakieś szmaty w wodzie cieplej, myli kolejno zabłocone buty Andrzeja, pokrwawiony i pobłocony mundur — rękaw — zwłaszcza lewy umazany był cały — ręce. Długie palce były już zeszywniałe w końcach. Potem przeszli do głowy. Gruda urywanymi słowami, przy każdej z kul, która wwierciła się w twarz Andrzeja, wgniatając oko, krusząc kość policzkową, rozłupując nos, wiódł opowieść o tym, jak z jakichś brzoź niespodzianych, kiedy nikt nie mógł nawet i pomyśleć, porwała się prosto na Andrzeja seria z pistoletu automatycznego.

— My potem pognali za nimi — tłumaczył się — lasek obszukali; tylko ślady były. Michałka poranili w ramię, nawet kości nie ruszyli. Cholera ma takie szczęście. A temu koniec, koniec taki.

Roman Banaś pochwycił to słowo ostatnie, jak wyjaśnienie wszystkiego. Koniec. Trzymał właśnie głowę towarzysza, złożoną na wielkich deskach sosnowych, i ciepłymi od wody szmatami zmywał zasychającą na policzkach krew. Powoli odsłaniał się cały dół twarzy, okryty zarostem parodniowym, pokrwawiony, ale nie tknięty. Koniec. Koniec. Przywiódł sobie w pamięci stare coëtquidańskie czasy, gdy on, młody harcerz, uczył Andrzeja chwytów karabinu, musztry luźnej, wydawania komend. Myśl opływała wspomnienia rozmów długich, dowiadywania się, uczenia od tamtego, starsze-

go o tyle, wielu spraw i rzeczy. Oto na rowerach, jeszcze z Frankiem Gałązką — gdzie jest teraz Franek Gałązka? — jadą do Bretanii kraj poznawać, zwiedzać zamki, opactwa, dzieje dalekiej Francji. Oto mówią o nędzy chłopskiej w Polsce i o Prusach Wschodnich, o Litwie i o przemyśle, o lotnictwie i o Wrześniu. O tysiącu spraw wielkich i ważnych, o których myśli się potem i marzy samotnie. O pytaniach, które są jak dynamit, o zamyśleniach, które zapadają w myśl młodą na zawsze. „Nie, nie dowiem się tego wszystkiego, tyle, tyle nie domówionych zostało! Nie; choćbym nie wiem jak zmywał, nie odmyję tych ran głębokich, w kość włupanych, przez które szary mózg wysącza się tłusto.“

Z domu Stecki wyniósł pelerynę podhalańską, obszerną, szeroką. Banaś, który się właśnie troskał ową głową tak strasznie podartą, dostrzegł w owej pelerynie kaptur, nigdy nie noszony, niepotrzebny. Współ z Grudą i Steckim podnieśli ciało, podłożyli mu pod plecy okrycie, a potem, zawracając ją połami, okryli, jak postawem sukna, piersi, nogi, ręce. Głowa opadła na ostry trójkąt kaptura i wszystko było teraz jakby zwłoki jakieś zakonne czy mnisie, a może jednocześnie rycerskie. U stóp owego domku baby Jagi, w miasteczku przed świtem bezludnym, na deskach jasnych leżały jak dziwna, aż niesamowita prawie pozostałość średniowiecza.

Huk, huk olbrzymi rozszedł się powietrzem. Na lewo, od portu narvickiego, wyrosła i znieruchomiała w powietrzu czarna chmura.

„Co to?“

Huk drugi, taki sam, poszedł milczącym fiordem, gdzieś pod szare góry i podniósł się ponad nie, ponad Ankenes i Nyborg, i Haakvik, i Skole, i Harstadt. Nie opadał, bo kolejno, jak odmierzone uderzenia młotem, podnosiły się wybuchy następne i następne.

„Ah, tak?” — pomyślał Banaś. I zrozumiał.

Oto dopełniły się wszystkie cele, dla których szturmowano Narvik. Nie będzie tunelami kolei szwedzkiej podjeżdżać tu niedaleka ruda kopalń w Kirunie. Nie będzie stąd, przeładowywana przy pomocy nowoczesnych urządzeń portowych, spływać na statkach wodą terytorialną fiordów, aż na Bałtyk, aż do portów i odlewni niemieckich. Zamknięta jest, przegrodzona, owa droga żelazna, jaka wiodła dotąd przez Narvik. Nie będzie z owej stali kiruńskiej niemieckich armat, pancerników, łodzi podwodnych, czołgów. Koniec. Po to właśnie oni tu płynęli przez morza obce, po to krwawili się po tych górach, po to padł Szeliski i Mietek Płużański, i teraz tamten: Andrzej. Jak to on tamtej nocy jeszcze powiadał im dwojgu? Jakże to był, ten tam wiersz? Na śmierć idą po kolei? Kamienie przez Boga rzucać na szaniec? Ale Banaś nie miał pamięci do wierszy.

Huk wybuchów, huk wysadzanych w powietrze tuneli narwickich, niszczonych urządzeń portowych wyzwał nad uspiętym Nyborgiem, nad tym trupem pod przyzbą domu uciszonym jakieś łoskoty ogromne, odbijane od skał dalekich echem podobnym do grania organów w olbrzymim i pustym kościele. Salwa szła za salwą, jakby nad grobem bohaterów wystrzeliwana w salucie ostatnim. Szyby domku drżały. Stecki wyszedł z domu; miał oczy zapuchłe, czerwone za swymi szklami krótkowidza. Żołnierze powybiegali także, postawiali na drodze.

Od drogi, dopinając się — spał przecież — szedł śpiesznie porucznik. Widać dopiero teraz dowiedział się o wszystkim.

— Zajęliście się tym biedakiem? — pytał jeszcze na ścieżce. — To bardzo dobrze; ja jestem zupełnie wykończony. Jak się na kogoś wali, to się wali. Tracę w głupich dziesięć dni drugiego z kolei zastępcę. Nim

mi innego przydziela, nim ten nowy się choć trochę zapozna, będę miał tydzień harowania!

Stecki i Banaś nie powiedzieli nic.

— Tak, tak; na wojnie trzeba uważać, a nie wrywać się naprzód. Ale mam pecha! Bo choćby z tym Ziemiańskim. Wyrekę miałem, bo to kwalifikowany podoficer, spuścić się na takiego było można. No i ginie, a potem jeszcze okazuje się, że było z nim coś niewyraźnie. A taki służbisty sierżant! Gdzie ja drugiego takiego dostanę? Pluton mi się rozpaskudzi...

Stecki i Banaś wymienili długie, twarde spojrzenia.

— A może by mi tak pana dali, z kaemów? — zwrócił się naraz porucznik. — Bo pan już był do nas przydzielony, zna trochę ludzi?

Stecki miał na ustach odpowiedź równie odmowną, jak na to pozwala regulamin wojskowy. Ale właśnie w tej chwili napotkał naraz spojrzenia Banasia, Grudy i Sochy. W spojrzeniach tych było porozumienie, które rozszyfrował i przyjął.

— Ja zawsze, panie poruczniku.

— O, doskonale — ucieszył się tamten — to już wszystko w porządku! Za godzinę — popatrzył na zegarek — zrobi pan zbiórkę plutonu do odmarszu. Może nawet lepiej o trzy na ósmą. Niech pan się zaraz nauczy pluton trzymać w garści; Czeczcel, świeć mu tam Panie, był za miękki. Wiadomo, literat — dopowiadał, już schodząc ku drodze.

„Wiadomo, literat“ — dopowiadał sobie w myśli, jak echem, Tadeusz Stecki.

Gruda i Banaś patrzyli przed siebie, na fiord, tymi samymi, kamiennymi, suchymi oczami. Tylko młodzieutki Socha, dzieciuch z Francji o rumianych policzkach, powiedział naraz tonem skargi, nieśmiało:

● — Pan podchorąży był ludzki, o, ludzki...

A potem, jakby się komuś zwierzał z dokonanego świeżo odkrycia, powiedział, i jeszcze ciszej niż tamto, z westchnieniem jeszcze głębszym:

— On był inny. Zupełnie inny...

„Co to znaczy taki «inny»?“ — pomyśleli jednocześnie Stecki i Banaś, ale nie zapytali wcale. Banaś został przy zwłokach, tamci dwaj, Gruda i Socha, poszli przygotować jakieś lepsze nosze. Stecki wolno wszedł do domu.

Przedtem, gdy Banaś obmywał głowę Andrzeja, siedział tu w fotelu, w którym temu godzina przeglądał album Goyi, z głową w dłoniach, głową o skroniach ciepłych. Nie widział pokoju. Teraz zobaczył to wszystko przygotowane najstaranniej, trudem kilku odjętych snowi godzin. W pośrodku dwóch nie dopitych herbat stała nietknięta filiżanka przygotowana przez nich dla Andrzeja. Jam, masło, wszystko. I właśnie owo uczucie zadomowienia, tak upragnione niedawno, wydało się naraz wstrętne i mierzące. Z kuchni dolatywał swąd spalenizny; to zupa gotowana przez Banasia wygotowała się cała na płytę. Na kominku nie podsycany ogień zwolna zamierał. Od okien otwartych szło zimno. Dom na nowo zapadał w opuszczenie. Ale teraz to wrażenie opuszczenia przestawało razić.

Otępiony, ugięty, miejsca dla siebie znaleźć nie mogąc, dostrzegł naraz w rogu pokoju — fortepian. Dziś rano powiedział sobie, że będzie grał, jak tylko Andrzej wróci. Fortepian był rozwany. Stał i czekał, szczerząc białe zęby klawiszów. Stecki podszedł. Przez chwilę miał wrażenie, że zatrzaśnie go z mocą i wyjdzie stąd byle najdalej, na drogę, na fiord. Ale odruchowo przesunął ręką, i ton jakiś odezwał się łkliwie. Więc powiódł palcami pewniej. Tony wybiegły, jak wyzwolone z wielkiego pudła, wypełniły pokój, przelały się przez to okno otwarte, ponad tego leżącego pod oknem, ociekły

w świat milczący porankiem. Kiedy umilkły, zrobiło się jeszcze puściej.

Jakby tylko dla wypełnienia tej pustki, zasiadł grać. Banaś, znieruchomiały po tamtej stronie okna, zaparty w fiord, doznał nie znanego przedtem uczucia folgi. Zastanowił się nawet, co tamten gra. Był w tym chyba na pewno Szopen, skargi wiatrów jesiennych żalące się na wierzbach mazowieckich, rytm żałobny pogrzebowego marsza, głęboki nurt nokturnu. Ale wplatał się w to miejscami i jakby gęśliczkowy, staroświecki dźwięk kolęd, i jakby muśnięcia pieśni żołnierskich z tamtej, w pieśni bogatej wojny, i dźwięczna beznadziejność hymnu polskich zmarnowanych bojów: *Warszawianki*. Nie wiedział, czy Stecki łączy to w sposób świadomy, czy też nieświadomie prawie od jednego do drugiego spływa, nie wiedział, czy w tym graniu przebłyskują echa cudze, czy też po prostu szuka w tej muzyce po omacku i na chybił trafił i znaleźć w niczym nie może czegoś, co by mogło porwać, pochłonąć, rozpałmiętać. Słuchał, jak to, co tamten grał przez okno, spływało w milczący Nyborg, nad fiord nieruchomy surowo, dawniej daleki, dziś osiągnięty i bliski, pod owo miasto wodami oblane jak gród tajemniczy. Ziemia obiecana, oglądana tylekroć z gór wysokich, ziemia obiecana, do której tyłu nie weszło.

Było trzy na ósmą. Drużynowi sami zebrali drużyny, pluton stanął, wyszedł. Plutony sąsiednich kompanii wyległy również. Podczas nocy i poprzedniego dnia pościągano z gór zwłoki poległych, owiązано je kocami, złożono na noszach. Teraz wolno poczęto nieść je drogą nad fiordem. Z powrotem na Ankenes, na Haakvik.

Zmarli, noszeni na noszach, i żywi, schodzący z pozycji, postępowali tak drogą rozrytą od pocisków, wśród domów pustych martwo, popalonych od pożarów, porzadzanych wybuchami.

Naraz, na zakręcie, wyszedł im naprzeciw drugi pochód.

To szły dwie kompanie batalionu, który dotąd nie brał udziału w żadnej akcji bojowej, a teraz miał zluzować tamtych. Żołnierze byli tu wypoczęci, najedzeni, rozleniwieni bezczynnością, weseli. Spotkali tamtych, wracających milcząco, z pochodem noszy grabarskim.

Bokiem drogi, po błocie, drecząc, przemykał się obok owych wypoczętych barwny pochód ludności cywilnej. Jacyś mężczyźni w strojach narciarskich i w kolorowych swetrach, jakieś stare kobiety w białych chustach, dziewczyny hoże, wysokie, idące szybko, dzieci gapiące się na wszystko. Stecki zrozumiał. To ludność norweska, wygnana przez Niemców, wracała teraz razem z tym pochodem Podhalań do swoich domów i obejść. Twarde było prawo tego powrotu; aby nastąpił, aby ci rybacy milczący, kobiety jasnookie i dzieci od ziemi odrosłe mogli powrócić do dawnego życia, musieli tamci, na noszach niesieni teraz, sami poza życie wyjść.

Droga była dosyć wąska w tym miejscu. Trzeba było stanąć. Zluzowani patrzyli na zluzowujących, ludność na żołnierzy, Polacy na Norwegów. I naraz wszyscy popatrzyli na owych kilkadziesiąt noszy, okutanych w bure sukno, nieruchomych. Uśmiechy tamtych zamarły, twarze spoważniały. Ciekawość gdzieś znikła. Rozstąpiono się bez niczyjego rozkazu, bez wezwania. Milcząco przepływać zaczęły, jedno po drugich, beznadziejnie powoli, owe nosze, na czele których szły jedne, okryte nie kocem, ale płaszczem podhalańskim, szerokim. Idący przy nich podchorąży Tadeusz Stecki rozpoznał naraz w tłumie szeroko otwarte i zdumiałe przerażeniem oczy jakiejś jasnej dziewczyny.

Była to Karin.

Pogrzeb był wyznaczony wcześniej, toteż szli śpiesznie po drodze haakwickiej pełnej wyboi, błota i kałuż. Nie rozpogodziło się wcale od zdobycia Narviku. Deszcze nadciągały na przemian z zimnem, zimno z chmurami i mgłą. Zboczyli w lewo dróżką cmentarną, tą samą, którą kilka dni temu jeszcze, owej nocy pamiętnej, Andrzej wioził na wieczny spoczynek zwłoki tamtego strzelca. Z daleka już zobaczyli — bo drzewa na cmentarzu były jeszcze młode i niskie i było ich niewiele — kompanię honorową, ustawioną na skraju cmentarza, tam właśnie, gdzie już pierwsze żołnierskie groby czekały na dalsze. Weszli, gdy nabożeństwo było dobrze rozpoczęte. Oglądano się na nich. Po lewej stronie stał szary tłum żołnierski. Po prawej, między świerkami, znalazło się niespodziewanie dużo Norwegów, starych, młodych, dzieci. Stecki odnalazł i rozpoznał Karin. Ona ich też dostrzegła. Tuż przed nią, jak ostrów osobny, wyrastała grupa kilkunastu postaci, wysokich, zmartwiałych w postawie, niemal jak posągi kamienne. Mimo całej skromności polowej, jej oficerska odrębność promieniowała w tym dniu szarym i słotnym jak blask zimny i ostry. Na czele, wysunięty o półtora kroku, stał generał, wysoki, piękny mężczyzna, noszący się z godnością niemal hetmańską. Podhalańska mundurowa peleryna na pewno nie leżała na jego barkach jak pokutna opończa krzyżowca, ale rozpinała się jak delia wielkopańska; beret bury, połyskujący jak klejnotem sutym srebrem generalskiego wężyka, przybierał prawie kształty kołpaka. Generał stał z podniesioną wysoko głową, z pogodnym czołem zwycięzcy, czołem defilad, czołem parad. Z miejsca, z którego patrzyli, głowa ta rysowała się na tle białym i surowym drewnianych

tarcic, przerywanych w niewielkich odstępach przez miejsca ciemniejsze, jak białe klawisze fortepianu przerywa rząd czarnych. Było to kilkadziesiąt trumien. Osobno nieco stały dwie oficerskie, odznaczone zielenią wieńców. Reszta zamarła w dwuszeregu białym, znie-ruchomiałym, na wprost żołnierzy, Norwegów, oficerów, generała. Generał w pewnej chwili zszedł ze swego miejsca, pochylił się, wyciągnął nieco ręce jakby przed siebie. Widać było, że popatrzył raz i drugi na trumny, cofnął się o krok, znowu postąpił naprzód, znowu ustąpił nieco w prawo. W nieruchomości ogólnej każdy ruch generalski nie uszedłby uwagi, cóż dopiero tak zagadkowe. Przez chwilę ani Stecki, ani Banaś, ani żaden z ich towarzyszy nie mógł zorientować się, o co chodzi. Generał obrócony był do nich plecami. Ale po chwili odwrócił się jeszcze i z boku. Wtedy zaraz zrozumieli sens tylu zawiłych czynności. Oto generał miał przed sobą niewielki aparacik fotograficzny, istne cacko precyzji, prawdziwą satysfakcję każdego amatora tej przyjemnej sztuki. Niestety, w ponurości dnia było wielkie niebezpieczeństwo, że zdjęcia wyjdą nie doświetlone czy nie dosyć ostre. Stąd właśnie tyle uwagi i zachodu pochłaniało przed chwilą generałowi fotografowanie pogrzebu jego żołnierzy.

„Byle prędzej, byle skończyć z tym wszystkim“ — powtarzać sobie począł Tadeusz Stecki.

„Niech raz z tym będzie już koniec, naprawdę koniec“ — milczał, blady tak samo, Banaś.

Obaj, i nie tylko oni, spojrzeli z uczuciem rozpacz, gdy naraz ksiądz w komży odwrócił się do ludu. Był to ten sam niski, nieśmiały kapelan, którego pamiętali z pierwszej nocy marszu, ten sam, który grzebał tu z Andrzejem Czezelem zabitego na pozycji strzelca. Nie, nie mieli nic przeciwko niemu, ale chcieli skończyć z tym wszystkim. Chcieli, by tych zmarłych oddać

wreszcie w straż ciszy wiejskiego, norweskiego cmentarza. Im pokój, sobie pokój.

Tymczasem ksiądz, stanąwszy za tymi trumnami, jakby barykadą przegrodzony przed zebranymi na cmentarzu, począł mówić głosem, w którym miękki akcent wileński wplatał niespodziewaną tu nutę:

— Ziemi norweskiej, ziemi obcej oddajemy oto szczątki kilkudziesięciu naszych towarzyszy doli i niedoli żołnierskiej, których śmierć okupiła pierwsze w tej wojnie, od bojów nad Wereszczycą, zwycięstwo, których śmierci zawdzięczamy Narvik. Zamilkli oto przed nami aż po dzień Sądu Bożego, a przecież tym milczeniem się skarżą, tym milczeniem najstraszliwiej się żalą.

— „Oto ja — powiada jeden — byłem robotnikiem we Francji, kułem węgiel. Poczęło mi się dzieć lepiej, miałem rodzinę, dzieci małe. Polska nie dała mi nic, nawet pracy, której szukać musiałem u obcych. I teraz leżę w ziemi dalekiej, pozostawiając swoich na losy niedobre, albowiem za tę Polskę przyszło mi walczyć.“

— Dlaczego?

— „Oto ja — odzywa się drugi — chłopiec szesnastoletni z Polski, biłem się w Warszawie i Lwowie, i Grodnie, przeszedłem granice górskie i leśne, tułałem się w obozach najgorszych. Życie stało przede mną jak owo morze olbrzymie, a nie znałem go, mogłem stać się czymś w narodzie moim, a nie stanę się. Jeśli były błędy, nie ja byłem im winien, a ja je teraz odkupiam.“

— Dlaczego?

— I wstaje trzeci, i powiada: „Oto byłem rzemieślnikiem, miałem warsztat czy sklep, czy pracę i rzuciłem wszystko, i pozostawiłem swoich. Mogłem być potrzebny, a się nie stałem, pracowałem pożytecznie, a nie będę. Dawałem państwu mojemu wszystko, czego ode mnie żądało. Byłem ofiarny na obronę narodową, dzie-

ciom własnym odejmowałem. Dawałem z ufnością, że ani grosz uroniony nie będzie. A Wrzesień był mi obuchem. A teraz, żem ufał bez granic, dawał, ale na los dawanego nie patrzył, otom legł na ziemi nie mojej.“

— Dlaczego?

— I wstaje czwarty i piąty, i setny. I ten, co swą służbę zagraniczną krajowi, nie łatwą, kwalifikacyj nie małych wymagającą, rzucił, karabin wziął i jako strzelec prosty tu legł. I artysta, który miał talent, jakiego Bóg nie każdemu udziela, i technik, który mógł w przyszłej Polsce odbudowywać zniszczenie, i pisarz, który posiadał ten dar, że myśli, w innych drzemiące głęboko, za innych, za naród cały, wypowiadać umiał. I wszyscy oni wychodzą oto ku nam z tym samym pytaniem: dlaczego? a my im, w tej rozmowie ostatniej, winniśmy na nie odpowiedzieć.

Tłum po lewej stronie pochylił się jakby z zasłuchania. Przeszedł go dreszcz wielki ludowych zebrań. Po prawej niewielki ostrów kilkunastu osób stęzał w oczekiwaniu pełnym baczności.

A ksiądz, jakby nie widział ani tych, ani tamtych, powiadał dalej:

— Jakąż im dasz odpowiedź, czym ukoisz niepokój ostatni, czym żal do grobu zabrany uciszysz? Może powiesz im, że powstanie znowu dzięki ich ofierze szczodrej Polska, jaka była, Polska sprzed Września, w której pracy nie znalazł ten pierwszy, w której tamten drugi, chłopię nieletnie, walczyć musiał naraz samotnie i bezoręcznie, Polska, która grosza ofiarnego tych mas obywateli nie umiała przekuć na czołgi, a umiała go udostojnić w reprezentacyjnym splendorze limuzyn? Mała Polska rządzących i wielka Polska rządzonych, olbrzymia Polska pokornych i nieliczna włodarzy? Może powiesz im tutaj, że ich trud nie był daremny, bo to

wszystko dzięki nim wróci z powrotem, może powiesz, że dzięki ich śmierci laur narwicki spędzi pył zaleszczyckiej szosy, jak go już próbowano spędzić czernią spalonej Warszawy, że wybieli, że oczyści, że w zapomnienie i w niepamięć puści? Może powiesz, że z ich grobów narodzi się w Polsce nowa legenda, jak urodziła się ćwierć wieku temu z grobów leguńskich Małej Uliny, Łowczówka, Anielina, że w imię tej legendy, pieczętującej swoją nobilitację krwawym lakiem ich ran, będzie się w tej Polsce przyszłej rządziło, jak się rządziło w tamtej, że i w ich imieniu będzie się jeszcze kiedyś przydzielało i obdzielało, obdarzało i nagradzało? A może uspokoić ich jeszcze i wieścią radosną, że ich trud ofiarny już przekuwa się na złoto awansów, na iskierki odznaczeń, na jedwab i srebro orderów, że obradza nowymi szczeblami pięcia się ku gorze?

.

Pytania zapadały w ciszę jak ziarno myśli, a jeszcze jak kamienie, twarde kamienie oskarżeń. Uderzały w czoła od spojrzeń pojaśniałych jakby, i w czoła przyobleczonych w ponurość.

.

— Sam widzisz, bracie-żołnierzu, którego los może być już jutro losowi tych oto podobny, że każda taka odpowiedź byłaby dla nich batem rozpacz, cynicznym świętokradztwem ich śmierci. Cóż masz jednak odpowiedzieć tym towarzyszom, którzy na twoją odpowiedź oczekują, którzy bez niej nie zaznają spokoju? To umarli. Ale jeśli żywi, jeśli tysiące, miliony żywych tu i w Polsce czekają tej odpowiedzi, jakżeż możesz z nią zwlekać, jakżeż możesz jej nie dać?

— Tym, co umarli, tym, co umierają i na śmierć idą, powiesz i musisz powiedzieć, że śmierć ich zmarnowana nie będzie. W nowej armii nie będziesz nigdy mięsem żołnierskim szafowanym bez uwagi i bez pamięci, a jedynie elementem najcenniejszym, poświęcanym celowo, potrzebnie, mądrze. Musisz im wdrożyć, nie słowami, ale wymową czynów, tę pewność niewzruszoną, że z ich wysiłku i męki nie Polska dawna się odradza, żywot swój przedłuża, na świat powraca, ale że oto powstaje i rodzi się Polska nowa, w której będzie miejsce dla każdego i praca dla każdego, i dla każdego, za jego pracę, szacunek. Możesz, możesz im powiedzieć wtedy śmiało, że ową Polskę, nawet po jej wskrzeszeniu, czekają dziesięciolecia najcięższych wysiłków, że od ust siebie będziemy odejmowali, by jej dać siłę, zaciskać pasa jak chłop małorolny na przednówku, że ci, co wyżyją, nie wyżyją na żadne życie łatwe. Ale musisz im powiedzieć, i mało powiedzieć — poprzysiąc, że oto rozpoczęła się nie tylko walka o niepodległość Polski, ale jeszcze i budowanie nowej i innej Polski, tej, o której marzyli oni wszyscy, tej, za którą nawet jeszcze we mgle śmierci daremnie wyteżali wzrok. Co krok musicie wszystko przemieniać, cały stosunek człowieka do człowieka, wodza do żołnierza, żołnierza do wodza. Co dzień musi być bardziej inaczej. Co dzień musi być bliżej. Albowiem, to wam powiadam, największe ofiary można ponieść, największe znieść można męki, jeśli istnieje cel naprawdę porywający, wielki, realny, powszechny, jeśli w jego spełnieniu będziemy żyli nawet wtedy, gdy sami pójdziemy zań w grób.

— To właśnie, na okrętach odchodząc po owym boju tutaj ukończonym, ślubować owym musicie. Za wami, którzy jesteście przy życiu, pozostała ich śmierć. Ona stanowić będzie siłę moralną, wciąż rosnącą siłę waszą

w walce właśnie o taką, nową, naprawdę nową Polskę, do której droga wiodła przez (ten(wasz) Narvik. Na tę ich ofiarę śmierci będziecie powoływali się w sporze, opierali się w walce. Nie wolno wam dopuścić, aby stała się ona cokołem czyjejs osobistej sławy, pokryciem dla błędów przeszłości, zręcznym wybiegiem, kapitałem karierowych zysków. Jeślibyście na to, przez waszą nie-szczęsną polską miękkość, pozwolić mieli, to jeszcze tym kiedyś pokarani będziecie, że ujrzycie syzyfową daremność waszej walki, ujrzycie, jak wszystko ku starremu z powrotem wróci! A jeśli któryś z was tutaj sam ślubowaniu swemu się sprzeniewierzy, sam z owej legendy postaw sukna sobie czy innemu wykrawać będzie, będzie obkadzał, zamydlał, własał się, wsługiwał, niech sobie to wtedy przypomni, że jest ów pod Narvikiem cmentarz. Niech nie ma wtedy złudzeń najmniejszych. Niech mu zaciąży całe brzemie niezmierne jego podłości. Bo zaprawdę gorszy jest taki od handlarzy broni, gorszy od paskarzy wojennych, gorszy od najgorszego z ludzkich szakali.

Deszcz drobny, wiosenny począł padać z nieba, które obniżyło się chmurami, opadając na cmentarz, na żołnierzy, na generała, na trumny, na księdza.

.....

„Któż to kiedyś z taką siłą tak karciał kiedyś i przestrzegał?“ — męczyły się historyczne wspomnienia Steckiego. Kto tak kazał Rzeczypospolitej? Jakiś obraz jest taki; król sposepniał w czarnym stroju szwedzkim, kobiety rozmodlone od zgrozy, ostrów panów pysznych i butnych, osowiałych wypomnieniami ka-znodziei?

.....

A książd tymczasem kończył:

— To wam jednakże powiem, że już się w świecie ma ku końcowi ów czas niedawny, kiedy z trupów żołnierskich dziergała się legenda jak płaszcz suty na ramiona władcze. Przesiła się w naszych oczach ów czas niedaleki, kiedy szła ona krok w krok, jak zniewolona i poddana, za pawimi piórami pysznych szyszaków, za akselbantami kraśnych mundurów. Tego już nie będzie w świecie, w który idziemy każdym dniem owej wojny. To się już nie odstanie. I dlatego, odchodząc, to jeszcze możemy powiedzieć imieniem szarej wiary żołnierskiej tym, których tu spać położym, że oto przy nich zostanie, a nie z nami odpłynie, legenda. Nowa, inna legenda. Kiedy nas tu nie będzie, ona z tej ziemi wydobędzie najbardziej poszarpane zwłoki i przywróci ich całość. Jak matka rany najgorsze obmyje, jak siostra je scałuje z krwi. Osobliwa legenda! Pominie ona, nazwiska zapomni butnych, nagrodzonych, możnych. Ukocha ona tych właśnie, co byli najmniej szumni, a najbardziej ofiarni, tych, co byli najbardziej szarzy i najwięcej z siebie dali. Ciebie, mały harcerzu, coś o sławie orląt lwowskich marzył kiedyś, przyjmie ona w ich poczet. Ciebie, coś z kancelaryj dyplomatycznych świata po karabin żołnierski bieżał, ponad wszystkie ambasadory wyniesie. Tobie, coś rzucił pędzle malarskie czy dłuto rzeźbiarza, czy pióro pisarskie — da ona właśnie laur sławy najtrwalszej, najbłękitniejszy promień legendy. Ona najzasłużeniej udzieli swych awansów i najsurowiej degradacje wymierzy. Ona nieomylnie zasługi oceni i bezzawodnie przypnie wstęgi swych odznaczeń. A wy wszyscy, by tak się stało, macie z sił swoich, mocy, talentu, słowa służyć owej legendzie i dać w świecie i Polsce świadectwo jej prawdzie, albowiem jeśli jakiej legendzie, to takiej tylko służyć talentom warto. I za tych, których w straż oddajemy ziemi norweskiej

i sławie polskiej, zmówmy teraz, bracia moi, wieczne odpoczywanie.

Tłum osunął się na kolana, jak na komendę. Stecki miał głowę w dłoniach, jak wówczas, gdy z gór zniesiono na noszach Andrzeja Czczela. Przez chwilę nie słyszał nic ani myślał. Aż Banaś go trącił. Kilkunastu ludzi wielkimi łopatami, ruchem szybkim, śpiesznym, zwałało szeleszczące masy piasku, pławego, morskiego piasku, w dół, który rozwarł się trumnom. Nie był to gruchot grud ziemi sypiących się żałobnie, jak na naszych wiejskich pogrzebach, tylko łoskot jeden po drugim, suchy, jak uderzenia twarde. Raz jeszcze uprzytomnili sobie całą norweską obcość. „On tak nie chciał tu leć“ — pomyślał Banaś.

Ale w chwili kiedy łoskot piasku lecącego zwałami na wieka ustał, żołnierze poklękali po raz drugi, znowuż jak chłopci klękają od wieków na wszystkich cmentarzach polskich. I głosem nie żołnierskim, ale chłopskim, wychodzącym z głębi piersi rozrosłych, grubym, odzewnym, powtarzali miarowo, nieśpieszący:

— Ojcie nasz, któryś jest w niebie... święć się imię Twoje... przyjdź królestwo Twoje... bądź wola Twoja... jako w niebie... tak i na ziemi...

Aż do złudzenia powiało naraz krajem, zapachło lipą i macierzanką, i ziemią dymiącą oraninami, tłustą, nie taką. Aż rozwiało się to wtedy dopiero, gdy wstali i poczęli wychodzić ku drodze haakvickiej, błotnej. Spieśzyli się, bo tego właśnie dnia zaczęli ładować się na statki.

Tadeusz i Roman wychodzili jedni z ostatnich. Wychodząc, już z drożyny obejrżeli się raz jeszcze, a obejrzawszy się i przystanąwszy, doznali jakby bladego uczucia ulgi. Przy grobie żołnierskim, na pustym już cmentarzu, stała tylko jedna jedyna postać wyso-

kiej, jasnowłosej dziewczyny pochylonej nad polskim grobem. Ubrana była prawie pospolicie, tak jak tu wszyscy, niemal aż biednie. Ale na tym cmentarzu, pod murami niskimi, wyglądała jak płaczka z baśni słowiańskich lub skandynawskich sag, biorąca w swe posiadanie mogiły poległych wojów, padłych w boju dalekim Wikingów.

ZAKOŃCZENIE

Kontrtorpedowce ruszyły z miejsca pełną parą, wprawiając w drzenie każdy człon swego stalowego kośćca, każdy płat swych stalowych opancerzeń. Przewożone przez nie kompanie polskie, wspaniałej Legii Cudzoziemskiej, czarnych strzelców alpejskich stały na pokładzie patrząc, jak nieledwie w okamgnieniu grube kutry norweskie, które dowiozły ich do okrętów wojennych, stawały się w oddali małymi łupinami, rzucanymi bezsilnie przez wody wielkiego fiordu, które owego wieczora zmętniały były i złe. Płynęli najsamprzód właśnie owym szerokim fiordem, który leży przed Narvikiem i z którego dwie wąskie odnogi, odbiegając w głąb łądu, opływają miasto. Była to jakby defilada krótka i szybka wzdłuż całego pola dwutygodniowych bitew. Oto był rozrzucony domami Haakvik i Skole, widać było drogę wiodącą w las, dostrzegało się niewielki, w góry wtulony cmentarzyk. Potem był ów zalesiony olbrzymi garb, podnoszący się swą wyłysiałą, wysokogórską częścią aż ku górcom szwedzkim. Strzelcy z plutonu Andrzeja pokazywali sobie „taras“, „fasolkę“, kotę 405 i kotę 295, rozpoznawali miejsce, gdzie za drzewami jest niewidoczna stąd kotlinka i wzgórze plecakowego natarcia, jak określano popularnie jeden ze sławniejszych bojów tej dość osobliwej kampanii. Nie znano dokładnie celu podróży. Mówiono zawsze, że po zdobyciu Narviku będą przerzuceni na południe Norwegii,

ale teraz psuła się tam sytuacja, a wiadomości z Francji były coraz gorsze.

Tymczasem kontrtorpedowiec przerzynał fiord białym ściegiem pian, mijał Ankenes, pierwszą odnogę fiordu dzielącą to miasteczko od Narviku; w głębi Banaś i Stecki rozpoznali niewielkie domy Nyborgu. Teraz był Narvik z portem milczącym posepnie, wydzwignięty wielkimi gmachami, z tej strony ponownie niedostępny i dostojny. Potem widać było drugą odnogę fiordu, tunele kolei do Szwecji, mięscinę rybacką, w której niegdyś stali po marszu nocnym przez góry w śniegach, widać było drogę przez góry — (śnieg był już zeszedł prawie zupełnie) — wszystko. Jak w panoramie, jak w filmie przesuwało się przed oczami nurtem wartkim wszystko, gdzie byli i co widzieli. Wspomnienie naniżywało na to sceny, przypomnienia, obrazy. Narvik związał się przed nimi właśnie jak taśma filmu, który raz na zawsze schodzi z ekranu.

Raz jeden jeszcze droga wiodła przez Narvik.

„Sobieski“, cały przemalowany ochronnie, stał na wprost gór, u wylotu fiordów. Stecki przepuścił przed sobą pluton, który wspinał się po schodkach opuszczonych wzdłuż burty statku. Rozmieścił pluton, wyszedł na pokład. Przyszli popatrzeć raz jeszcze. Ale pomiędzy krajem ukrytym w głębi fiordów, z lasami i osiedlami, z Narvikiem i domkami małymi, jakie ni stąd, ni zowąd wyrastają kolorowo po brzegach, a nimi na morzu wyrósł tymczasem mur górskich szczytów, granitowy i posrebrzony śniegiem osiadłym we wnękach rozpadlin. Zza jego więziennej szarości nie było nic widać. Tamto wszystko już było znikło.

— Panie podchorąży... — odezwał się ktoś nieśmiało. Stecki odwrócił się.

— Panie podchorąży, to ja, pan podchorąży mnie nie zna, kapral Humeny. Kucharz... Panie podchorąży, jak nas wieźli w tę stronę, to po prowiant do magazynu zawsze z nami chodził pan podchorąży Czeczcel. Bo tak samym to nie dają. Oszwabiali, dogadać się nie było sposobu... To teraz, ja tak myślałem, może pan podchorąży z nami by chodził, jak nieboszczyk Czeczcel?...

Za Humenym, bardzo sfrasowanym, stało trzech innych, nie znanych mu jeszcze z twarzy strzelców i czekało, co powie Stecki.

— Naturalnie, trzeba mi było zaraz powiedzieć.

— Ja też tak myślał — ucieszył się Humeny — no, to chłopaki, co stoita, ganiać na dół po menażki.

Strzelcy znikli w zejściu pod pokład. Na górze pozostał tylko, oczekując ich powrotu, kucharz i podchorąży.

— Panie kapralu — zagadnął naraz, jakby sobie coś przypomniawszy, Stecki.

— A co takiego? — zaniepokoił się Humeny.

— Pamiętajcie, wy i inni; póki będę w plutonie, póty chciałbym, żeby wszystko było tak jak za podchorążego Czeczela.

— O, tak — przytwierdził Humeny — o, tak...

Czekali na tamtych. Naraz ponad głową Humenego, aż się usunął, załopotana na sznurze biało-czerwona, wciągana na maszt flaga statku. Czy ściągnięto ją, szanując jakiś obyczaj wojskowy, ludziom niemorskim nie znany? Czy sznur się jaki zerwał, czy płachta flagi zaplątała się w linach? Nie znali się na tym. Dość, że widzieli tylko, jak flaga, zrazu łopocząca się ciężko, poczęła wpływać ku górze ślizgiem coraz szybszym i coraz równiejszym, aż wreszcie oparła się o szczyt, znieruchomiła, wykwitła. Wiatr morski zimnego dnia począł nią szarpać, rwać, trzepotać, a ona swoją bielą i czerwienią, żywością barw w tym szarym, północnym

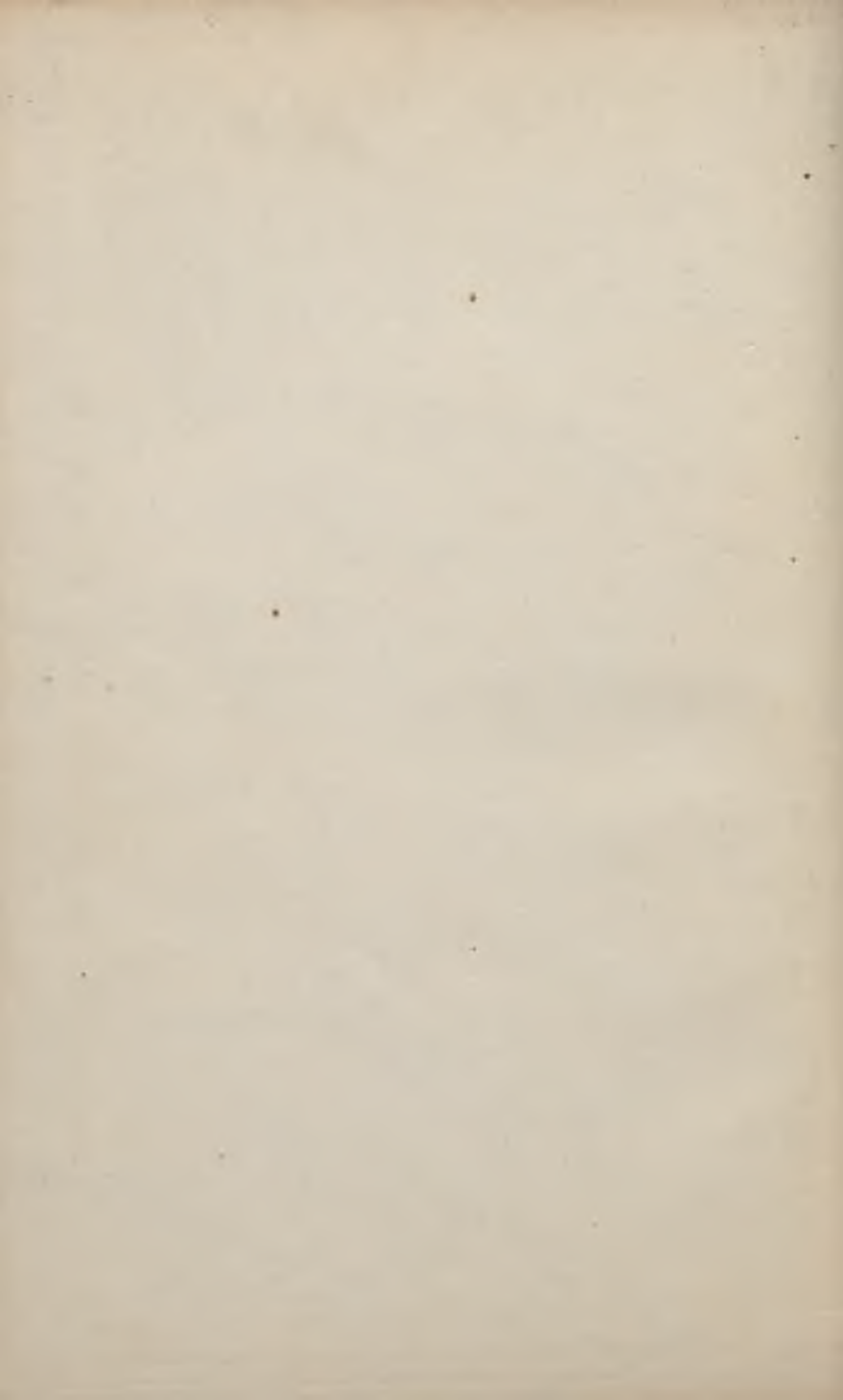
świecie zabiła w powietrzu, jakby w jej fałdy rozwija-
ne falisto wczepiły się czyjeś młode życia, czyjaś krew
utoczona najhojniej, czyjeś nadzieje nigdy nie ginące,
czyjaś wiara nie zgnębiona niczym i jakby to one
właśnie odżywały i trwały wiecznie w owym, na wie-
trze, sztandarze. Który był nad tym statkiem i nad tym
wojskiem na morzu obcym jak krzyk ludzki, jak ptak
żywy, jak płomień ognia. Jak znak.

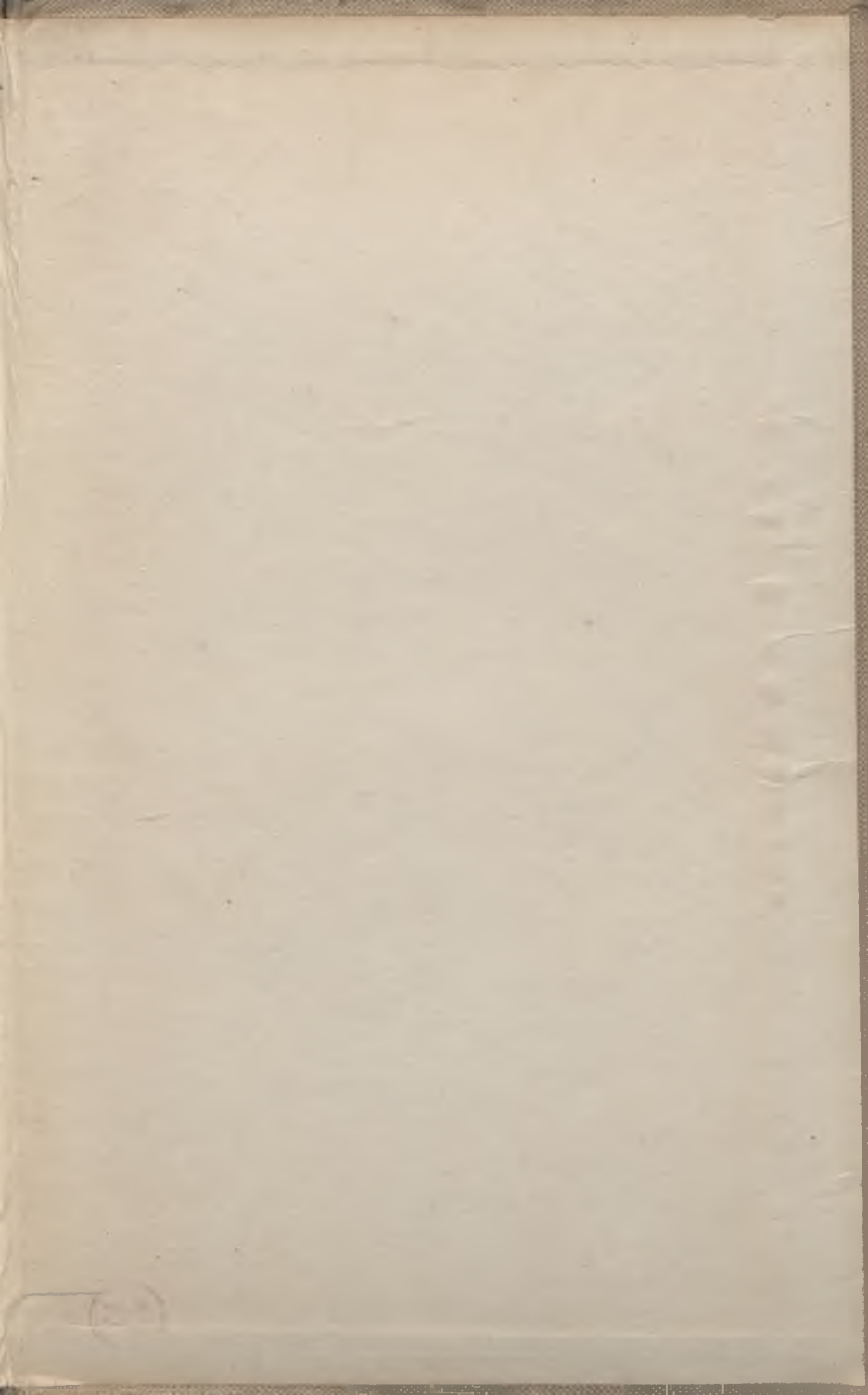


Redaktor: Ryszard Landau
Redaktor techniczny: Tadeusz Konik
Korektorzy: Stefania Michałowska i Leopold Rutkowski

Printed in Poland

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1956 r.
Nakład 20 000 + 205. Ark. wyd. 9,9. Ark. druk. 14,25
Papier mat. III kl. 70 g, 82 × 104/32
z Fabryki Papieru w Kluczkach
Oddano do składania 30. VII 1956 r.
Podpisano do druku 10. XI 1956
Druk ukończono 29. XI 1956
Toruńska Drukarnia Dzielowa, Toruń, ul. Katarzyny 4
Nr zam. 756. E/t-7-30209
Cena zł 13,50





PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14



21505